

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 3/378**

**1979**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

WŁ. ODOJEWSKI :

**NIEWIEDZA CZY ŚWIADOMY FAŁSZ**

J. NOWAK : **TRZY LATA RUCHU OPORU W POLSCE**

BRUKSELCZYK :

**DRUGA STRONA CZWARTEGO MEDALU**

**L. BREZNIEWA**

M. BROŃSKI : **JAN PAWEŁ II, NIEMCY, POLSKA**

J. MACKIEWICZ :

**PRZED 25 LATY ZMARŁ WŁ. STUDNICKI**

## SPIS RZECZY

Włodzimierz Odojewski:	<i>Niewiedza czy świadomy fałsz</i> .....	3
Adam Nasielski:	<i>Podróż do Chin</i> .....	12
<b>WIERSZE</b>		
Czesław Miłosz:	<i>Czytając japońskiego poety Issa</i> ....	35
Jacek Bierezin:	<i>Jest już druga w nocy...</i> .....	37
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Jan Nowak:	<i>Trzy lata ruchu oporu w Polsce</i> ....	39
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	52
<b>SĄSIEDZI</b>		
M. Broński:	<i>Jan Paweł II, Niemcy, Polska</i> .....	62
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	71
Vilém Hejl:	<i>Praga, kontrreformacja i reformacja</i> ..	79
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	91
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
W. Makowski:	<i>List do lotników</i> .....	94
Jerzy Szeptycki:	<i>Drażliwa sprawa</i> .....	104
Ks. Wojciech Sojka:	<i>Odpowiedź J. Szeptyckiemu</i> .....	109
—	<i>Komunikaty:</i>	
	1) <i>Nagroda im. Janiny Ławruk ze Starzyckich</i> .....	110
	2) <i>Księga Pamiątkowa z okazji wyboru Jana Pawła II</i> .....	111
<b>STRATY KULTURY POLSKIEJ</b>		
Józef Mackiewicz:	<i>Przed 25 laty zmarł Władysław Stundnicki</i> .....	112
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
Andrzej Brzeski:	<i>Witold Sworakowski (1903-1979)</i> ..	126
<b>WOŁANIE NA PUSZCZY</b>		
Kisiel:	<i>Warszawskie naszczekiwania różnostronne</i> .....	128
Kisiel:	<i>Początek karnawału</i> .....	132
<b>POLEMIKI</b>		
Artur Bierutowicz:	<i>Głosa do proroctwa</i> .....	135
<b>KSIĄŻKI</b>		
Michał Heller:	<i>Jak zakończyła się trzecia wojna światowa</i> .....	140
Janina Katz Hewetson:	<i>Dojrzałe lata hunbejwina</i> .....	145
Józef Czapski:	<i>Rozrachunki</i> .....	149
mdz:	<i>„Buńczuczny karzeleń”</i> .....	156
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> .....	160
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	162
◆		
Czytelnik ze Sztokholmu, W. Krzyżanowski, W. Ledóchowski, M. Rudawski, ks. W. Sojka, N. Tenenbaum, W. Wirpsza .....	<i>Listy do Redakcji</i> .....	169
—	<i>Dalszy ciąg Wpłat</i> .....	175

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Marzec - Mars

1979

**INSTITUT**



**LITERACKI**

## WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Wilhelm Bismayer, Des Plaines, Ill. (USA), po raz czternasty	F. 105,00
Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 20-ty	F. 84,00
Vladimir Brylewski, Hollywood, Fl. (USA), po raz trzeci	F. 42,23
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA) — zamiast kwiatów na grób prof. Witolda Sworakowskiego	F. 433,00
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz trzydziesty dziewiąty	F. 100,50
Helena Buś, Milwaukee, Wisc. (USA) — dla uczczenia pamięci śp. Marii i Jana Głuszczyków	F. 12,50
Czytelnik z Polski, po raz dziewiąty	F. 98,00
Krzysztof Dymowski, Kristianstad (Szwecja)	F. 200,00
Renata i Juliusz Działot, Rosario de Santa Fé (Argentyna), po raz trzeci	F. 160,00
Jerzy Gintel, Caracas (Wenezuela), po raz 18-ty	F. 70,00
Inż. Zbigniew Hornung, Vlissingen (Holandia), po raz piąty	F. 30,00
H. Klicka, Jerozolima, po raz drugi	F. 10,00
Józef Kleszczyński, West Hartford, Conn. (USA), po raz piąty	F. 37,20
W. Kołaciński, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 12,50
Henryk Komeza, Trondheim (Norwegia), po raz czwarty	F. 36,50
Halina Kościuch, Detroit, Mich. (USA) — dla uczczenia pamięci syna Henryka i męża Mieczysława	F. 105,00
Edmund Kowalewski, Kelowna, B.C. (Kanada), po raz piąty	F. 51,25
Dr inż. M. Lawina, Dübendorf (Szwajcaria), po raz czwarty	F. 25,00
Kinga Łęcznar, Pompano, Fla. (USA) — zamiast kwiatów na trumnę śp. dr. Mariana Skowrońskiego	F. 42,00
A. K. Ludwig, Springfield, Ma. (USA), po raz ósmy	F. 33,50
J. A. Łuczkiwicz, Rancho Pales Verdes, Cal. (USA), po raz drugi	F. 175,00
Tadeusz Maczyński, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 63,00
Witold Mikułowski, Bamako (Mali), po raz drugi	F. 11,00
B. Obuchowski, Bankstown, N.S.W. (Australia), po raz trzeci	F. 60,00
Witold Osiniński, Lund (Szwecja), po raz trzeci	F. 100,00
Ryszard Piątkowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz siódmy	F. 700,00
J. J. Piórkowski, Forest Hills, N.Y. (USA), po raz piętnasty	F. 33,50
Irena i Andrzej Pleszczyński, Santa Barbara, Cal. (USA), po raz piąty	F. 210,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz jedenasty	F. 96,00
Zofia i Stanisław Sadowscy, Windsor, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 225,00
Prof. Aleksander M. Schenker, Hamden, Conn. (USA), po raz dziewiąty	F. 114,50
M. Sienko, South River, N.J. (USA), po raz czwarty	F. 33,50
Wiktor Skiba, Meksyk, po raz dwudziesty	F. 105,00
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz dwunasty	F. 84,00
S. Szynalski, Ste Agathe, Man. (Kanada), po raz trzeci	F. 105,00
Krzysztof Trokenheim, Sztokholm, po raz drugi	F. 50,00
Halina i C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada), po raz dziewiąty	F. 91,00
Wacław A. Winnicki, Cincinnati, Ohio (USA) — in memoriam sędziów śp. Józefa Lipki i śp. Maksymiliana Meli	F. 210,00
Łucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA), po raz trzynasty	F. 468,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja), po raz trzydziesty	F. 100,00
Bezimiennie z Bostonu (USA), po raz ósmy	F. 168,00
Bezimiennie z Chiasso (Szwajcaria), po raz szósty	F. 150,00
Bezimiennie z Kano (Nigeria), po raz drugi	F. 475,50
Bezimiennie z Latowicza (Polska), po raz trzeci	F. 200,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 175)

## Niewiedza czy świadomy fałsz

Dnia 26 stycznia br. wystosowałem do dyrektora zachodnioniemieckiej centrali telewizyjnej WDR i redaktora odpowiedzialnego za program filmowy „Holocaust”, panów Heinza Wernera Hübnera i Pereta Märthesheimera obszerną depezę, z której pozwałam sobie zacytować niewielki fragment:

„... zwracam się z prośbą o sprostowanie w dzisiejszej dyskusji po filmie fałszu, jaki zakradł się do zakończenia trzeciego odcinka Holocaust'u. Pojawia się w nim polski żołnierz w polskim pełnym umundurowaniu, jako współnik zbrodni hitlerowskich. Jest to kłamstwo historyczne. W czasie wojny nie istniała w Polsce umundurowana, regularna Armia Polska, żołnierze tej armii przebywali w tym czasie w obozach jenieckich w Niemczech albo w Sowietach...”

Po tym drobnym cytacie, obszerniejsze wyjaśnienie:

Zanim „Holocaust” trafił na zachodnioniemieckie ekrany, poprzedziły go przenikające na łamy prasy RFN odgłosy toczącej się na jego temat zaciętej zakulisowej dyskusji. Na różnych szczeblach. Wpierw, czy w ogóle ten serial, niezbyt wysokiego lotu artystycznego, bardzo kontrowersyjny, mówiący o sprawach drażliwych, zasługujących na rzeczowe potraktowanie winien być zakupiony i wyświetlany w Niemczech. Później, kiedy już zakupu dokonano (było bardziej, niż zrozumieli, że Niemcy nie mogą ryzykować w opinii międzynarodowej negatywnej decyzji wobec filmu o takiej właśnie tematyce), potoczyła się dyskusja, w którym programie go umieścić, w jakiej oprawie wyjaśniającej, o jakiej godzinie etc., etc. i wyczuwało się w niej podskórny lęk przed reakcjami, jakie film musi wywołać. Lęk przed reakcją młodego pokolenia, nieprzygotowanego przez szkołę i rodzinny

dom do terapii wstrząsowej, jak i lęk przed poruszeniem na nowo, wciśniętych w podświadomość wspomnień i wynikających z tego kompleksów pokolenia starszego, aktywnego w czasach hitlerowskich — nie były lękami jedynymi i największymi. Były to jednak niemieckie kłopoty, nie moje. Przyznam się, wszystko co dotyczyło w niemieckiej prasie amerykańskiego serialu, śledziłem nieuważnie i obojętnie. Tym bardziej, że w środowisku polonijnym poprzedziła go niedobra legenda (jakże prawdziwa, jak się później przekonałem), że nie tylko rozmija się z rzeczywistością historyczną na styku wojennych losów polsko-żydowskich i że jego ogólna wymowa jest antypolska, ale zawiera nadto jeszcze sceny wyraźnie uwłaczające polskiemu dobremu imieniu, szkalujące, wprowadzające w błąd. Ale i to, przyznam (dziś trochę ze wstydem) nie poruszyło mnie silnie.

Ponad osiem lat mieszkam na Zachodzie i wobec pewnych zjawisk obrosłem w grubą skórę. Tak więc przywykłem do smutnego faktu, że spora część wypowiedzi wspomnieniowych (dzienników, pamiętników), także utworów literackich pochodzących z kół żydowskiej emigracji ze Wschodniej Europy (zwłaszcza w USA) jest Polsce i Polakom bardziej niż niechętna. Mógłbym wymienić wiele publikacji żydowskich autorów, w których jeśli nie cały naród polski obciążany jest niemal na równi z hitlerowskimi Niemcami zbrodnią eksterminacji 6-ciu milionów Żydów, to w każdym razie poważna jego część, przy całkowitej obojętności, bierności, czy nawet wewnętrznej aprobacie antysemitki nastawionej reszty. Dawniej przecierałem oczy ze zdumieniem, przywykłem bowiem do myśli, że naród mój nie tylko nie miał Quislingów i nie przyłożył ręki do totalnego mordu Żydów, Cyganów i innych narodowości, które Hitler wciągnął na swoją szaloną listę wyniszczenia, ale że sam również na tej liście figurował, zbrojnie z okupantem walczył i stracił parę milionów obywateli. Mimo chłopięcych dopiero wówczas lat, przeżyłem ten straszny okres niezwykle aktywnie i odcisnął się w mej świadomości tysiącami faktów — od tych wspomnień do dziś nie potrafię się uwolnić. Zastanawiałem się więc czasem — czytając podobne enuncjacje i słuchając podobnych głosów — w jaki to zatem sposób ileś tysięcy Żydów na terenie mojego kraju zdołało jednak ocaleć, mimo że śmierć (i to często całej rodziny) była z reguły karą stosowaną przez Niemców za ukrywanie Żyda. A znam przecież wielu, którzy to ryzykowali. Miałem ich i wśród swych najbliższych. Leśnych ziemianek, w których przechowywały się rodziny żydowskie, opisanych w paru moich utworach literackich nie wzięłem z fantazji.

Późną jesienią ubiegłego roku dotarła do mnie z kręgu „Syndykatu Polskich Dziennikarzy na Obczyźnie” wiadomość, że sceny

„Holocaust'u” przedstawiające żołnierzy polskich u boku Niemców w różnych akcjach eksterminacyjnych (między innymi w zbiorowej egzekucji Żydów) zostały przez telewizję zachodnio-niemiecką usunięte. Ktoś dobrze poinformowany zauważył wówczas przy mnie ironicznie, że stało się to wcale nie na skutek protestów organizacji polonijnych z terenu RFN, ale że Niemcy taki właśnie, przycięty już, film zakupili od Brytyjczyków, zmuszonych do retuszów przez tamtejsze polskie związki kombatanckie. Nie wiem, jak naprawdę było, w udostępnionej mi obecnie korespondencji między stowarzyszeniem „Polski Wolnościowy Ruch Europejski”, a niemiecką telewizją znajduję zdanie: „... po sprawdzeniu filmu przez jednego z niemieckich historyków, wskazane przez Panów sceny zostały wycięte...”. Dziś, po obejrzeniu „Holocaust'u” stwierdzić mogę, że zniknęła z niego jedynie scena, w której polscy żołnierze służą Niemcom jako egzekucyjny pluton. Usunięto więc akcent antypolski najbardziej jaskrawy, nie chyba ponadto. Już w pierwszym odcinku bowiem pojawiają się osobnicy w polskich mundurach i rogatywkach na głowach, pikietujący wraz z Niemcami peron dworca (chyba warszawskiego), na którym wyładowuje się żydowską ludność. Ukoronowaniem zaś scen znieślawiających dobre imię polskiego żołnierza jest zakończenie odcinka trzeciego. Dobrze odkarmiony byczek w polskim mundurze i rogatywce z orzełkiem zjawia się na zaimprovizowanej przez dr. Weissa stacji sanitarnej i próbuje zagnać z powrotem do transportu „śmierci” wyrwanych przez doktora z tegoż transportu Żydów. Wymowa tej sceny jest tym obrzydliwsza, że sami Niemcy na próby ratowania przez dr. Weissa jego współplemieńców przymkają oko. I następnie scena z odcinka czwartego: wkroczenie oddziału polskiego wojska wraz z Niemcami na teren warszawskiego getta, gdzie właśnie zaczęło się powstanie.

Tu muszę na chwilę oderwać się od inkryminowanych scen, w ogóle antypolskiego charakteru filmu (książki pod tym samym tytułem także), by parę słów powiedzieć o całej atmosferze towarzyszącej wyświetlaniu „Holocaust'u” w Niemczech. To, co w tym tygodniu w tym kraju się działo, będzie na długo zapewne, jako fenomen socjologiczno-psychologiczny, przedmiotem rozważań historyków, socjologów, psychologów i innych specjalistów od rozsypywania gordyjskich węzłów ludzkich zachowań i tajników ludzkiej duszy, nie wyłączając, oczywiście, specjalistów w sutannach. Jeżeli nazwę ten tydzień wielką ogólnonarodową „mszą żałobną”, odprawioną przez Niemcy Zachodnie za miliony pomordowanych Żydów, nie ma (proszę mnie fałszywie nie zrozumieć) w określeniu „msza żałobna” cienia ironii pod czymkolwiek adresem. Te dwa słowa tylko, w moim mniemaniu, najprecyzyjniej oddają atmosferę zachowania się całych Niemiec w tych

właśnie dniach. Tu, oczywiście, nasuwa się refleksja: dlaczego tak późno do tego doszło, dlaczego asumpt do teje ogólnonarodowej mszy dać musiała dopiero produkcja, łagodnie mówiąc nie najlepsza artystycznie, coś w rodzaju pół-western'u w technicolorze, dlaczego kilkadziesiąt znakomych (przeze mnie samego wcześniej oglądanych) filmów na ten sam temat przeszło bez echa, podobnie jak setki książek i innych publikacji, do otrzymania przecież w każdej niemieckiej bibliotece czy księgarni.

To, czego w związku z „Holocaust'em” widownią w tych dniach były Niemcy, przekroczyło wszelkie wcześniejsze przewidywania, nawet instytutów zawodowo zajmujących się przewidywaniem. Jeżeli odcinek pierwszy oglądało (przyпуска tak na podstawie różnych obliczeń sama telewizja) ponad sześć milionów widzów, to drugi już dziesięć, a trzeci i czwarty około dwudziestu milionów. Film był wyświetlany we wszystkich trzecich programach, pokrywających swym zasięgiem całą RFN. Specjalnie utworzone wieloosobowe biura w Kolonii i Berlinie Zachodnim przyjmowały codziennie od dziewiątej godziny rano do pierwszej w nocy za pośrednictwem kilkunastu numerów telefonicznych tysiące pytań widzów z całych Niemiec, zgłaszanych uwag i pretensji, także, oczywiście, wymyślań, ale i spowiedzi, monologów wypełnionych przyznawaniem się do własnych i cudzych win, rozdzieraniem szat i szlochami, że to niemożliwe, albo że ja to osobiście widziałem(łam), czy też (najczęściej), jak do tego w ogóle mogło dojść. Mało tego. Redakcje telewizyjne zostały zasypane tysiącami listów i depeasz. I to jeszcze nie wszystko... Prawie w całych Niemczech w szkołach i gimnazjach lekcje religii i nauk społecznych (*Socialkunde*) musiano w tym tygodniu przeznaczyć na dyskusję nad filmem i problemami zbrodni hitlerowskich, tego bowiem domaga się od swych wychowawców młodzież. Dyskutowano w klubach, na zebraniach różnych stowarzyszeń, związków i stronnictw, w zakładach pracy, w kościołach (tym bardziej, że jednym z często stawianych przez młodzież pytań było: co zrobiły kościoły, aby zapobiec zbrodniom). Poza tym w prasie ukazały się niezliczone na ten temat artykuły, a obraz nie byłby pełny, gdybym nie wspomniał jeszcze, że po każdym wyświetlonym w telewizji odcinku „Holocaust'u” toczyła się na małym ekranie przez około dwie godziny (na żywo nadawana) dyskusja ekspertów. Słowem, narzucona Niemcom holywoodzka produkcja dokonała tego, czego nie potrafiło dokonać wiele filmów o podobnej tematyce, wśród których były także arcydzieła. Doprowadziła do ogólnonarodowej dyskusji nad przeszłością narodu, jego czynami, winą, nad piętnem, którym odcisnął się w historii i świadomości innych narodów. Doprowadziła do bicia się w piersi, czy też wypierania się, do mówienia,

że się o niczym nie wiedziało, lub że wiedziało wszystko, że to tylko garstka zwyrodnialców z SS dokonała tych zbrodni, albo że cały naród w ten czy inny sposób maczał w tej zbrodni palce. Słowem: zmusiła do nowych przemyśleń jeszcze, jak się okazało, nieostygłej przeszłości.

Wracam do mojej (zacytowanej na początku) prośby, skierowanej do panów Hübnera i Märthesheimera. Pozostawiono ją bez odzewu. Bez odzewu pozostawiono — jak się w kilka dni później dowiedziałem — kilkadziesiąt wysłanych na tenże sam adres podobnych depeasz różnych organizacji polonijnych, oraz przez Polaków zamieszkujących w Niemczech, czy nawet Niemców w jakiś sposób sentymentalnie związanych z naszym krajem, lub po prostu dotkniętych rażąca nieprawdą, nieuczciwością historyczną, która na nowo gmatwa, i tak już dość pogmatwane, stosunki polsko-niemieckie.

Przyznam się, że nie miałem wielkich nadziei, aby fałsz znajdujący się w filmie został przez TV niemiecką sprostowany. To też jest częścią mego nabytego w czasie paroletniej lekcji pobytu w Niemczech doświadczenia. Fałsz ten był pewnym Niemcom bardzo na rękę. Przy całej bowiem niemieckiej skłonności do ekspiacji (nie powątpiewam, że szczerzej), zauważyłem u nich inną jeszcze skłonność. Skłonność do poszukiwania współników (jakież to ludzkie!). Już dzisiaj nie dziwi mnie wcale, że jeden na pięciu poznanych bliżej Niemców przy okazji rozmowy na tematy ostatniej wojny, instynktownie niemal ciągnie do tematu żydowskiego i w końcu bąknie: „Słyszałem, że Polacy są urodzonymi antysemitami”. Skąd słyszał, gdzie, od kogo, nie umie zazwyczaj wyjaśnić, ot tak się słyszało, tak się mówi... Bardziej uprzejmy nie wypowiada tego zdania (mającego kilka wariantów) w formie twierdzącej, lecz pyta: „Czy to prawda, że Polacy są urodzonymi antysemitami?”. Co w rezultacie na jedno i to samo wychodzi. Dawniej zadawałem sobie zbyteczny trud, grzecznie i długo tłumacząc (zaczynając wywód od króla Cwieczka), jak to Polska w czasach, kiedy gdzie indziej palono Żydów na stosach przyjmowała ich na swych ziemiach, nadawała im wolnościowe przywileje, że chłop polski na szlachcica awansować praktycznie mógł tylko przez oszustwo, Żyd legalnie, przez chrzest, itd., itd. Trud zbyteczny, bo i tak nie byłem rozumiany. Ja mówiłem swoje, on myślał swoje, bo przecież, w jego mniemaniu, coś w tym musiało być, skoro tych sześć milionów wymordowano głównie na polskiej ziemi. Dzisiaj po prostu na tego rodzaju zdanie twierdzące mówię brutalnie: „Nie myśmy przecież Żydom zafundowali komory gazowe i krematoria”. Na pytanie, to samo zdanie rzucam w formie odpowiedzi.

Tą anegdotyczną dygresją chciałbym tylko podkreślić, jak bardzo fałszywe „Holocaust'u” były pewnym Niemcom na rękę. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu również prowadzona po każdym wyświetlonym odcinku dwugodzinna prawie dyskusja ekspertów, wśród których znalazło się wielu historyków. Byli między nimi tacy, którzy próbowali fenomen niemieckiego totalnego mordy na Żydach umiędzynarodowić i wytłumaczyć na tle ogólnoeuropejskiego antysemityzmu, byli inni, którzy usiłowali ograniczyć go do specjalnej kategorii Niemców (czyli zepchnąć problem w dziedzinę psychopatii), zawęzić do specjalnych jednostek, specjalnych oddziałów.

Ale w teście samej (cztery razy po mniej więcej dwie godziny) dyskusji tylko na samym początku jeden z dyskutantów zwrócił uwagę, że przecież prócz milionów Żydów, zginęły z rąk niemieckich także miliony Polaków, Rosjan i innych narodowości i jeszcze jeden później, który podniósł sprawę męczeństwa Cyganów, o których (nie mających żadnej państwowości) nikt się nie upomni i ich resztkom w Niemczech nie dano nawet nędznej satysfakcji w postaci renty za najbliższych. Natomiast, chociaż w dyskusji (cztery razy pod dwie mniej więcej godziny) wiele było mowy na temat niskiej jakości filmu, hollywoodzkiej tadety, trywialności, nieprawdopodobieństw sytuacyjnych (przychodzenie mężczyzny do bloku kobiecego, umieszczenie żony Aryjki razem z mężem Żydem itd.), to nikt z ekspertów nie sprostował słowem, że w filmie znalazło się nieprawdopodobieństwo, czy po prostu fałsz, kłamstwo dotyczące przecież nie drobiazgu, ale dobrego imienia całego sąsiedniego narodu, a mianowicie, że polscy żołnierze nie wykonywali nigdy funkcji niemieckich katów. Nikt z ekspertów nie powiedział, że po wrześniu w kraju polska armia (poza oddziałami partyzanckimi, mającymi inny charakter, i następnie powstańcami warszawskimi) w ogóle nie istniała, jakże więc mogła cokolwiek robić u boku Niemców. Powtarzam: nikt z ekspertów nie wytknął tego, choć znajdowali się wśród nich, prócz wspomnianych historyków (dla których taka sprawa nie może być obca), także ludzie, jak na przykład znany publicysta i krytyk niemiecki, profesor Reich-Ranicki, który osobiście przeżył getto warszawskie, i, jeśli się nie mylę, ocalał dzięki polskiej pomocy.

Do zaproszonych przez niemiecką telewizję ekspertów nie mam pretensji, że nie wspomnieli o współpracy komórek akow-  
skich z organizacjami żydowskimi w Polsce, o akcji „Żegota”, o przerzucaniu ludzi przez mury getta, melinowaniu ich, wyrabianiu aryjskich papierów, pomocy w żywności, lekarstwach i broni (czego polska strona też nie miała za wiele). Mogli panowie eksperci tego nie wiedzieć, nie umiemy swej działalności

reklamować. Były jednak w teście dyskusji głosy stwierdzające kategorycznie, że takiej działalności w ogóle nie było. Na przykład ekspert zaproszony z Francji, kierownik jakiegoś instytutu naukowego — Żydówka, pani dr Rith'a Karlmann — powiedziała wręcz, że na Wschodzie nikt nie bronił eksterminowanych Żydów, żadnych objawów tego rodzaju działalności nie było (i basta!). Od pani dr Rith'y Karlmann dowiedziałem się natomiast, że Żydów bronili tylko Francuzi i Holendrzy. Francuzi tak gorliwie, że na skutek tego sami wiele ucierpieli, a Holendrzy w obronie swych Żydów dokonali nawet powstania (*Aufstand gegen die Deutschen*). Przyznaję, że nie wiedziałem ani o jednym, ani o drugim, co kładę na karb swego głębokiego niedokształcenia i pani dr Karlmann jestem wdzięczny za przekazanie mi tych brakujących wiadomości. Dotychczas było mi tylko wiadomo, że Francuzi sami stworzyli rasistowskie ustawy idące dalej, niż ustawodawstwo norymberskie, że wydawali Żydów Niemcom bez większych skrupułów, a odpowiedzialny za to na szczeblu rządowym człowiek spokojnie zażywa sobie starości w słonecznej Hiszpanii, udzielając prasie cynicznych wywiadów o swej bojowej młodości. Jeśli chodzi natomiast o Holendrów, to wiedziałem, że społeczeństwo to przeciwstawiało się deportacjom Żydów, pomagało w ich ucieczkach za granicę, moralnie potępiając akcję eksterminacyjną. Ale jak widać mało wiedziałem i nawet w moim wieku można się jeszcze czegoś nauczyć.

Skoro już jestem przy dyskusji ekspertów (cztery razy po mniej więcej dwie godziny) i powiedziałem, że nie wspomniano w niej, iż armia polska nie brała udziału w żadnych akcjach eksterminacji Żydów — i to nie wspomniano nawet wówczas, kiedy do studia telewizyjnego napłynęły liczne w tej sprawie (w tym i moja) depeche i wiele osób (jak wiem) telefonicznie zwróciło uwagę na ów fałsz, to muszę od razu na wyrost zastrzec, że nie do przyjęcia jest dla mnie argument o braku na takie sprostowanie czasu. Bo nie zdziwiłbym się, gdybym z takim właśnie tłumaczeniem sprawy otrzymał wkrótce list od arcy-uprzejmego pana Hübnera, dyrektora WDR. A nie do przyjęcia jest dlatego, że dyskutujący panowie znajdowali czas na odpowiedzi i wyjaśnienia nawet spraw marginesowych, czasem wręcz banalnych, czasem mało istotnych, jak na przykład, czy dr Dorf jest postacią historyczną, czy wymyśloną, gdzie znajdowały się zakłady produkujące cyklon B, ile miejsc miała komora gazowa, czy Niemcy, jako naród, mają wrodzone skłonności do okrucieństwa, itp. A nawet — w trosce o spokój i spoiwość rodzin byłych SS-mannów — był czas na spełnienie telefonicznych życzeń, z których jedno, charakteryzujące pozostałe — przytaczam za korzystającą ze stenogramu dyskusji gazetą *Frankfurter Allge-*

*meine Zeitung*. Oto ono: „... w naszej rodzinie grozi prawdziwa katastrofa, jeżeli natychmiast nie stwierdzicie różnicy między plutonami egzekucyjnymi (*Erschiesungskommando*), a formacjami *Waffen-SS*”. Oczywiście, panowie dyskutanci tę różnicę wyjaśnili. Pod koniec dyskusji (cztery razy po dwie mniej więcej godziny) przewodniczący zwrócił się do prowadzącego biuro obsługi telefonicznej i zbierającego depesze, czy jest jeszcze jakieś do wyjaśnienia pytanie. Padła odpowiedź, że nie. To „nie” ze strony niemieckiej telewizji, w tak istotnej dla honoru naszego narodu i kraju sprawie, poważnie obciąża, moim zdaniem, klimat wzajemnych naszych stosunków.

Być może dla widza „Holocaust'u” w Japonii, na Cejlonie, albo w Tajlandzie będzie sprawą obojętną czy jakiś ukazany w filmie, w roli zbrodniarza, żołnierz ma polski mundur, rogatywkę i orzełek na niej, czy jest nazwany Polakiem, czy wbrew wymowie munduru próbuje się go (w jednym wypadku) nazywać Litwinem. Po prostu nie wiem, nie myślę zabierać głosu na temat reakcji widzów krajów, których nie znam. Twierdzą natomiast, że to, co może być obojętne dla Japończyka, Cejlończyka, Tajlandczyka, nie jest obojętne dla szarego Niemca. Szczególnie w owej, nakreślonej przeze mnie, niemal historycznej atmosferze, jaka towarzyszyła wyświetlaniu omawianego filmu. Nie jest obojętne, że otrzymuje na ekranie z pieczęcią poważnych autorytetów, historyków i innych ekspertów „dowód” polskiego współnictwa w zbrodni. Kierownictwo telewizji niemieckiej, kończąc dyskusję nad filmem, od razu na gorąco podjęło zobowiązanie powtórzenia go wkrótce w pierwszym programie ogólnokrajowym. Powinno chyba przedtem to i owo przemyśleć.

Tutaj dochodzimy do jeszcze jednej niebagatelnej wcale sprawy. Odpowiedzialności twórców za słowo, za obraz, za zestaw faktów, za ich interpretację. To ogólnie. Konkretnie zaś, jeśli chodzi o „Holocaust”, do odpowiedzialności twórców tego filmu za to, co się stało. Jeżeli postawić pytanie, czy historyczny, uwłaczający naszej narodowej pamięci, fałsz znalazł się w filmie na skutek niewiedzy jego twórców i jakiegoś przeoczenia, czy też świadomej prowokacji — słowem na skutek chęci dania upustu nienawiści do naszego kraju i narodu — ja osobiście opowiadam się za tym drugim. Film, w momencie powstawania miał zbyt wielu konsultantów z różnych dziedzin, aby twórcy mogli kryć się za parawanem niewiedzy. I dlatego zarzucam im świadome „polakożerstwo”. Napawa też głębokim smutkiem fakt jeszcze inny, że drogi narodów zamieszkujących przez parę wieków tę samą ziemię rozchodzą się coraz bardziej.

Włodzimierz ODOJEWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

## WZNOWIENIA

WITOLD GOMBROWICZ  
D Z I E N N I K I

(Tomy VI, VII i VIII „DZIEŁ ZEBRANYCH”)

**Dziennik** T. I. (1953-1956) str. 304 — F. 55,00

**Dziennik** T. II (1957-1961) str. 256 — F. 50,00

**Dziennik** T. III (1961-1966) str. 224 — F. 40,00.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 299 — LESZEK KOŁAKOWSKI

## GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powtanie — Rozwój — Rozkład  
Tom III

Zawiera m.in. rozdziały: Pierwsza faza marksizmu sowieckiego. — Początki stalinizmu. — Spory teoretyczne w marksizmie sowieckim lat 20-tych. — Marksizm jako ideologia państwa sowieckiego. — Antonio Gramsci — rewizjonizm komunistyczny. — Georg Lukács — rozum na służbie dogmatu. — Lucien Goldmann. — Szkoła frankfurcka i teoria krytyczna. — Herbert Marcuse — marksizm jako utopia Nowej Lewicy. — Ernst Bloch — marksizm jako gnoza futurystyczna. — Rzut oka na przemiany marksizmu lat ostatnich.  
Str. 536. Cena F. 110,00.

Tom II-gi — zawierający 544 strony kosztuje F. 110,00.

## Podróż do Chin

„Więcej, pręcej, lepiej, i oszczędniej”.

Mao Tse-tung: *O zasadach budowania socjalizmu*, 1956.

W drugiej połowie lat dwudziestych naszego stulecia, w pewnych sferach inteligencji — od Oxfordu do Columbia University, od Buenos Aires do Warszawy — należało do dobrego tonu bezkrytyczne chwalenie tego co wtedy działo się w Rosji Sowieckiej. Nie jest pewne czy którykolwiek z ogarniętych zachwytem inteligentów przeczytał choćby powierzchownie prace Lenina, który był o wiele mniej optymistyczny w ocenie swego dzieła i już na długo przed faktem przewidywał że ugruntowany przez niego ustrój może łatwo przekształcić się w biurokrację państwowego kapitalizmu a sentyment międzynarodowej solidarności może ulec transformacji w imperializm.

Zresztą, wątpliwe jest czy jakakolwiek lektura wpłynęłaby wówczas na bezładny podziw dla rosyjskiego komunizmu który potrafił chwilowo oczarować takie intelektu jak Koestler, Silone, Malraux, Joliot-Curie i wielu innych.

Obecnie, pół wieku później, daje się zauważyć w niektórych kołach intelektualnych podobny zachwyt dla tego co dzieje się w Chinach od 1949. Znowu powstają różne stowarzyszenia chińsko-zachodnie i rozwija się — szczególnie wśród lewicujących — swego rodzaju kult, określaną jako Maoizm.

Myślałem o tym gdy postanowiłem odbyć podróż do Chin komunistycznych, bodaj najbardziej intrygującego z państw współczesnych.

Historia mojej chińskiej wizy jest może warta zanotowania, już choćby dlatego że od razu wprowadziła mnie w atmosferę dotychczas mi nie znaną: nieufności ogromnego państwa wobec

raczej niewinnego podróżnika, którego celem było zetknięcie się ze starą kulturą i przyjrzenie się z bliska jedynemu w swoim rodzaju eksperymentowi socjalnemu — przeskoczenia z warunków niemal średniowiecznych do stanu nowoczesności w ciągu niecałych trzydziestu lat.

A już myślałem że mnie nie wpuszczą: Zaczęło się w 1974 roku gdy napisałem do ambasady w Kanberze krótki list z prośbą o formularze wizowe i broszury informacyjne. Odpowiedź była szybka, lakoniczna i obcesowo odmowna, nawet nie podpisana: że za dużo reflektantów; więc może innym razem. Mimo to nie dałem za wygraną i dwa lata później, gdy miałem już zorganizowaną podróż do Japonii, poprosiłem jednego ze znajomych w korpusie dyplomatycznym aby wywiedziać się dyskretnie co w trawie piszczy. Już po tygodniu odradził mi; znowu ta sama historia: czekaj tatko latka. Tym razem byłem zły — bo z Tokio do Pekinu byłby tylko skok i duża oszczędność finansowa.

Byłem także zaintrygowany lakonicznością odpowiedzi mego dyplomatycznego znajomego. Więc znowu odczekałem dwa lata i postanowiłem ponowić atak. Tym razem zwróciłem się do chińskiej sekcji konsularnej za pośrednictwem biura podróży, i wreszcie otrzymałem niedwuznaczną odpowiedź: że „dziennikarze, członkowie duchowieństwa i dyplomaci nie mają wstępu do Chin jako turyści”.

Mówiąc niedyplomatycznie, wściekłem się i w pierwszej chwili chciałem im wygarnąć co miałem na wątrobie — ale wtedy już bym Chin nie zobaczył. Pozostał mi jeszcze jeden atut. Napisałem do kierownika sekcji konsularnej i powiadomiłem go że jestem nie tylko dziennikarzem, ale także pisarzem i stałym członkiem Pen-Clubu. Żeby nie było nieporozumienia wysyłałem to wyraźnie: że należę jako *full member* do *International P.E.N.* List zredagowałem tak, aby można było wyczytać między wierszami, że Pen-Club mógłby w razie zawiadomienia ująć się za mną i poprosić o wyjaśnienie.

Chwyciło — i nawet nie byłem tak bardzo zdumiony. Od dwunastu miesięcy Chińska Republika Ludowa prowadzi intensywną ofensywę dyplomatyczną wśród państw Drugiego i Trzeciego Świata — aby zyskać przyjaciół i wpływy. Więc może nie byłoby im na rękę właśnie teraz narazić się na poważną interwencję w tak błahej sprawie. Tak czy siak, faktem jest że już po dziesięciu dniach otrzymałem grzeczną odpowiedź i w ciągu najbliższych tygodni wymieniliśmy aż sześć listów. Musiałem podać najpierw okoliczności przyjęcia do Pen-Clubu, potem życiorys i na koniec dokładną trasę proponowanej podróży. Wreszcie wiza nadeszła na kilka dni przed datą zarezerwowanego odlotu.

Była to tzw. *loose leaf visa* czyli nie wstemplowana do pasz-



portu lecz załączona jako luźna kartka. Wystarczy aby taki świstek (8 na 10 cm.) „przypadkowo” zapodział się, by narazić posiadacza na zarzut nielegalnego pobytu aż do wyjaśnienia. W kołach fachowych taka wiza nazywa się „mieczem Damoklesa”. Niech tam. Jednak pojedę.

### *Hong Kong - Lo Wu - Shum Chun*

Na załatwienie formalności wjazdowych przed bambusową kurtyną wystarczy mi kilka godzin — czyli trzeba coś zrobić z resztą wolnego czasu. Ponieważ jestem w Hong Kongu po raz szósty wiem, że to nie Rzym ani Paryż; że tu nie ma nic wartego oglądania za cenę niewygody przebywania w tym tropikalnym gorącu, z dala od błogosławionej klimatyzacji hotelowej.

Więc zatelefonowałem do F. i umówiłem się z nim na tarasie Bauhinii, nad wodą. F. jest jednym z tych dziennikarzy którzy nie mogą dostać chińskiej wizy i — wraz z około dwoma tuzinami jemu podobnych — siedzi w Hong Kongu. To są ci słynni, a raczej osławieni „China watchers”. Praca tych tzw. korespondentów specjalnych polega na codziennym czytaniu dwóch pekińskich gazet, *Dziennika Ludowego* i *Dziennika Armii* w przekładzie / kondensacji wydawanej przez jakąś kto wie czy nie czerwoną firmę publikacyjną. Poza tym F. i jego urzędujący w przyćmionych barach koledzy zawzięcie zbierają wszelkie plotki też chyba lansowane przez Pekin w ramach codziennej dezinformacji, praktykowanej przez wszystkie państwa. Z takiego to „materiału” powstaje potem niejedno „poważne” dzieło sinologiczne w kilku tomach.

F. jest tak zaszokowany faktem otrzymania przeze mnie wizy, że aż pozwala aby mu piwo zbladło. Chce tę kartkę obejrzeć — inaczej nie uwierzy. Muszę obiecać że mu dam choćby krótkie streszczenie moich wrażeń po powrocie i że przywiezę brakujące mu numery *Beijing Zhoubao*, wychodzącego od szesnastu lat pekińskiego tygodnika informacyjnego w siedmiu językach.

*Donnant donnant* — F. zafundował mi za to jazdę w swej motorówce i popłynęliśmy do niedostępnego dla normalnego turysty miasteczka na wodzie, które dotychczas znałem tylko ze słyszenia. Teraz oglądam te zakotwiczone kadzie — i zadaję sobie pytanie czy i ja mógłbym, gdybym musiał, mieszkać w tak straszliwych warunkach: brudu, smrodu i izolacji od ludzi. Wątpię.

Nazajutrz, wczesny odjazd z Hong Kongu. Nowa, modernistyczna stacja kolejowa — ale pociąg podmiejski z turkoczającymi wagonami nie jest taki nowoczesny. W niezbyt szybkim tempie mijamy *slumsy* na Nowych Terytoriach aby wreszcie zatrzymać

się na stacji Lo Wu. Już z peronu widać most którego środek jest granicą między kolonią koronną Jej Królewskiej Mości i Republiką Ludu Chińskiego. Po drugiej stronie rzeczki jest Shum Chun, gdzie czekają na nas celnicy, straż graniczna, służba zdrowia i pociąg do Guangzhou, czyli Kantonu.

Ponieważ jeszcze nie byłem za (żelazną czy bambusową) kurtyną więc skłamałbym gdybym powiedział że nie jestem trochę załężniony czy może onieśmielony, w czym zresztą nie jestem odosobniony. Nawet stojący obok mnie Islandczyk, który w pociągu był taki wylewny i pewny siebie, teraz patrzy nieśmiało na zbliżającego się do nas, zresztą nieuzbrojonego, Chińczyka w zielonym mundurze z błyszczącą czerwoną gwiazdą na czapce.

Brytyjski policjant — też Chińczyk — salutuje i uśmiecha się do nas jakby pocieszająco, a może kpiąco. Po przebyciu mostu zostajemy skierowani do poczekalni z wygodnymi fotelami. Tu dostajemy pierwszą z wielu następnych filiżanek zielonej herbaty, z przykrywką dla zachowania aromatu. Można się do niej przyzwyczać pomimo że jest bez cukru.

Te fotele i ta herbata są najwyraźniej psychologicznie obmyślane. Bo kontrola walutowa do której nas potem zaprowadzono, acz sprawna i dobrze zorganizowana była tym nie mniej bardzo ścisła. Trzeba dokładnie podać ilość posiadanych środków płatniczych i uprzedzają że każda transakcja w Chinach musi być udowodniona pokwitowaniem, nawet taksówka.

Rewizja bagażu nie jest taka ostra i celnicy są uprzejmi, pogodni, niemal życzliwi. Znać w tym przeszkolenie. Może ktoś zauważył że nowoprzybyli są nieco wystraszeni faktem znalezienia się w Chinach — i zdecydował iż trzeba temu subtelnie przeciwdziałać przez dobranie odpowiedniego personelu. Jak się potem przekonałem, podejście do cudzoziemców jest opracowane według jakiegoś ogólnego planu. Np. każde przywitanie składało się z niemal identycznego układu zdań.

Nareszcie jestem w wagonie. Siedzący naprzeciwko mnie Anglik mówi że ten przedział napawa go nostalgicznymi asocjacjami, przypomina czasy gdy pociąg to był komfort, luksus i przyjemność. Istotnie, takiego urządzenia nie powstydziliby się Nord Express czy przedwojenny francuski PLM. Fotele pokryte świeżym pokrowcem i koronkami, doniczki z kwiatami, firanki z bawełnianego aksamitu, dywan i szeroki wagon, z sufitem na wysokości jedenastu stóp. To jest pierwsza klasa. Aby zobaczyć jak żyje druga połowa wyszedłem na peron i znalazłem wagon napełniony Chińczykami. Zajrzałem: czysto i schludnie, ale nie ma pokrowców na twardych ławach. Zastanawiam się co oni myślą widząc że wszyscy turyści siedzą w luksusowych przedziałach; że są barwnie ubrani.

Na tle zielonego, ładnego pociągu odbija nieco ujemnie z grubsza wykończona stacja, wyraźnie nowa, niedawno zbudowana lecz szara i nie wygładzona.

Znów na fotelu, wyjmuję otrzymaną od celnika kartkę informacyjną na której podane jest między innymi że „*export is prohibited of printed matter and other materials detrimental to China's politics, economy, culture and ethics*”.

Czyżby z tego wynikało że mój notatnik ma zawierać tylko ekstatyczne pochwały? Zatem będę musiał zastosować kamuflaż słowny, co nie powinno być trudne. Lecz w jakim języku mam pisać — po polsku, jak zwykle, czy po angielsku aby nie podpaść. I z historią mojej wizy — czy oni ten notes tak łatwo przepuszczają?

Takich problemów nie miałem w innych krajach.

#### Przez Kanton do Pekinu

Ekspres z Shum Chun jest klimatyzowany. A Guangzhou, czyli Kanton, leży dokładnie na Zwrotniku Raka — dlatego po wyjściu na peron czuję się mokry, gorący i oszołomiony. Nie poprawia sytuacji wejście do autobusu chińskiej produkcji — nowego, błyszczącego i wygodnego, ale zaopatrzonego tylko w śmigły wentylujące czyli przepychające stęchłe powietrze z jednego miejsca na drugie. Gdy potem zapytałem jedną dyrektorską szyszkę dlaczego nie zaopatrzone nowych wozów także w przyzwoite urządzenia chłodzące — odpowiedział mi poważnie i bez śladu żaźnienia, że Chiny wciąż są krajem biednym i mają ważniejsze priorytety.

Chyba dlatego nie widzę na ulicach ani jednego samochodu prywatnego, tylko zielone wozy wojskowe, autobusy miejskie wypchane jak pudełka sardynek i wielkie ciężarówki przeważnie importowane z Japonii. Jak się później przekonałem tak samo przedstawia się sytuacja samochodowa w innych miastach. Wozami osobowymi jeżdżą tylko dygnitarze — w czarnych limuzynach z zasuniętymi firankami; oraz nie tak ważni członkowie aparatu rządzącego w mniej wystawnych szarych autach marki Shanghai. Innych marek ni typów nie ma — bo po co; gdy nikt z nikim nie konkuruje i nie marnuje kapitału na reklamę.

Lotnisko w Kantonie jest największe ze wszystkich jakie w Chinach widziałem — toż to brama wjazdowa do Państwa Środka. Nad zegarem wielki napis angielski: *Serve the People*. Inne napisy w trzech językach: chiński, angielski i rosyjski. Ten ostatni zastanawia mnie: w tym ustroju nic nie jest przypadkowe; więc napisy rosyjskie muszą mieć swoje znaczenie — pomimo

wciąż zawziętej kampanii antysowieckiej w prasie, w radio i telewizji. Takie same nadruki cyrylicą widziałem też we wszystkich hotelach, w bankach i na poczcie; niektóre najwyraźniej świeżo malowane. Ciekawe.

Wsiadłem do Boeinga 707 Chińskiego Lotnictwa Cywilnego. Na polu startowym widzę kilka Tridentów i dwa turbosmigłowe czteromotorowce, już dawno wycofane w Europie. Widocznie, pomimo że od Wielkiego Skoku Naprzód minęło już ponad dwadzieścia lat — Chiny dopiero wchodzą w pierwsze stadium transportu odrzutowego. Lecz i to jest wielki postęp jeżeli wziąć pod uwagę że do 1949 roku w tym kraju w ogóle nie produkowano maszyn, nawet do szycia.

Najchętniej porozmawiałbym z siedzącym obok mnie śniadym brunetem w typowej bluzie: twarz inteligenta i trudny do określenia wiek. Więc nakładam na twarz mój najlepszy uśmiech i próbuję nawiązać rozmowę. Nic z tego — nawet mój słaby rosyjski nie chwycił. Odpowiedzią jest błąd, typowo azjatycki uśmiech i nic więcej. Ta bariera językowa w ciągu najbliższych tygodni nie raz doprowadziła mnie do frustracji. Po raz pierwszy przebywam w kraju którego mowa jest mi zupełnie obca i gdzie inne języki nie pomagają w porozumiewaniu się z tzw. ulicą, jak np. francuski na Bliskim Wschodzie. Czy będę zatem skazany na zetknięcia czysto oficjalne lub urzędowo umożliwione, oraz na czytanie prasy obcojęzycznej wydawanej przez *Guozi Shudian* czyli *Centre de Publications de Chine*. To ograniczyłoby mnie do dawek czystej propagandy, mniej lub więcej subtelnej. Jedyłą pociechą jest mój adwokacki trening wydobywania odpowiedzi bez zadawania pytań. Może będę też miał ten łut szczęścia jaki czasami pozwala na znalezienie kontaktów informacyjnych i w tak hermetycznym ustroju jak chiński.

Znów w autobusie — z lotniska do hotelu — choć teraz klimatyzacja już nie jest problemem bo jestem w Pekinie. Jest jesień i wieje zimnawy wiatr z Mandżurii, odległej o pół godziny lotu. A rano byłem na zwrotniku i oglądałem plantacje bawełny — to jednak ogromny kraj. Z tą rewelacyjną myślą zasnąłem pół godziny później w pokoju na ósmym piętrze.

Gdy budzę się jest szary, chmurny dzień i pada deszcz. Z okna hotelowego widzę tysiące cyklistów jadących do pracy i oglądam cztery czerwone tablice z białymi napisami (mniej więcej pięć metrów kwadratowych każda). Są oficjalnym środkiem politycznego uświadamiania ludu chińskiego. Są to ceglane i tynkowane ściany na murowanych postumentach, ustawione prawie na każdym skrzyżowaniu ulic, na placach i niekiedy całymi rzędami na szerszych arteriach. Jeżeli napis kończy się wykrzykni-

kiem — to jest swego rodzaju egzortą propagandową. Gdy zakończony jest kropką — jest cytata jakiegoś teoretyka partyjnego, czasem przedrukiem z Małej Czerwonej Książeczki.

Tu należy dodać że wspomniana Książeczka — aczkolwiek przypisywana Mao Tse-tungowi — została zredagowana przez Departament Polityczny Ludowej Armii Wyzwolenia i wydrukowane w niej tzw. cytaty z dzieł Przewodniczącego są w istocie specjalnie spreparowanymi dla ludzi prostych hasłami, które siłą rzeczy zawierają mnóstwo banałów i przeto mogą osobom nie-uświadomionym dać fałszywe wyobrażenie o poziomie intelektualnym Mao Tse-tunga, człowieka głębokiego i poważnego teoretyka. „Little Red Book” była skompilowana tylko dla pokolenia, które dopiero co nauczyło się jako tako czytać i rozumować politycznie. Obecnie Czerwona Książeczka jest powoli wycofywana z obiegu jako niepotrzebna nowemu pokoleniu wyrosłemu w epoce powszechnego szkolnictwa i edukacji politycznej.

Drugą cechą charakterystyczną porewolucyjnej urbanistyki chińskiej są drzewa które zasadzono wzdłuż wszystkich ulic — aby dać mieszkańcom miast trochę zieleni i ozonu, oraz jakąś namiastkę estetyki naturalnej. Albowiem zwycięscy rewolucyjniści Długiego Marszu, gdy nareszcie wypędzili Kuomintang na Taiwan i objęli władzę w trzecim co do obszaru i pierwszym o ile chodzi o zaludnienie kraju na ziemi — przejęli w spadku państwo, które w ciągu ostatnich stu lat było bezustannie i bez litości niszczone przez okupantów, swoich i obcych, z których szczególnym okrucieństwem wyróżniła się Japonia, obecny imperialny kontrahent paktu pokoju i *przyjaźni* ze swoim komunistycznym sąsiadem przez wodę.

Nic dziwnego że Chiny są krajem wciąż nieodbudowanym. Dlatego te drzewa zasadzone przed ćwierćwieczem są wciąż potrzebne; zakrywają blizny, dodają trochę uroku *slums*'om, zasłaniają niektóre szopy i rudery — oraz przydadają się do umocowania linki od okna do konaru, dla wywieszenia bielizny aby się suszyła i brudziła w tym nieustannym kurzu, unoszącym się z rozwalonych ruin i stawianych na ich miejsce niezbyt ładnych ale przecie funkcjonalnych domów mieszkalnych dla jednej czwartej ludności naszego globu.

### *Pekin — realia*

Przed śniadaniem telefon od mojej „opiekunki” która pyta czy mam ochotę trochę obejrzeć stolicę. Wiadomo, toć po to tu przyjechałem.

Już w drodze do Kantonu panna S. opowiadała mi że jest wykładowcą na wszechnicy, na wydziale anglistyki. Jej uczniowie to przyszli nauczyciele angielskiego których się teraz przygotowuje tysiącami w związku z planowanym wprowadzeniem nauki tego języka do wszystkich szkół średnich. Obecnie uczą go tylko w gimnazjach wyselekcjonowanych.

Młoda S. ma duże niewinne oczy — lecz ja mam podstawy do podejrzenia, że jest ona więcej niż lektorką na pracy wakacyjnej. Na przykład znane jej są szczegóły, których mogła dowiedzieć się tylko z życiorysu jaki musiałem wysłać do sekcji konsularnej przed otrzymaniem wizy. Ona wie nawet więcej — z czego wnioskuję że mnie dość starannie „rozpracowali”. I wydaje mi się że ona mi to ujawnia z rozmysłem, bo nie posądzam jej o naiwność. *Two can play this game* i może przy okazji i ja zadam jej kilka wścibskich pytań. Na razie jedziemy wzdłuż szeregu takich czerwonych napisów z których nie rozumiem ani jednego ideogramu. W stronę centrum miasta.

Chociaż, Pekinu nie można nazwać miastem w standardowym znaczeniu tego słowa. Centrum z wspaniałym placem Tien An Men wygląda jak gigantyczna wystawa architektury, w której kontury Ming mieszają się ze stylem epoki Mao. Tuż za zakretem znów łątane domy, upadające parkany drewniane i sześcienne metry cegieł obok setek worków cementu i stert żerdzi bambusowych dla rusztowań budowlanych. Tuż za tym zaczyna się nieoczekiwanie dzielnica rolnicza z kanałami irygacyjnymi i łąkami ryżu, kukurydzy, kapusty i innej zielenizny jaka ustępuje miejsca sektorowi fabrycznemu. Tu i ówdzie, ni przypiął ni przyłatał, stoi jakiś monumentalny budynek: teatru, opery dzielnicowej, czy zwykła szopa z kinem. Tylko z nisko latającego aeroplanu mogłem potem rozróżnić wyłaniające się z tego niby-chaosu planowane arterie i zarysy przyszłej stolicy; projektowane szerokie aleje i place można wyobrazić sobie z postawionych już rzędów słupów latarnianych zakończonych gronami dziewięciu lamp. Takich samych lamp jakie teraz — wykończone, pomalowane i przyłączone do sieci — oświetlają Tien An Men.

Właśnie mijamy wielką, ciemnoszarą i — jak się dowiaduję — niedawno znów udostępnioną dla wiernych katedrę katolicką.

Na ulicach tysiące rowerzystów zachowujących się jak panowie jezdni, bo są w przygniatającej większości. Chyba każdy Chińczyk ma rower, do czego w niemałym stopniu przyczynia się topograficzny układ wschodniej części kraju, niemal idealnej płaszczyny na której koncentruje się 96 % ludności państwa. nierówności terenowe zostały już dawno zniwelowane w celach racjonalnego nawadniania; w umiejętności irygacji Chiny zajmują pierwsze miejsce na świecie. Ten talent — i wymagana przy

tym ogromna pracowitość — pozwala im liczyć na co najmniej dwa i najczęściej trzy zbiory rocznie, niezbędne dla wykarmienia milionów dochodzących do dziewięciuset — w tym trzydzieści milionów członków Komunistycznej Partii Chin.

Nasz samochód staje, zatrzymany przez urzędującego w swej szklanej wieżyczce policjanta, który manipuluje światłami ręcznie, albowiem nie ma dotychczas w Chinach automatycznej regulacji ruchu kołowego. Dużo jeszcze jest w tym kraju do zrobienia.

Obserwuję przesuwających się cyklistów i przechodniów. Nikt nie spaceruje, każdy idzie z określonym celem, jak mrówka — to jest widoczne na ich twarzach. Już zdążyłem przyzwyczać się do ich jednolitego ubrania, do tych szarych spodni i ciemnoniebieskiej bluzy kroju półwojskowego z charakterystycznym „kołnierzem Mao”. Jak mi (anegdotycznie) powiedziano, członka partii można poznać po zapiętym górnym guziku, kacyka niższej rangi po lepszym materiale bluzy; dygnitarza z Centrum po bluzie skrojonej na miarę.

Tak samo monotonnie ubrane są kobiety. Lecz już nie wszystkie. Niektóre uzyskały pozwolenie na zastąpienie szarych pantalonów spódnicą — gdy np. idą do restauracji z grupą cudzoziemców, jak moja „opiekunka” która nawet na tę okazję włożyła bluzkę z niezbyt wyzywającą koronką. (Następnego dnia znów była w „uniformie”).

Te wyjątki okazały się niebezpiecznymi dla reguły precedensami. W innych, socjalnie mniej wyróżnionych, niewiastach obudziło się *das ewig weibliche* i teraz nie należy do rzadkości spotkanie na ulicy, szczególnie w góręskich prowincjach południowo-wschodnich — kobiety w barwnej, najczęściej różowej bluzce. Natomiast zaraza niejednorodności stroju nie przeniosła się jeszcze na mężczyzn — może dlatego że tu partia nie ustąpiła. Albowiem w Chinach rządzi Partia i co do tego nikt nie ma niebezpiecznych złudzeń.

Ta jednolitość ubioru — tak jak te drzewa wzdłuż ulic — była posunięciem psychologicznie uzasadnionym. Postawiła masy ciężko pracujące i mniej zarabiające na równi z intelektualistami, czyli klasą jaka w Chinach wciąż wykazuje tendencje do elitaryzmu, datujące się jeszcze od czasów Konfucjusza i mandarynów do ósmego stopnia, którzy jeszcze na początku bieżącego stulecia odmawiali bratania się z półniewolniczym plebem i oddzielali się odeń głębokimi fosami i wysokimi murami. Chyba dlatego Pekin (i inne miasta) jest po dziś dzień mieszaniną wsi, fortecy, grodu mieszczańskiego i osiedli przemysłowych. I długo jeszcze potrwa nim Chińska Republika Ludowa będzie mogła pochwalić się odpowiednią do jej wielkości stolicą, już teraz liczącą osiem milionów dusz.

Wszystko wskazuje na to że gospodarze obecnych Chin, czyli Centralny Komitet, jasno zdają sobie sprawę z sytuacji — wiedzą iż nie wystarczy ludzi ubrać w podobne półmundury aby spoić ich w jedną masę produkcyjną. Następnym krokiem był zatem i logiczny i konsekwentny: każdy inteligent chiński winien odbyć staż na roli, w fabryce czy na budowie. Spotkałem takie jednostki w komunach, przy warsztatach i w przychodniach leczniczych; z niektórymi mogłem porozumieć się swobodnie i dowiedziałem się że wciąż traktowano ich jako inteligentów. Celem stażu roboczego jest choćby częściowe wykorzenienie elitaryzmu który — według Mao i jego następcy Hua Kuo-fenga — sprowadził na manowce komunizm rosyjski, przemienił go w kapitalizm państwowy, w rządy biurokratów i technokratów.

### Pekin — fasada

Nazywa się Tien An Men (co, o ile się nie mylę, oznacza Plac albo Brama Niebiańskiego Spokoju) i można nań wprowadzić pół miliona wojska w zwartym szyku, co zresztą nie jest taką wielką liczbą w blisko 900-milionowym państwie. Tu jest centrum nowozbudowanej dzielnicy reprezentacyjnej, postawionej po Wyzwoleniu i architektonicznie połączonej z kompleksem pałaców dawnego grodu wewnętrznego, w którym z kolei mieściło się kiedyś Zakazane Miasto, gdzie za pięćdziesięciometrową fosą i za dziesięciometrowym murem mieszkali cesarze, niektórzy poważnie chorzy na manię prześladowczą, albo na strach przed *dies irae*.

Po prawej stronie wejścia na plac stoją dwa wielkie i dobrze wykonane portrety, permanentnie umocowane: Stalin w mundurze generalissimusa i Lenin w cywilu, w doskonale skrojonej marynarce z pięknym, świetnie zawiązanym krawatem. Nie jestem w tym miejscu frywolny — właśnie ten krawat przede wszystkim rzuca się w oczy — jak by powiedział reżyser filmowy: *it steals the show*. Przez chwilę podejrzewam czy to nie jest pomyślane — szczególnie w zestawieniu i portretami skromnie i niemal surowo ubranych przywódców nowych Chin.

Tu, obok dawnych świątyń, świętych bram i pomniejszych pałaców postawiono grupę nowoczesnych, tylko lekko na chińsko stylizowanych budynków. Tu też stoją pomniki Bohaterów Ludu, Bojowników Rewolucji i najważniejszy: pomnik-mauzoleum Mao Tse-tunga flankowany czterema grupami rzeźb i aleją kwitnących (gdy ja je oglądałem) granatów. Gmach jest piękny i imponujący, zajmujący — jak czytam — 20 tysięcy metrów kwadratowych.

Do wejścia trzeba ustawić się czwórkami które potem rozdzielają się na dwójki i wkraczają do hali gdzie na katafalku

z szarego marmuru otoczonego kwiatami, w kryształowej trumnie spoczywają zwłoki Mao w szarej bluzie. Dolna połowa ciała jest przykryta czerwoną flagą ze złotym sierpem i młotem. Nie wiedziałem że młot i sierp są symbolem Komunistycznej Partii Chin — teraz wiem. Twarz Przewodniczącego jest szara, pomarszczona, starcza — nie próbowano jej upiększyć. Przy trumnie gwardia pod bronią: Zielone mundury, czerwone wyłogi, białe rękawiczki. Cisza prawie absolutna i poważny nastrój — nie tylko z powodu zabalsamowanego Wodza, ale też dzięki subtelnej architekturze wnętrza, ciemnej boazerii, czerwonemu granitowi i białym marmurom oraz sufitowemu oświetleniu.

Wychodzi się od strony północnej, i znów stoję na ogromnym placu oświetlonym jesiennym słońcem.

Przez ten piękny plac przewinęło się w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy ponad dwadzieścia parad czy procesji samochodowych urządzonych przez wielkie Chiny dla delegatów czy przedstawicieli takich nowotworów państwowych jak Sudan, Ghana, Zaire, Mali i Somali — nie mówiąc już o tytanach międzynarodowych jak Nicolae Ceausescu, Joachim Yhomby-Opango z Konga, bardzo nierozmowny Tito i *last but not least* prezydent Wysp Seychelles, których nie można znaleźć na mapie Oceanu Indyjskiego bez silnego szkła powiększającego.

Jaki cel mają takie ceremonialne przyjęcia przez ministra spraw zagranicznych Huang Hua, przez wicepremiera Kang Piao lub przez prezydenta Chin i przewodniczącego Centralnego Komitetu Partii — samego Hua Kuo-fenga, faktycznego władcę ponad 800 milionów ludzi.

„Czy takie nieproporcjonalne konferencje z politykami małego kalibru nie są przypadkiem nie tylko stratą twarzy ale i marnowaniem czasu?”. To pytanie między innymi zadałem starszemu panu wyglądającemu jak Chińczyk z niemego filmu: rzadka, zwisająca bródka, brak mu tylko warkocza — myślałem że takich już nie ma. Siedzimy na ławce w westybulu Muzeum Historii Chin. Zapytałem go po angielsku o przetłumaczenie napisu pod eksponatem, odpowiedział płynnie i z ochotą — i tak zaczęła się rozmowa. Jest emerytowanym inżynierem okrętowym.

Oczywiście moje niby naiwne pytanie jest naprowadzające i lekko prowokacyjne. Nie sądzę że chińskie politbiuro traci cenny czas na tanie rozmowy z afrykańskimi „mężami stanu”; jasne jest że nawet takie „konferencje” mają swój cel. Ani nie przypuszczam, że ten przeciętny inteligent da mi rewelacyjne wyjaśnienie. Ot, jeszcze jeden do mojej kolekcji chińskich ludzi.

Odarł prawie z naganą w głosie: „Nasz rząd na pewno wie co robi”. Drętwa odpowiedź — więc zacząłem z innej beczki: od artykułu jaki wczoraj przeczytałem, przekład na angielski

z *Hongyi*, organu Ministerstwa Obrony Narodowej i pióra samego ministra, członka politbiura Siu Hsiang-tsiena. Tytuł: „Nowa wojna światowa jest nieunikniona”.

Na to poczęstował mnie propagandą — że „*under the loving care of our wise leader Chairman Hua*” naród przygotowuje się do obrony. Że Chiny wygrają, aczkolwiek agresor będzie mocniejszy technicznie, lepiej uzbrojony. I tak dalej.

Może ja tu tracę czas. Albo on sobie po azjatycku pokpiwa ze swego *honourable Polish friend*. Jednak jest faktem że partia przygotowuje naród na ewentualność konfliktu zbrojnego. Nie tylko psychologicznie. Pod Pekinem skonstruowano podziemną sieć tuneli i pomieszczeń, które mają umożliwić ewakuację całej ludności na wypadek wojny. Widziałem część tych przekopów i korytarzy prowadzących do przedmieść skąd ludzie mogą być przeprowadzeni do miejsc bezpiecznych. Powiedziano mi że ten cały podziemny system obrony został wykonany przez siły ochotnicze w czasie wolnym od zajęć zarobkowych.

#### *Pekin - Ba Da-ling - Han Kow*

Moja „opiekunka” nie zostawia mi dużo czasu na relaks. Codziennie proponuje coś innego. Tak więc zwiedziłem chyba z osiem fabryk, trzy naprawdę bardzo ciekawe szkoły i byłem na przedstawieniu w operze. Z własnej inicjatywy (bez eskorty) obejrzałem wspomniane muzeum, Pałac Letni i wszystkie ważniejsze świątynie stołeczne. Jedną z nich jest Świątynia Nieba, cała zbudowana z drzewa, bez jednego gwoźdźca. Oczywiście nie wytrzymałem nerwowo i musiałem stanąć na środkowej płycie marmurowej na okrągłej platformie ogrodowej. Ten punkt starożytni Chińczycy określili jako środek ziemi. Stąd do dziś oficjalna nazwa: Państwo Środka.

Jednak stanowczo odmówiłem spędzenia wieczoru na rewii akrobatycznej, choć Chińczycy podobno dzierżą prym w tej hm... sztuce. Nie po to przeleciałem jedenaście tysięcy kilometrów aby tracić czas na oglądanie linoskoczków.

Fabryki były ciekawe. Przede wszystkim przekonałem się jak w tym kraju ludzie ciężko pracują. Po drugie, zorientowałem się do jakich granic można doprowadzić kult jednostki: W każdym warsztacie, w magazynach, w przebierałniach, świetlicach i kantynach — słowem, wszędzie umocowane na widocznym miejscu oba portrety: Mao i Hua. Gdy zapytałem jednego z wicedyrektorów, z punktu zacytował Mao Tse-tunga i pouczył mnie całkiem serio, że w tradycji chińskiej tkwi głęboko zakorzenione

dążenie do inkarnacji najwyższej władzy w osobie jednego człowieka. Opowiedział mi że aż do 1960 roku chłopci klękali na placu Tien An Men przed portretem Mao i wołali: „Mamy nowego cesarza”.

Te same portrety widziałem w każdej klasie każdej ze szkół do których mnie zaprowadzono: w freblówce, w powszechnej i w gimnazjum.

Freblówka, nawet w Chinach określana jako *Kindergarten* zatrudnia 37 nauczycieli dla 180 uczniów; mniej więcej te same wysokie proporcje zachowane są w szkołach wyższego szczebla. Lepiej wychowane, bardziej inteligentne i więcej zdyscyplinowane dzieci trudno sobie wyobrazić. A ponieważ prawie wszystkie były na wysokim poziomie — zapytałem i dowiedziałem się że ta szkoła (i obie pozostałe) to instytuty dla wyselekcjonowanych. Z nich mają wyjść przyszłe kadry. Np. w gimnazjum jest 800 uczniów wybranych spośród jedenastu tysięcy kandydatów — po specjalnych testach i egzaminach.

Wśród uczniów szkoły powszechnej i średniej wyróżniają się pionierzy płci obojga, obecnie w czerwonych krawatach — w przyszłości z legitymacjami partyjnymi. A więc jednak, pomimo potępienia Konfucjusza przez Mao — w Chinach przygotowuje się obecnie elitę socjalną.

Po szkołach przyszła nareszcie kolej na ten słynny Chiński Mur. Odjazd nad rankiem z dworca głównego który w Pekinie jest o wiele nowocześniejszy i estetyczniejszy od lotniska, zaopatrzone w ruchome schody, piękne poczekalnie i inne wygody. O pociągach już wspominałem — uważam je za najlepsze na świecie, za przyjemny anachronizm luksusu w państwie proletariatu.

Nawet z okien szybko pędzącego wagonu widać jak ludzie pracują w tym kraju — poważnie, niemal zawzięcie. Przy czyszczeniu kanałów irygacyjnych, przy konserwacji torów, przy robotach drogowych; widzę drobną kobietę manipulującą ciężkim młotem jakby to była rakietą tenisową. Oglądam też unikat: pastuch z parasolem w ręku. Tak ludzie nie pracują w Australii ani w Ameryce. Może tak ludzie nie harują nigdzie indziej.

O godzinę jazdy od Pekinu płaszczyna prawie nagle przechodzi w strome góry — granit, brązowy marmur, wapieniak. Po minutach już widoczny jest Wielki Mur. Wsiadamy na stacji Ba Da-ling, gdzie jest sektor muru udostępniony dla zwiedzających — odrestaurowany i z dodaną specjalną poręczą dla ułatwienia wspinaczki dla niektórych dostojnych gości. Tu fotografują Nixonów, Ceausesków, Juan Carlosów i Brzezińskich oraz innych nowokreowanych „przyjaciół” Marksizmu-Leninizmu w pekińskiej wersji.

Lecz w tej chwili nie ma tu Bardzo Ważnych Osobistości —

prawie wszyscy zwiedzający to Chińczycy; obok grupa paryskich lekarzy, którym przewodnik straszliwą francuszczyzną wyjaśnia że Wielki Mur istnieje już ponad dwa millenia, ciągnie się przez 6.000 kilometrów, przez 7 prowincji i tak dalej. Jedna pani doktorowa gorliwie notuje.

Niektóre odcinki muru są już zarośnięte gęstą zielenią i w bocznych ścianach widać rysy i szpary, w które zaczyna wbijać się trawa i inna zielenizna. Grozi zarośnięcie i rozsądzenie. Nie widać jednak żadnych usiłowań prewencyjnych — chyba znów te priorytety. Chińczycy są rasą cierpliwą — mur czekał ponad 20 wieków, poczeka jeszcze trochę.

Tak jak czekały niedawno odkryte groby pod Han Kow. Jest ich trzynaście i razem zajmują przestrzeń czterdziestu kilometrów kwadratowych. Każdy grobowiec jest oddzielnym zgrupowaniem architektonicznym składającym się z Wieży Zadumania, Hali Ofiar i Podziemnego Pałacu. Zwiedziłem jeden z nich: Ting Ling, i gdy ujrzałem te wysokie hale, korytarze, pawilony i pasaż — w pierwszej chwili nie chciało mi się wierzyć że jestem pod ziemią, bo całość została przez archeologów kunsztownie i dyskretnie oświetlona. I to wszystko jest wykute w granicie. Marmurowe wrota, także ołtarze, złote lichtarze i świeczniki, kadzielnice z nefrytu i inne arcydzieła chińskiej sztuki. Więcej muzeum niż grobowiec.

Oczywiście tłumacz nie omieszkął zwrócić uwagi na „ekstrawaganckie trwonienie mienia publicznego przez feudalnych tyranów i okrutnych ciemieżycieli ludu pracującego” — zanotowałem sobie te słowa. Pomyślałem że faraoni byli może okrutniejsi, a przecież w porównaniu z tym pałacem-grobem piramidy to prymityw, tak pod względem technicznym jak artystycznym.

### Yang Chow - Nankin - Wu Xi

Nie spodziewałem się że w chińskim samolocie państwowym — zamiast cukierka przy starcie — otrzymam gumę do żucia marki „Peking”, ten (obok Coca-Coli) produkt symbolizujący zgniły kapitalizm amerykański. Moim sąsiadem jest ubrany jak z igły Japończyk. Już w tydzień po podpisaniu traktatu pokoju zaczynają zjeżdżać się eksperci z Tokio — pełno ich we wszystkich hotelach.

Lecimy do Nankinu skąd wprost z lotniska odjadę do Yang Chow, miasta liczącego sobie 2400 lat i byłej siedziby emerytowanych mandarynów, którzy po przejściu w stan spoczynku tu budowali sobie wille z ornamentálnymi stawami, kaplicami na sztucznych wyspach i pawilonami dla konkubin. Teraz te parki

są otwarte dla wszystkich. Tam natknąłem się na Chińczyka znającego francuski. Opowiadał mi jak zwiedzał Paryż i widział „pagodę Eiffla”. Nie chciał mówić o Chinach, uparcie wymijał ten temat. Jednak rozeszliśmy się serdecznie. Większość Chińczyków to ludzie o wiele dostępniejsi od np. Japończyków, których kalkulowana rezerwa jest nie do przebicia. I nie jest prawdą że Chińczyk jest zły. To śniadawy brunet.



Do tonącego w zieleni Nankinu położonego nad rzeką Yang Tse wjeżdża się przez największy most w Chinach, chlubę Republiki i dumę prowincji Kiang Su, gdzie na przestrzeni stu tysięcy kilometrów kwadratowych żyje 50 milionów. Historia tego mostu jest także symboliczna — albowiem budowa została wstrzymana gdy Rosja nagle przerwała dostawę zakontraktowanych części stalowych. Mówił o tym jeden z inżynierów załogi konserwacyjnej — młody, zapalony, z nieukrywaniem entuzjazmem opowiadał jak ukończyli ten most bez pomocy sowieckiej.

A jednak — rzecz charakterystyczna — żaden z Chińczyków, z którymi o tym rozmawiałem, nie wykazywał rozgoryczenia czy animozji gdy mówił o Związku Sowieckim. Widocznie jedna jest linia partyjna dla propagandy zagranicznej i dla mas, a inna dla kadr wewnętrznych. Jeden z moich rozmówców, kierownik warsztatu w fabryce produkowanych na eksport zabawek elektronicznych zacytował niezbyt rewelacyjny truizm Chou En-lai'a: że słabość Chin jest pokusą dla ataku ze strony imperialistów.

Jest jasne, że moje rozmowy z Chińczykami były siłą rzeczy przypadkowe i fragmentaryczne. Ale — częściowo dzięki determinacji i postanowieniu nie wrócenia na Zachód „z pustymi rękami” — udało mi się wydobyć z rozmówców sporo wiadomości dla mnie nowych i takich jakich nie można znaleźć w druku. Wielokrotnie stwierdziłem, że ci ludzie nie odczuwają czy może nie wykazują strachu przed wojną, którą uważają za prawie pewną, choć nie spodziewają się jej w najbliższej przyszłości.

Obecnie za potencjalnego wroga uważana jest przede wszystkim Rosja. Jak wynika z dostępnych w większych miastach przekładów z prasy, Chińczycy — wraz z resztą Azji — uważają, że po wycofaniu się z Wietnamu Ameryka „straciła twarz”. Niejednokrotnie słyszałem pogardliwe określenie „papierowy tygrys” w odniesieniu do Yankesów, którzy ze swoim potężnym uzbrojeniem nie zdołali pokonać słabszego technicznie przeciwnika. Dokładnie to samo rozumowanie, to samo hasło nie obawiania się lepiej wyposażonego wroga, cytuje się gdy mowa o groźbie ataku rosyjskiego. Obawa Chińczyków jest realna —

wiedzą że są gorzej uzbrojeni; że potrzebują czasu. A jako dogmatyczni materialści są dostatecznie cyniczni aby zdać sobie sprawę, że Rosja może nie czekać aż najludniejsze państwo świata stanie się też najsilniejszym. Zatem nie bez podstawy minister obrony narodowej cytuje Mao Tse-tunga, że nie jest dobrą metodą zatrzymać wroga na granicy; że lepiej bronić się w głębi kraju na obranym terenie i wciągnąć przeciwnika do walki tam i wtedy, gdy warunki po temu są najbardziej sprzyjające. Jeszcze jeden truizm z abecadła taktyki i strategii — lecz cytowanie go w obecnych warunkach dowodzi jak śmiertelnie poważnie Centrum partii traktuje możliwość zbrojnego konfliktu.

Tu warto dodać że rozłam między Pekinem a Moskwą nastąpił w niemałym stopniu z inicjatywy Mao, gdy ustami premiera Chou En-lai oskarżył Chruszczowa o rewizjonizm, hegemonizm, socjal-imperializm i wszystkie inne grzechy ze słownika Lenina.

Jest klasyczną ironią losu, że sam Mao wcale nie był pewny czy Chinom także nie grozi wpadnięcie w biurokracizm i związane z nim herezje o jakie politbiuro w Pekinie wciąż oskarża Rosję. Dlatego to w 1966 spuścił ze smyczy sfory fanatyków Rewolucji Kulturalnej, którą nazwał po imieniu: Wielką Czystką, dla usunięcia prawicowych elementów z partii. Przewidywał następne czystki w odstępach siedmioletnich. Ale dziś inteligenci chińscy niechętnie o tym mówią — przekonałem się gdy próbowałem.

W bibliotece publicznej w Pekinie przypadkowo natknąłem się na sprawozdanie z przemówienia obecnego wicepremiera, Deng Ksiaoping, który w 1974, na ogólnej sesji Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych powiedział, cytując Mao, „że jednego dnia Chiny może zmienią kolor, przekształcą się w supermocarstwo i będą tyranizować świat i ujarzmić inne państwa przez agresję i eksploatację”.

Chiny oczekują ataku z zewnątrz — a inne państwa liczą się z możliwością niebezpieczeństwa ze strony Państwa Środka.



Podczas pobytu w Wu Xi zaproszono mnie na pokaz lokalnej anestezji przez akupunkturę, którą Chińczycy chwalać się niemal w tym samym stopniu co swoim Wielkim Murem. Nie pomogło gdy powiedziałem szczerze iż nie znoszę szpitali i że mnie takie zabiegi nie interesują, bo mało z nich rozumiem — nalegali aż ustąpiłem. Kompetentnie wyglądająca lekarka oprowadzała nas po salach pełnych pacjentów z igłami w różnych miejscach. Potem mogłem obserwować operację usunięcia narośli z przelyku. Widziałem trzy igły tkwiące w pacjencie, obserwowałem jak anestezjolog nimi manipulował i słyszałem jak przemawiał do pa-

cjenta, gdy dwaj inni operowali. Wreszcie udało mi się wymknąć po angielsku. Uciekłem od jodoformu, ropienia i tych igieł.

Z brzegów jeziora Tai roztacza się piękna panorama byłej stolicy królestwa Kou Wu — Wu Xi niedawno obchodziło 3300-ną rocznicę założenia. Jest jedną z najbardziej malowniczych atrakcji turystycznych współczesnych Chin. Wspaniałe parki — jakich nie powstydziliby się Trianon — dawniej były tabu dla szerokich mas; teraz, jak w Yang Chow przychodzą tu warstwy pracujące, monotonna ubrane, zdyscyplinowane, lecz nie takie nieczułe na estetykę jakby się zdawało. Cztery tysiące lat kultury ma swoje znaczenie.

Na jeziorze dużo żaglówek, najwyraźniej rozrywkowych. Stwierdzenie utrzymane świątynie na wyspach, malownicze acz męczące mosty łukowe, i pawilony. Ciekawe, że nawet w obecnych czasach posuchy dewizowej Partia przeznacza duże kredyty budżetowe na konserwację imperialnych zabytków, a także na poszukiwania i odkopywanie. A maszyna propagandowa wykorzystuje taką apolityczną dziedzinę dla zwalczania tzw. Bandy Czterech, oskarżając ich o dążenie do zerwania z tradycją.

Trudno jest dowiedzieć się czegoś konkretnego o tym „zgniłym gnieździe opozycji”, podobno wciąż aktywnej. Może dlatego ludzie boją się o nich mówić. Z urywków konwersacyjnych oraz z publikacji obcojęzycznych Centrum Wydawniczego w Pekinie muszę jednak dojść do wniosku, że osławiona Banda Czterech jest także wygodnym kozłem ofiarnym, na którego można zwałać wszystkie gąfy i błędy popełnione przez kolektyw partyjny po — a może i przed śmiercią Mao. Oskarża się ich o wszystko: od trockizmu do nepotyzmu.

### Szanghaj

Największe miasto na świecie — ponad jedenaście milionów — lecz nie najpiękniejsze. Szczerze mówiąc: brzydkie, szare, urbanistycznie biedne. Już pierwszy widok rozczarował mnie, gdy przez *exit for foreign travellers* wyszedłem na główną ulicę. Owszem, są te rewolucyjne drzewa, lecz i tu widać sznury do wieszania bielizny, przeciągnięte z okna do najbliższej gałęzi. A za oknem ciemne, ponure mieszkanie.

Mój hotel mieści się w byłej koncesji francuskiej i jest pełnoklimatyzowany — zaś Szanghaj leży na szerokości geograficznej Kairu i jest „dogrzewany” suchymi południowymi wiatrami. Mimo to zdecydowałem się obejrzeć miasto po swojemu — bez planu, bez przewodnika i sam, aby wczuć się w atmosferę. I choć

chińskie ulice uchodzą za bezpieczne, wolę taki spacer odbyć w dzień.

Oksfordzki słownik pod hasłem *to shanghai* podaje: „oszołomić i porwać na statek jako członka załogi; etymologia: od miasta Shanghai”. Czytałem też gdzieś, że ten port był nazywany „rajem poszukiwaczy przygód”. Zresztą, co tu ukrywać — sam pisywałem powieści sensacyjno-podróżnicze i wciąż odczuwam ten głód niezwykłości. Chyba dlatego podświadomie rozglądałem się za niebieskimi ptakami, za spelunkami portowymi i innymi objawami grodu o tak zaszarganej reputacji. Nic nie znalazłem.

Nawet śródmieście nie jest pociągające — prawie żadnych budynków okazałych czy nowych, z wyjątkiem bizantyjsko wyglądającej Wystawy Przemysłowej. Stały, drażniący kurz i gorąco. I tu, jak w innych miastach, wciąż rozwalają jakieś rudery. Widać — bo to port — dużo napisów chińskich w transkrypcji na alfabet łaciński. Plac Rewolucji. Plac Ludu, i wąskie uliczki, w jednym miejscu studnia. Domy ciemne, odrapane — jednak ludzie czysti i uśmiechnięci. I kwiat socjalny Chin — barwnie ubrane dzieci, nad wiek poważne, przedwcześnie rozwinięte.

Obok centralnego basenu portowego mieści się dawna dzielnica biurowców — ongiś szanghajskie *city* międzynarodowe. Teraz na dachach opróżnionych banków, byłych koncernów żeglugi i asekuracji — jak wybite zęby sterczą zardzewiałe rusztowania z których usunięto reklamowe neony. Okna wielopiętrowych gmachów niemyte, budynki jakby specjalnie zaniedbane — jak symbole wypędzonych wyzyskiwaczy.

Wstąpiłem do jednego z magazynów uniwersalnych: cztery piętra, automatyczne windy, ruchome schody; duży wybór, ceny przystępne, ale towar nie pierwszej jakości — czyli logicznie, jak w Sydney czy w Los Angeles. Za to żywność obfita i tania, bardzo tania. Pewny jestem że Chińczycy nie głodują.

Przed 1949 Szanghaj był przemysłowo prymitywnym, półkolonialnym i prawie feudalnym grodem, splądrowanym przez Japończyków i przez cofające się oddziały Kuomintangu. „Burżuazyjna” rewolucja Dr. Sun Yat-sena też chyba zostawiła swoje blizny. Teraz, po trzech dekadach, śpiący port został przekształcony w drugie po Mandżurii centrum przemysłu ciężkiego, włókienniczego i petrochemicznego — w siedzibę elity robotniczej.

◆

Nie sądzę aby niewykwalifikowany robotnik chiński mógł dużo oszczędzać. Jednak, płaca podstawowa (około 35 dolarów miesięcznie) powinna wystarczyć na skromne życie. Natomiast siły fachowe są faworyzowane, bo system nie uznaje egalitaryz-



mu, nie zakłada, że wszyscy ludzie są jednakowo uzdolnieni. Więc obok płac kalkulowanych według godzin istnieją też premie za akord, za inwencję i za pracę w trudnych warunkach. Ubezpieczenie zdrowia dla pracujących jest bezpłatne, a dla innych istnieją kooperatywy opieki lekarskiej. Za mieszkanie płaci się według powierzchni, lecz nie więcej niż 5 % dochodu.

Udało mi się obejrzeć takie pomieszczenie w kolonii robotniczej liczącej 70 tysięcy osób. Pokój cztery metry na cztery i pół. Tu żyje, śpi i mieszka rodzina pięcioosobowa. Zatem jest miejsce tylko na niezbędne meble które trzeba sobie sprawić na własny koszt. Łóżka oczywiście piętrowe. Jest balkon ale mieszczą się na nim tylko doniczki. Czysto, i jako tako widno — jednak ciasno i na warunki zachodnie raczej prymitywnie. Kuchenka gazowa i zdecydowanie ponura łazienka (toaleta). Może pani domu widzi to inaczej niż ja, jest przyzwyczajona — choć nie powiem, że promieniowała entuzjazmem i *joie de vivre*. Na moje pytania odpowiadała otwarcie. Pan domu i obie córki są przy pracy (sześć dni w tygodniu), syn w szkole, za którą też trzeba płacić z zarobku. Dowiaduję się przy okazji, że urlopy zasadniczo nie istnieją, udzielane są tylko okolicznościowo gdy mąż i żona pracują w różnych miejscowościach. Wtedy można uzyskać do dwóch tygodni na spotkanie. Mężczyźni pracują do 60, kobiety do 50 lat. Po przejściu na emeryturę otrzymuje się 75 % ostatniej płacy co, pomimo bezlitośnie kontrolowanej inflacji, czasem nie wystarcza i trzeba dorabiać.

Zajrzałem też do przychodni lekarskiej — skromnej, czysto użytkowej, niezbyt apetycznej. Dlaczego to wszystko musi być takie szare? Jak te domy z wąskimi oknami — prefabrykowane, betonowe, bez upiększeń zewnętrznych. Nawet spojenia nie są maskowane.

Obejrzałem też mieszkanie naczelnego lekarza kolonii. Nie różniło się od robotniczego; tyle że było o 3 metry kwadratowe większe.

### *Komuna w Ma Lu*

Jedna z największych w Chinach i czołowa wśród około dwustu komun w rejonie Szanghaju. Założona w 1958, obecnie skupia około 30 tysięcy mieszkańców. Jest widocznie dobrze prowadzona skoro ma nadwyżkę ponad miliona *juan*'ów na koncie oszczędnościowym (*yuan* — pół dolara). Nałożony na nią plan produkcyjny jest mieszany: nie tylko produkcja rolna i uboczna lecz także dodatkowe. Obejrzałem następujące warsztaty: mebli ozdobnych, cieślarsko-morski, wyrobów bambusowych,

szkła, koszul, rurek wodociągowych, klamek, butów, ręczników i żarówek do latarek. Oraz, rzecz jasna, remontownie i zakłady reparacyjne.

Komuna ma 24 szkoły — freblówki i powszechne; dwa szpitale, przychodnię dentystyczną, kina i czytelnię raczej symboliczną bo na jakieś dwanaście osób. Także wypożyczalnię książek — też niezbyt obficie zaopatrzoną.

Oglądałem jak pracują: ciężko, w pocie czoła, z widoczną koncentracją — zarówno mężczyźni jak i kobiety. Zarobki są więcej niż dwa razy wyższe od minimum — dla zachęty; lecz można też być przydzielonym do komuny. Ogólną zasadą jest, że kto pracuje więcej zarabia więcej, zaś osoby z niedostateczną wydajnością podlegają reedukacji. Jednak komuna, aczkolwiek ma uprawnienia wykonawcze, nie ma prawa przytrzymania lub aresztowania za przestępstwo socjalne czy kryminalne — od tego jest przydzielone do niej biuro bezpieczeństwa publicznego z delegatem na czele.

Nie wszystkie komuny są tak wzorowo prowadzone, jak wynika z następującego cytatu z organu partii, *Renmin Ribao* z sierpnia 1978: „Musimy przyznać, że w wielu przedsiębiorstwach z powodu złej administracji poziom produkcji jest niski, wyroby są złej jakości, ceny za wysokie, wypadki przy pracy zbyt liczne, odpady i straty nieproporcjonalnie wielkie. Niektóre okręgi i komuny nie wypełniają kwoty, nie płacą jak się należy, tolerują kradzieże, nawet stosują nielegalny przymus w kierowaniu pracą”.

Podam dosłownie tę wypowiedź oficjalną bo ma ona wydźwięk nieobcy dla czytelników *Kultury*.

Wróćmy jednak do komuny w Ma Lu, gdzie spędziłem cały dzień: jadłem z nimi, byłem znów zaproszony do takich samych czystych ale ciasnych mieszkań z tą różnicą że tu toaleta jest na korytarzu, wspólna dla czterech rodzin. Widziałem jak bawią się i uczą ich dzieci. Odbyłem też dłuższą rozmowę z wicedyrektorem, kobietą bez reszty oddaną swej funkcji, co przebijało z każdego zdania. Od niej dowiedziałem się że istnieje obecnie 50 tysięcy komun ludowych w Państwie Środka. Zgodnie z postanowieniem chińskiej konstytucji każda komuna jest zarządzana przez wybrane w tajnym głosowaniu Zgromadzenie, które wyłania z siebie Komitet Rewolucyjny. Z wyjątkiem wspomnianego wydzielenia spraw bezpieczeństwa komuna ma pełnoprawną władzę bazowej jednostki administracyjnej — od zawierania małżeństw do rekrutacji wojskowej i szkolenia milicji ludowej. Komuna dzieli się na brygady produkcyjne, a te na zespoły. Za dobrze wykonany plan dostaje się nie tylko pochwałę ale i dodatkową premię — jeżeli ogólny stan ekonomiczny bądź to państwowy lub

tylko lokalny na to pozwala; albowiem zdarza się, że niedobór gorszego roku trzeba pokryć nadwyżką jednego z następnych; a i między brygadami istnieją różnice wydajności i wzajemne wyrównanie może być konieczne dla dobra całości.

Słuchałem i notowałem. Nie mogłem zadawać niektórych pytań, bo rozmawiamy przez przydzielonego oficjalnie tłumacza lokalnego, a jego oczy mi się nie podobają. Więc ograniczyłem się do kwestii neutralnych, do sugestyjnych uwag. Ta poważnie wyglądająca choć młoda kobieta przyznaje, że na początku było trudno — teraz jest lepiej, lecz droga jeszcze daleka. Obecnie partia lansuje hasło Drugiego Długiego Marszu do Dobrobytu.

Wreszcie jeszcze jedna herbata bez cukru i trzeba było pożegnać się. Musiałem jednak przedtem obejrzeć muzeum dorobku komuny. Nie wiedziałem że z bambusu można wyrabiać tyle pożytecznych rzeczy. Od rusztowań budowlanych i ścian aż do naczyń kuchennych z wiadrami na wodę włącznie.

Obok muzeum jest punkt sprzedaży. Kupiłem sobie cedrową... swastykę, która obok smoka była imperialnym symbolem szczęścia na dwa tysiące lat przed Hitlerem.

Jeszcze jeden uścisk dłoni i odjazd do Szanghaju przez wąską polną szosę, gdzie po obu stronach w regularnych odstępach ustawione są głośniki. Widać wielu pracujących przy zebranych ryżu, który przed łuszczeniem wygląda mało apetycznie. Na niektórych polach na palach znajome białe napisy na czerwonym tle — pochwała za dobre wyniki brygady czy zespołu.

Z jednego z głośników dochodzi już nie tak całkiem obco brzmiąca mowa. Szkoda że nie rozumiem co ta Chinka mówi.

### Kanton

Dwa tysiące lat historii, blisko trzy miliony mieszkańców, nad rzeką Chu czyli Perłową; bujna zieleń, ładny uniwersytet, imponujący Narodowy Instytut Ruchu Chłopskiego, założony przez Mao Tse-tunga; przyjemny park pamiątkowy Ofiar Powstania Kantońskiego, architektonicznie estetyczna niebieska Hala Pamiątkowa dla uczczenia Dr. Sun Yat-sena, którego rewolucję wciąż określają jako burżuazyjną; dwa nowoczesne hotele i jeden z najpiękniejszych placów miejskich jakie widziałem: Huichu, cały pokryty strzyżonym trawnikiem i otoczony tropikalnymi drzewami. W odróżnieniu od większości chińskich hybryd urbanistycznych, mieszkalno-agrarno-przemysłowych, Kanton jest ładnym, innym miastem — może dlatego że był portem chińskiego handlu zagranicznego jeszcze w czasach imperialnych. A jednak

nie chciałbym tu żyć — ta zwrotnikowa wilgoć jest dobra dla flory i dla oka, lecz nie dla płuc.

Nawet ci lokalni, a więc zaaklimatyzowani, rowerzyści poruszają się wolno; ten murarz układa cegły bez pekińskiego zapachu i wygląda z wysokości mego balkonu jak film *au ralenti*. Ci ludzie wiedzą, że na zwrotniku nie można zbyt szybko wysilać — nawet nie w Chinach.

Na dobitek wsadzono mnie do nie klimatyzowanego pokoju i to w sobotę, gdy hotel wypełniony jest turystami korzystającymi z *week-end*owych wycieczek z Hong Kongu. Anglicy, Niemcy, Australijczycy i ci najhałaśliwsi i ślepo zachwycający się Chinami — Amerykanie. Złośliwi nazwali ten skok przez granicę „*instant China*” — nie bez racji. Wyjeżdża się z kolonii koronnej w sobotę rano i po obiedzie już wysiada się w Kantonie. Jedna noc w hotelu, przejażdżka autokarem po rozpalonym mieście, wizyta w sklepie z pamiątkami, obejrzenie Wystawy Eksportowej lub jakiegoś pomnika czy dwóch. Powrót do Hong Kongu w niedzielę wieczorem. Potem można opowiadać w Wichita czy w Pfaffenhausen że się zwiedzało Chiny; pretendować do tytułu najwybitniejszego sinologa w miasteczku.

Tak samo powierzchownie prowadzone są dwutygodniowe wycieczki amerykańskie okrętem z Tokio do Hong Kongu przez porty chińskie. Siedem dni spędza się na statku i wtedy „zwiedza się” Chiny przez odczyty i przezroczka. A na lądzie przeciętny Amerykanin tak jest zajęty fotografowaniem, że wprost nie ma czasu na istotne obserwacje. I tacy turyści piszą potem o Chinach.

Obserwuję dwóch takich przyszłych ekspertów gdy siedzę w tak zwanym barze czyli w dużej sali restauracyjnej, gdzie w rogu ustawiono ladę z niechłodzonymi trunkami. Atmosfera jak na irlandzkiej stypie — i prawie pusto, bo ten improwizowany bar jest prymitywny i także nie klimatyzowany, jak pokój z którego uciekłem. (Klimatyzacja nie jest moją obsesją — niekiedy jest po prostu niezbędna).

Przed wyjściem jeszcze raz rzuciłem okiem na ten ponury lokal. Zatrzymywałem się podczas tej podróży w jedenastu hotelach i w żadnym nie było baru, ani *lounge'u*. W tej dziedzinie Chińczycy mogą się jeszcze czegoś nauczyć, jeżeli im zależy na dewizach turystycznych. A może boją się skalania swojej młodzieży przez *permissive society*.

### Konkluzje

Profesor francuski, który był w Chinach w tym samym czasie co ja, określił swoją podróż jako „emocjonującą, podniecającą, odświeżającą — lecz umyślowo wyczerpującą”. Wprawdzie można

by takie ujęcie zastosować także do innych krajów — ale nie zaprzeczę, że zwiedzanie Chińskiej Republiki Ludowej jest czymś specjalnym\*.

Poza pałacami Zakazanego Miasta, kilkoma grobowcami i świątyniami — oglądałem przede wszystkim teraźniejszość, a nie przeszłość. Widziałem tylko nieliczne muzea i galerie sztuki — za to zwiedziłem sporą ilość wystaw przemysłowych. Pokazano mi jak funkcjonuje przemysł i rolnictwo, nauczanie i służba zdrowia; zwiedzałem hale targowe, kompleksy hydrauliczne, stacje pomp irygacyjnych, zapory wodne, kanały i śluzy przeciwpowodziowe.

Jeżeli niektóre ustępy tego reportażu są bardziej polityczne niż geograficzne, to dlatego że niepodobna przebywać w teraźniejszych Chinach bez uświadomienia sobie atmosfery politycznej przenikającej wszystkie dziedziny życia — od przedstawienia operowego do szkolnego zebrania rodzicielskiego. Z wyjątkiem niewielu, prawie każdy z moich rozmówców wspominał o Wyzwoleniu 1949 — o tym jak było przedtem i jak jest teraz; jaki był wpływ czczonego Mao Tse-tunga w każdej dziedzinie społecznej, i jak oni płakali na wiadomość o śmierci kochanego Chou En-lai. Gdybym zatem ograniczył się do momentów czysto „podróżniczych” to opisy byłyby nierealistyczne.

Tenże postulat realizmu nakłania mnie do dodania kilku uwag o ludziach. Uderza każdego obserwatora, że pomimo ciężkiej pracy w warunkach ubóstwa, na ulicach i w fabrykach widzi się sporo pogodnie patrzących oczu i skorych do uśmiechu twarzy. Jednak, jak mogłem wnioskować z pewnych wypowiedzi ustnych i drukowanych, zachodzi obawa przed objawem określonym przez Mao jako „wyczerpanie rewolucyjne” — albowiem na dłuższą metę inteligentni ludzie nie pracują entuzjastycznie bez bodźców materialnych. Prędzej czy później może wyjść na jaw ów głód dóbr konsumpcyjnych — tym bardziej że Chiny przestają być państwem hermetycznie izolowanym.

Ponieważ w dyktaturze proletariatu wszystko jest długofalowo planowane — należy przyjąć, że władze centralne w Pekinie zdają sobie sprawę z wpływu jaki tego rodzaju posunięcia mogą wyrzucić na strukturę socjalną.

Z czego wolno wnioskować, że w Chinach już wkrótce nastąpią doniosłe, zamierzone zmiany.

Adam NASIELSKI

Październik 1978

\* Aczkolwiek wątpię czy będę zakwalifikowany jako *personnage amical*, sądzę iż w tym miejscu powinienem wyrazić podziękowanie za to, że jednak pozwolono mi poruszać się bez skrępowania, rozmawiać z kim chciałem — i nie ruszono moich notatek.

## Wiersze

Czesław MIŁOSZ

### CZYTAJĄC JAPŃSKIEGO POETĘ ISSA (1762-1826)

*Dobry świat: rosa  
kapie po kropli,  
po dwie.*

Parę kresek tuszem i staje się.  
Wielka cichość białej mgły,  
przebudzenie w górach,  
gęsi krzyczą,  
żuraw skrzypi u studni,  
krople z okapu chaty.

Albo może ten inny dom.  
Niewidoczny ocean,  
mgła do południa  
rzeszystym deszczem kapiąca z gałęzi sekwoi,  
sireny huczące w dole na zatoce.

Tyle może poezja ale nie więcej.  
Bo nie wiadomo kim jest naprawdę ten kto mówi,  
jakie jego ścięgna i kości,  
porowatość skóry,  
jak siebie czuje od środka.  
I czy to jest wioska Szlembark  
nad którą w mokrych trawach znajdowaliśmy salamandry

jaskrawe jak suknie Teresy Roszkowskiej,  
czy inny kontynent i inne imiona.  
Kotarbiński, Zawada, Erin, Melanie:  
nikogo z ludzi w tym wierszu. Jakby trwał  
samym zanikaniem okolic i ludzi.

*Kukułka kuka  
dla mnie, dla góry,  
na zmianę.*

Siedząc pod swoim daszkiem na skalnym progu,  
słuchając jak szumi wodospad w parowie,  
miał przed sobą fałdzistość leśnej góry  
ze słońcem zachodzącym, które jej dotykało,  
i myślał: jak to jest, że głos kukułki  
zawsze zwraca się to tam, to tu,  
mogłoby tego nie być w porządku rzeczy.

*Nigdy nie zapominaj:  
chodzimy nad piekłem  
oglądając kwiaty.*

Wiedzieć i nie mówić:  
tak się zapomina.  
Co jest wymówione wzmacnia się.  
Co nie jest wymówione zmierza do nieistnienia.  
Język jest zaprzędany zmysłowi dotyku.  
Ciepłem i miękkością trwa nasz ludzki rodzaj:  
króliczek, niedźwiadek i kotek.

Tylko nie dygotanie o mroźnym świcie,  
strach idącego dnia  
i bicz dozorczy.  
Tylko nie zima ulic  
i na całej ziemi nikogo  
i kara, świadomość.  
Tylko nie

*Czesław MIŁOSZ*

*Jacek BIEREZIN*

\*\*\*

Jest już druga w nocy  
i usnęłaś ze mną po raz pierwszy  
Moję zostać z Tobą do rana  
i słuchać gwizdu pociągów na moście  
Od dzisiaj jesteś innym Krajem  
w moim starym tym samym kraju  
I za oknem jest inne drzewo  
i inni przyjaciele w domach  
Od dzisiaj jesteś Pieśnią nad Pieśniami  
i nie obudzą Cię córki jerozolimskie  
Jesteś śniada i wdzięczna  
i moja ręka jest pod Twoją głową  
Od dzisiaj jesteś Pasją nad Pasjami  
i Twój szczyt góruje nad górami świata  
Pokochałem Twoje szalone ręce  
które zostawiły mi krwawe pręgi na plecach  
Od dzisiaj jesteś Ziemią Obiecaną  
której oczy i usta rozmawiają ze mną  
Możesz wejść — mówisz — przebij mnie  
bo pokochałam ból i twoją nienawiść  
A ja — ja wejde w Ciebie  
by Cię oddalić i by Cię zatrzymać  
I może nasze gorące ciała  
urodzą śmierć której tak pragnę  
z Tobą

*Jacek BIEREZIN*

1978

POD AUSPICJAMI  
TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU  
z KOMITETEM WYDAWNICZYM w składzie:

Czesław Miłosz z University of California — Berkeley, Piotr Wandycz z Yale University, Henryk Wereszycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jacek Woźniakowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Czesław Zgorzelski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego —  
KSIĘGARNIA „LIBELLA” W PARYŻU, rozpoczęła nową serię wydawnictw pod nazwą ogólną: „HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ”.

Pierwsza książka tej serii (nosząca numer 2-gi) ukazała się właśnie w druku. Jest to:

ANDRZEJ MICEWSKI

## „WSPÓŁRZĄDZIĆ CZY NIE KŁAMAĆ” ?

PAX I ZNAK W POLSCE 1945-1976

Stron 269. Cena: F. fr. 50,00 (lub równowartość).

Książka do nabycia we wszystkich polskich księgarniach na Emigracji, u Przedstawicieli Pism, lub bezpośrednio u Wydawcy:

„LIBELLA”

12, rue St. Louis-en-l'Île, 75004 Paris.

Następna książka z tej serii (nosząca numer 1-szy) jest już w druku. Będzie to:

Henryk Wereszycki

„HISTORIA POLITYCZNA POLSKI. 1864-1918”

## Archiwum polityczne

### Trzy lata ruchu oporu w Polsce

Wydział z Z.Y. jest próbą syntetycznego bilansu ruchu oporu moralnego, który rozwinął się w Polsce w ciągu ostatnich trzech lat. Forma pytań i odpowiedzi, przyjęta jako najbardziej dogodna dla czytelnika, jest rekonstrukcją nie jednej lecz kilku rozmów z „krajowcami” bądź to zaangażowanymi czynnie bądź też ograniczającymi się do roli przychylnych obserwatorów.

*Pytanie:* — Piątego grudnia 1978 roku upłynęły trzy lata od chwili wystania „Listu 59” do marszałka sejmu przeciwko zmianom konstytucji. Zaraz po nim poszedł memoriał 101, list 95 studentów z Warszawy, Lublina i Wybrzeża, później runęła cała lawina listów, manifestów i petycji. Michnik ocenił kiedyś ogólną liczbę podpisów na 40 tysięcy. Czy datę 5 grudnia 1975 i masowe protesty przeciwko zmianom konstytucji można uznać za początek ruchu oporu w jego obecnej, jawnej postaci?

*Odpowiedź:* — Chronologicznie wcześniejszy był list piętnastu w obronie Polaków w Rosji (wczesna wiosna 1975) pominąwszy dużo dawniejsze próby, jak słynny list 34. Były to jednak wystąpienia sporadyczne, nieśmiałe i ograniczone najwyżej do kilkudziesięciu osób. Tak, jeśli chodzi o ruch o charakterze masowym i ciągłym da się powiedzieć, że w dn. 5 grudnia 1978 przypadła jego trzyletnia rocznica. Z tym, że drugi krystalizujący etap zaczął się z chwilą uformowania się KOR-u we wrześniu 1976.

*P.:* — Czy zgodzi się pan, że inspiratorem i przykładem dla Polski stał się ruch dysydencki w ZSSR datujący się od końca lat sześćdziesiątych.

*O.:* — I tak i nie. Jeśli chodzi o samą formę: jawne występowanie z uchyloną przyłbicą i inne cechy charakteryzujące ruch

oporu w Polsce — przykład dysydentów w ZSSR pokazał drogę i miał znaczenie pionierskie. Tacy ludzie jak Sołżenicyn, Sacharow, Grigorenko i całe zastępy innych — oddziaływali zresztą na Polaków nie tylko samym przykładem. Sołżenicyna można chyba uznać za głównego ideologa oporu cywilnego. *Archipelag Gulag* zawiera szereg kapitalnych sformułowań myśli, które trafiły w Polsce na szczególnie podatny grunt. Ale polski ruch ma równocześnie swoją własną, rodzimą genealogię. Polska, jak już powiedziałem, przyjęła od dysydentów jawność działania, grupowanie ludzi o różnych przekonaniach wokół wspólnego celu, jakim jest obrona praw człowieka i narodu, wyrzeczenie się gwałtu jako metody walki, działanie w ramach porządku legalnego z powołaniem się na prawo konstytucyjne i umowy międzynarodowe. Trzeba jednak pamiętać, że opór w Polsce trwał właściwie nieprzerwanie od zakończenia wojny a jego przykład oddziaływał z kolei w jakimś stopniu na to, co później stało się w Rosji. Zmieniały się u nas tylko formy i metody walki.

P.: — *Czy pomimo tych różnic widzi pan jakąś ciągłość?*

O.: — Istnieje niewątpliwie wspólny mianownik w psychice i nastawieniu społeczeństwa. Może najwidoczniej wystąpiło to właśnie w latach największego nasilenia terroru stalinowskiego. Infiltracja społeczeństwa przez bezpiekę osiągnęła wtedy dostateczne nasycenie, by wytworzyć stan psychiczny, wymarzony przez każde państwo policyjne. Mam na myśli psychozę wzajemnych podejrzeń, która kazała ludziom dopatrywać się potencjalnego donosiciela w sąsiedzie, koledze często nawet w kimś z własnej rodziny. W tych warunkach utrzymanie jakichkolwiek, nawet najbardziej nieformalnych związków społecznych stało się niemożliwością. Nie mówiąc już o konspiracji. Jak wiadomo próby kontynuowania wojennego podziemia w pierwszych latach PRL w warunkach ustroju totalnego, opartego na rodzimym elemencie, zakończyły się katastrofą. A jednak nawet to zatomizowane do cna społeczeństwo znalazło skuteczne formy biernego, całkowicie niezorganizowanego, nieskoordynowanego, być może nawet nieświadomego oporu. Polegał on po prostu na pewnym paralelizmie reakcji i zachowania się jednostek, który dawał w sumie potężny efekt. Weźmy opór chłopów przeciw kolektywizacji, który sprawił, że przed Październikiem Polska znalazła się znacznie w tyle za innymi demoludami. Przyczyny szukać należy w tym, że wykonawcy niższego, zwłaszcza lokalnego szczebla (gromady, gminy, czasem nawet powiatu) sabotowali rozkazy płynące z góry, jeśli mogli sobie na to pozwolić bez nadstawiania karku. W gruncie rzeczy przechodzili po cichu na stronę chłopów. Tam, na

górze odkryto nagle, że dyspozycje kierowane w dół grzęzną gdzieś po drodze. Inaczej wyglądało to w sektorze przemysłowym, gdzie robotnicy pracowali pod terrorem. Otóż można strachem wymusić tylko minimum wysiłku absolutnie niezbędne dla uniknięcia represji, ale nie da się tego rodzaju bodźcami wyciągnąć maksimum. Plan sześcioletni rozbił się o pewną szczególną formę ukrytego, permanentnego strajku: powolnej i niewydajnej pracy. Tej formy oporu nie da się przełamać ani czołgami, ani największym terrorem. To jest ostatnia bardzo groźna broń klasy robotniczej. Myślę, że obecne kierownictwo pamięta to doświadczenie. I wreszcie inteligencja, w przytłaczającej większości zatrudniona przez państwo, bezpośrednio od niego zależna, zdawałoby się z natury najbardziej oportunistyczna. Tzw. „wewnętrzna emigracja” nie była w gruncie rzeczy niczym innym, jak masowym bojkotem środków masowego przekazu, socrealistycznej literatury, propagandy itp. Można człowieka skłonić strachem do zaprenumerowania *Trybuny Ludu*, ale nikogo nie da się zmusić, aby ją przeczytał. Ludzie, jak ślimaki wycofywali się z życia społecznego i zamykali w czterech ścianach rodzinnego domu. W języku oficjalnym mówili się, że „partia utraciła łączność z masami”. Rezultatem była frustracja środowisk twórczych mających posłuszenie spełniać funkcję pasa transmisyjnego między władzą a społeczeństwem. Publicyści piszący pod dyktando, pisarze płodzący socrealistyczne chałtury, poeci i muzycy uprawiający kult Stalina, uczeni produkujący propagandową tandetę w pseudonaukowej szacie mieli świadomość, że nie znajdują odbiorców. Tu chyba należałoby dopatrywać się źródeł buntu intelektualistów partyjnych i bezpartyjnych w okresie poprzedzającym „Październik”. Wydarzenia październikowe były kumulatywnym efektem dwóch czynników w jakiś sposób ze sobą sprzężonych: walki o władzę w łonie kierownictwa partyjnego i biernego oporu społeczeństwa, które wykazało skrajną niewydolność stalinowskich metod rządzenia.

P.: — *Jak ocenia pan w tym czasie opór Kościoła?*

O.: — Ciągłość oporu występuje właśnie w sposób najbardziej widoczny w linii postępowania Kościoła. Nie można jednak sprowadzać wszystkiego do Prymasa, biskupów i kleru. W najcięższym okresie kardynał Wyszyński trzymany był w odosobnieniu. Największym zagrożeniem była wtedy próba rozbicia Kościoła od wewnątrz przy pomocy PAX-u i tzw. księży patriotów. Nie brakło oczywiście jednostek heroiczych, które za przykładem Prymasa wolały znaleźć się za kratami, aniżeli dać się przekupić i zastraszyć. Słabsi nie ulegali w obawie przed spon-

tanicznym ostracyzmem wiernych, zwłaszcza na wsi. Oceniam osobiście Prymasa jako przywódcę na miarę tysiąclecia, ale nawet człowiek obdarzony największą odwagą, wolą i rozumem nic by nie zdziałał, gdyby nie miał mocnego oparcia w masach.

P.: — *A jak ocenia pan okres 1956-1975?*

O.: — Były przypływy i odpływy. Był marzec 1968, krótki zryw młodzieży akademickiej, któremu zupełnie biernie przyglądała się reszta społeczeństwa i był grudzień 1970 i jego styczniowy dalszy ciąg, też w gruncie rzeczy izolowany, bo inteligencja nie reagowała. Werblan miał trochę racji twierdząc w swej ocenie na użytek wewnątrzpartyjny, że między rokiem 1968 a jesienią 1975 wystąpiło wyraźne osłabienie aktywności wśród opozycji inteligentnej. Jeśli jednak spojrzeć na całość okresu 1956-1975, bilans zysków i strat wykazuje nadwyżkę. Nonsensem jest twierdzenie, że w okresie gomułkowskim partii udało się zniszczyć wszystkie zdobycze Października. Wystarczy porównać położenie Kościoła, chłopów, stosunkowo szeroki margines swobody twórczej i wypowiedzi z tym co dzieje się w innych krajach Europy Wschodniej, by móc stwierdzić, że pod wielu względami Polska jeszcze przed rokiem 1975 stanowiła oazę w całym bloku sowieckim. Masowy i jawny ruch oporu, którego początek ustala pan na koniec 1975 nie wyskoczył jak Minerwa z głowy Zeusa. Ma swoje korzenie w przeszłości i w kolejnych zrywach 1956, 1968, 1970 i 1976. Nawet klęska 1968 roku była pozorna. Z wydarzeń marcowych, z pokolenia i środowiska komandosów wyrosli liderzy obecnego ruchu oporu. Wyrosli i dojrzeli.

P.: — *Co pan uważa za największe osiągnięcie w ciągu tych trzech lat?*

O.: — Samo to, że ruch oporu w jego obecnej postaci rozrósł się, skonsolidował, że trwa już przeszło trzy lata i stał się częścią rzeczywistości, do której władza powoli się przyzwyczaja. W drodze faktów dokonanych stworzona została dosyć szeroka strefa życia publicznego wolnego od kontroli państwa totalnego, które przez to samo przestało być państwem totalnym, choć jest nadal państwem policyjnym i autokratycznym. Jest to zasługa ludzi, którzy nie dali się zastraszyć i nie ulegli szykanom i represjom policyjnym. Na emigracji znane są fakty, ale mało kto zdaje sobie sprawę, jak wielkiej wytrzymałości psychicznej i nerwowej wymaga uparte kontynuowanie jawnego oporu. Każdy ruch, aby żyć i rozwijać się musi wykazywać nieustanną aktywność. Zastój a nawet zwolnienie tempa równa się śmierci ruchu masowego.

Zasługa jednostek przywódczych polegała na tym, że umiały nieustannie znajdować nowe formy i kierunki aktywności.

P.: — *Dlaczego bezpieka nie zlikwidowała tego ruchu w jego początkach?*

O.: — Złożyło się na to szereg czynników. Przede wszystkim akcja protestacyjna w 1975 roku od razu przybrała rozmiary masowe i zdobyła znaczny rozgłos w kraju i za granicą. Można po cichu aresztować jednego, kilku czy kilkunastu ludzi. Dużo trudniej zamknąć kilkanaście tysięcy. Zgadzam się z twierdzeniem, że im bardziej masowe będą niezależne organizacje, tym mniej narażeni będą na represje ich uczestnicy i tym skuteczniejszą będzie ich działalność. Przywódców broni wyłącznie rozgłos. Katastrofalna sytuacja gospodarcza i perspektywa jej dalszego pogarszania się, związana z tym zależność od kredytów i zachodnich partnerów handlowych, narzuciła władzom pewną powściągliwość. Dlatego każda publiczna reakcja na zachodzie przeciwko gwałceniu praw człowieka w Polsce broni i zapobiega. Hamująco działa wreszcie obawa — także związana z sytuacją gospodarczą i nastrojami — przed całkowitą alienacją inteligencji i zaostreniem walki z Kościołem. Zasadnicze znaczenie ma wreszcie umiar „opozycji” (używam niechętnie tego określenia), zwłaszcza KOR-u, który wykazuje chyba największe poczucie odpowiedzialności i największy instynkt polityczny.

P.: — *A czy władzy nie hamuje po prostu obawa, że represje przeciw opozycji pobudzą do wystąpienia robotników?*

O.: — Mam co do tego wątpliwości. Uwolnienie blisko 900 robotników aresztowanych i skazanych po wydarzeniach czerwcowych w Ursusie i w Radomiu jest z pewnością zasługą KOR-u. Czy jednak robotnicy rozpoczęliby strajk w odpowiedzi na masowe aresztowania wśród inteligencji? Sojusz inteligencji z robotnikami ma wciąż charakter jednostronny. Z punktu widzenia władz dużo niebezpieczniejsze jest przywiązanie znacznej części robotników i chłopów do Kościoła.

Warto w tym miejscu podkreślić, że ruch oporu jednoczy wszystkie żyjące pokolenia. Czołowy przedstawiciel opozycji prof. Edward Lipiński ma lat 90, należy do generacji urodzonej w ub. stuleciu. Natomiast niektórzy działacze SKS nie mają nawet 20 lat.

P.: — *Wspomniał pan na wstępie, że Sołżenicyn stał się głównym ideologiem nie tylko dla dysydentów w ZSSR, lecz także ruchu oporu w Polsce i gdzie indziej. Jak pan to rozumie?*

O.: — Sołżenicyn usiłuje zaserwować czytelnikom, że nawet w najbardziej brutalnym ustroju totalnym państwo musi się liczyć w jakimś stopniu z nastrojami i zachowaniem się ludności pod warunkiem, że umie ona i chce dawać zewnętrzny wyraz swemu niezadowoleniu. Pełne potwierdzenie tego dostarcza powojenna historia PRL. Ponadto Sołżenicyn wykazuje, że między uległością niewolnika a buntem rawolucjonisty posługującego się siłą i terrorem istnieje szeroka gama innych możliwości. Autor *Archipelagu Gułag* poddaje miążdzącej krytyce własny naród zarzucając mu absolutną bierność wobec przemocy, więcej — niewolnicze współdziałanie ofiar z prześladowcami. Twierdzi „*że gdyby odwaga cywilna cechowała nasz lud nie byłoby powodu do napisania 'Archipelagu Gułag' bo by go nie było*”. Na pierwszy rzut oka może się to wydawać literacką fantazją. Sołżenicyn uzasadnia jednak, że despotyczne rządy mniejszości opierają się wyłącznie na strachu rządzonych przed rządzonymi. Stają się bezsilne wobec ludzi, którzy są gotowi na wszystko i wyzwolili się z obeszładniającego uczucia lęku. „*Tylko ten zwycięży, kto się wyrzeknie wszystkiego*”. Co może uczynić KGB człowiekowi, który przestał bać się śmierci, bicia, tortur, zamknięcia i w więzieniu albo w szpitalu dla wariatów, utraty posady a nawet zagrożenia członków swojej rodziny. Można go oczywiście zabić, albo unieszkodliwić zamykając w łągrze. Historia uczy jednak, że w pewnych sytuacjach przykłady męczeństwa działają zaraźliwie. Jeśli przełamanie bariery strachu nastąpi w skali masowej i ogarnie z czasem większość społeczeństwa — narzędzie terroru zostanie wytrącone i sytuacja ulegnie odwróceniu: rządzący zaczną bać się rządzonych i zmuszeni zostaną do ustępstw i kompromisów. To jest chyba kwintesencja myśli Sołżenicyna. Wyzwolenie się spod paraliżującego lęku przed najgorszym, pociągnięcie własnym przykładem innych jest największą zasługą Sołżenicyna, Sacharowa i w ogóle dysydentów w ZSSR.

P.: — *Wróćmy do Polski. Tu obok zastraszenia przez bezpiekę jest jeszcze obawa społeczeństwa przed interwencją sowiecką. Jak pan to zagrożenie ocenia?*

O.: — Trzeba je mieć ciągle na uwadze a równocześnie oceniać je realnie. Nie wolno dopuścić do tego, by stało się ono szantażem zmuszającym do absolutnej bierności, bo to prowadziłyby w prostej linii do innego niebezpieczeństwa, mianowicie do sowietywacji kraju.

Nie ma żadnej analogii między Polską anno Domini 1979 a Węgrami i Czechosłowacją. W obu tych krajach inwazja wymierzona była przeciwko kierownictwu partii, które nie tylko

wypowiedziało posłuszeństwo Moskwie (w Rumunii zrobił to już dawno i bezkarnie Ceaucescu), ale było gotowe wystąpić z paktu warszawskiego (Węgry) i wyrzec się monopolu władzy czyli jednopartyjnych rządów. W obu wypadkach Moskwa mogła liczyć na to, że wojska sowieckie nie napotkają oporu zbrojnego. W Polsce sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej. Ekipa Gierka jest całkowicie uległa wobec Moskwy. Nie zamierza dzielić się władzą z opozycją i usiłuje ją zwalczać. Nie ma więc powodu do interwencji wojskowej. Ponadto Rosjanie mają już swoje doświadczenie z Polakami, pamiętają Powstanie Warszawskie i, jak powiedział kiedyś Kisielewski, wiedzą, że Polska to taki niebezpieczny naród, który w obronie imponderabiliów już raz poświęcił swoją stolicę i doprowadzony do ostateczności przestaje się liczyć z ofiarami. Na Kremlu nie mogą mieć pewności, czy wprowadzenie do akcji czołgów nie doprowadzi w Polsce do konfrontacji nie tylko z ludnością cywilną, ale i z wojskiem. Zapewno nie potrwałoby to długo, ale spektakl sowieckich czołgów miążdzących robotników byłby dla ZSSR politycznie bardzo kosztowny. Reperkusje międzynarodowe zwłaszcza w Trzecim Świecie mogłyby podważyć sowiecką strategię podboju bez wojny.

Wreszcie ruch oporu w Polsce jest dotychczas dużo ostrożniejszy, bardziej realistyczny niż opozycja w Czechosłowacji w roku 1968 i na Węgrzech 1956. Nie stawia sobie jako celu na dziś ani obalenia rządów i ustroju, ani wyzwolenia się od zależności sowieckiej. Nie zapominajmy jednak, że takie pojęcia jak „kierownicza rola partii”, czy „zależność od ZSSR” są w pewnych granicach (zależnie od układu sił w danej chwili) elastyczne i mogą być różnie interpretowane. Ruch oporu walczy o taką ich wykładnię, która daje możliwie najszerszy margines wolności.

P.: — *Wynika z tego, że nie widzi pan w obecnej chwili niebezpieczeństwa zbrojnej interwencji sowieckiej.*

O.: — Widzę je w dwóch wypadkach: Sowiety wkroczą zbrojnie, jeśli pod wpływem katastrofy gospodarczej dojdzie do dezintegracji systemu i grupa rządząca rozleci się albo utraci całkowicie panowanie nad sytuacją. Nie można tej możliwości wykluczyć. Albo jeśli dojdzie do zrywu, który rozleje się na cały kraj i którego reżym własnymi siłami nie zdoła opanować. Paradoks polega na tym, że Moskwa, ekipa Gierka i opozycja, mają wspólny interes — każdy z innych powodów — by tego uniknąć. Nie można wykluczyć nawet takiej sytuacji, w której kierownictwo partyjne zwraca się do ludzi typu Kuronia i Michnika o pomoc w uspokojeniu wrzenia, które grozi wybuchem. Mieliśmy precedens w 1956 roku, kiedy Kliszko i Bieńkowski pojechali do



Komańczy prosić Prymasa, by zgodził się wrócić do Warszawy i pomógł w uspokojeniu nastrojów. I chociaż kardynał Wyszyński wrócił bez stawiania warunków — partia musiała za to później Kościołowi zapłacić. Oczywiście Prymas mógł skutecznie wpłynąć na ludność tylko dzięki temu, że miał autorytet moralny wyniesiony z nieustępliwej walki.

P.: — *Wyobraźmy sobie, że dochodzi do takiej hypotetycznej sytuacji. Jaką cenę musiałyby władze zapłacić opozycji?*

O.: — Nie wiem. Chyba pogodzeniem się z istnieniem niezależnych ośrodków a może nawet z instytucjonalizowaniem ich na przykład w postaci uznania społecznych komitetów interwencyjnych przy Froncie Narodowym.

P.: — *Tak, ale wtedy opozycja stałaby się częścią establishment'u czyli przestałaby być tym, czym jest.*

O.: — Niekoniecznie. Tego rodzaju komitet mógłby stać się po prostu platformą dla ruchu oporu a równocześnie buforem między ludnością a władzami.

P.: — *Interwencja sowiecka nie jest jedynym niebezpieczeństwem. Polska jest przywiązana do sowieckiego rydwanu obawą przed zjednoczeniem Niemiec i roszczeniami terytorialnymi. Po układzie Bonn-Warszawa obawy te niewątpliwie osłabły, ale wciąż drzemią w głębi polskiej duszy.*

O.: — Zgadzam się, że na dalszą przyszłość to jest nasz największy i najtrudniejszy dylemat polityczny. Osobiście uważam, że głównym zadaniem żyjącego pokolenia kto wie, może jednego czy dwóch następnych, jest odzyskanie niepodległości i utrwalenie granicy zachodniej. Jedno jest nierozdzielnie związane z drugim. Utrata Ziem Zachodnich oznaczałaby zredukowanie nas do państwa kałużowego, niezdolnego do samodzielnego bytu. Ale droga do utrwalenia granicy na Odrze i Nysie prowadzi przez pojednanie z Niemcami, albo jeśli pan woli, przez pogodzenie się większości społeczeństwa niemieckiego z obecnym statusem terytorialnym. Odzyskanie niepodległości nie jest możliwe dopóki Niemcy Wschodnie są satelitą ZSSR. Chyba nie trzeba tego udowadniać. A wyzwolenie Niemiec Wschodnich od sowieckiej kurateli prowadzi do zjednoczenia Niemiec, czy tego chcemy czy nie. Zmierzam do tego, że szantażem niebezpieczeństwa niemieckiego nie wolno dać się zmusić do wyrzeczenia się niepodległości.

P.: — *Wynika z tego, że solidaryzuje się pan z oświadczeniem PPN.*

O.: — Zgadzam się z zasadniczą myślą, lecz niektóre sformułowania były nieszczęśliwe i niepotrzebne. Zjednoczenia Niemiec nie można wysuwać jako postulatu polskiej racji stanu, bo tego społeczeństwo nie przełknie. Nie tylko Polska, ale zachodni sąsiedzi Niemiec woleliby Niemcy podzielone, ale tamci nie będą mieli ochoty, a my siłą, aby temu zapobiec. Przyszłe zjednoczenie Niemiec trzeba po prostu traktować jako rzecz w wymiarze historycznym nieuniknioną i należy się do tej ewentualności zawsza przygotować. Polski nie stać na agresję *moralną* (czyli kulturowanie wieczystej nienawiści) ani przeciw *narodowi* rosyjskiemu ani niemieckiemu. Podkreślam przeciw *narodom*, których nie należy nigdy identyfikować z rządami. Domagamy się tego rozróżnienia dla siebie, stosujemy je więc wobec innych. Droge postępowania wobec Niemiec wytyczył Prymas i Episkopat. Kościół ma olbrzymie zasługi dla scalenia Ziem Zachodnich z resztą kraju i jeszcze większe dla wywalczenia uznania granicy przez Watykan, co stało się pierwszą międzynarodową wykładnią układu Warszawa-Bonn. Ale równocześnie Kościół był pierwszym, który wyciągnął rękę do pojednania. Nauczmy patrzeć się w przyszłość poza obecny stan rzeczy. Marzymy o wyłonieniu się koniunktury, która pozwoli nam odzyskać niepodległość, ale nie dopuszczamy nieprzyjemnej myśli, że ten sam układ doprowadzi najprawdopodobniej do zjednoczenia Niemiec choćby w postaci federacji dwóch organizmów o odmiennej strukturze społeczno-gospodarczej. W Niemczech Wschodnich antypolskie nastroje rewindykacyjne tłumione są siłą. Tym mocniej prawem reakcji wystąpią na powierzchnię w chwili wyzwolenia. Czas, który nam pozostał należy wykorzystać dla wspierania i zachęcania tych elementów w Niemczech Zachodnich, które dążą do pojednania z nami na gruncie uznania granic. Ogromne zasługi ma pod tym względem grupa skupiona wokół *Tygodnika Powszechnego*. Zdumiewają natomiast wystąpienia niektórych polityków i grupiek emigracyjnych, które sprzymierzają się z rewizjonistami, elementami szowinistycznymi i nieprzejednanymi wrogami dezorientując przez to i zniechęcając przyjaciół choć ich w dzisiejszym społeczeństwie niemieckim nie brakuje. Gdyby, co nie daj Boże, elementy neohitlerowskie i nacjonalistyczne wzięły w Niemczech górę — nie pozostałoby nam nic innego jak związanie się z Rosją w roli mniejszego a więc zależnego partnera. Powinniśmy lepiej poznać geografii polityczną dzisiejszych Niemiec. Odrzucmy traktowanie ich *en bloc* w jednym czarnym kolorze. Obraz jest złożony i różniczkowany. Także z polskiego punktu widzenia.

P.: — *Wróćmy jednak do tematu. Pewien polski politolog przypominał niedawno na łamach amerykańskiego periodyku, że oba*

*powstania Listopadowe i Styczniowe rozniecone zostały przez młode i zapalczywe elementy wbrew stanowisku i rozeznaniu starszych i wyraził obawę, że odpowiedzialne elementy ruchu oporu mogą się znaleźć w tej samej sytuacji.*

O.: — Skończmy już z tym. Z każdą akcją polityczną i z każdą walką wiąże się jakieś ryzyko. Nie da go się zresztą uniknąć popadając w beczynność. Chodzi o to, by ryzyko było starannie wykalkulowane i by starać się ograniczać je w miarę możliwości. Mechaniczne przykładanie starych schematów jak romantyzm *versus* realizm czy pozytywizm prowadzi do uproszczeń i fałszywego obrazu rzeczywistości.

P.: — *Ludzie odwiedzający rodziny w Polsce twierdzą po powrocie, że opozycja bardziej jest widoczna w prasie emigracyjnej niż na miejscu w kraju. Jak pan ocenia siły ruchu oporu?*

O.: — Przestrzegam przed liczeniem od sztuki. Na początku wspomniał Pan, że w końcu 1975 około 40 tys. ludzi wystąpiło jawnie składając podpisy — przeważnie czytelne — pod różnymi protestami i petycjami. Od tego czasu jawny ruch znacznie się rozwinął, skonsolidował i osiągnął rozmiary masowe w skali niespotykanej w żadnym innym kraju orbity sowieckiej. Werblan ocenił, że 200 czołowych intelektualistów zaangażowało się czynnie. Wszystkie te liczby nie uwzględniają najważniejszego. Tego mianowicie, że na każdego ujawnionego przypada wielu ludzi, którzy współdziałają anonimowo. Nie chcąc być gołosłownym sięgnę do jednej cyfry. *Kultura* w zeszycie styczniowym przytacza sprawozdanie finansowe KOR-u za okres jednego roku. Wynika z niego, że sam KOR rozdał na różne cele ponad dwa miliony złotych, udzielił pożyczek na akcję wydawniczą na sumę 400 tys. złotych. Jak na polskie stosunki — bardzo dużo. Tylko niewielką część tego stanowią dary od Polaków z zagranicy. Ogromna większość pochodzi z ofiarności społeczeństwa, czasem z groszowych datków ludzi najbiedniejszych. To tylko jedna ilustracja siły zaplecza.

Trzeba jednak przyznać, że ten nurt objął dotychczas tylko część społeczeństwa. Większość pozostaje poza nim, woli się przyglądać aniżeli pomagać. Niejednemu odwaga i aktywność innych zamąca sumienie i przeszkadza w wewnętrznej akomodacji budząc nawet niechęć. Pamiętajmy jednak, że w roku 1914 część społeczeństwa czynnie zaangażowana w dążeniach niepodległościowych stanowiła drobną mniejszość. Większość była pogodzona z istniejącym stanem rzeczy, pogrążona w apatii i w trójlojalizmie. I ta niewielka mniejszość potrafiła w bardzo

krótkim czasie przebudzić, uaktywnić i zmobilizować cały naród, gdy tylko wyłoniły się przed nim realne szanse i nadzieje.

P.: — *Dotychczas wspominał pan tylko o KOR. Istnieją inne ośrodki. Najsilniejszym jest niewątpliwie ROPCiO, gdzie zarysował się ostatnio rozłam. Czy po tej linii idzie podział ruchu na lewicę i prawicę?*

O.: — Polityczna geografia ruchu oporu nie jest jednolita. KOR stawia sobie konkretne i kolejne zadania na dziś, starając się skupić wokół nich ludzi o jak najszerszym wachlarzu. Nie jest więc formacją w sensie stronnictwa czy grupy politycznej. Bliższy temu jest ROPCiO, ale także byłoby błędem utożsamiać go z jednym z tradycyjnych, przedwojennych kierunków politycznych. Nie można pomijać PPN, którego działacze konspirują się, a który pragnie być kuźnią idei i koncepcji polityczno-programowych. W KOR robią to Kuroń i Michnik, ale obaj podkreślają, że występują w imieniu własnym.

P.: — *Czy da się jednak powiedzieć, że ROPCiO reprezentuje w tym układzie prawicę a KOR demokratyczną lewicę?*

O.: — Lepiej być ostrożnym. Dawniej prawica była utożsamiana z Kościołem i katolicyzmem. KOR nie tylko ma w swoim gronie księdza, ale wspiera finansowo pismo młodych katolików *Spotkania*. Kryteria ulegają zmianom. ROPCiO przyciąga niewątpliwie elementy nacjonalistyczne, m.in. doły PAX-u. W strefie wolności i demokracji musi panować pluralizm i konflikty poglądów, mogą występować nawet rozłamy. To wszystko jest istotą każdej wolnej zbiorowości. Musi więc istnieć prawica i lewica. Ani jednym ani drugim nie można odmawiać prawa do istnienia i szerzenia własnych poglądów. Nawet jeśli przeciwnik ich nie lubi. Grunt, że nie spełniły się nadzieje bezpieki liczącej na to, że mnożenie się organizacji, czasopism itd., doprowadzi do tego, że zaczną się kłócić między sobą zamiast walczyć z totalizmem. Jak dotychczas polemiki i dyskusje nie naruszyły zasadniczej solidarności w sprawach zasadniczych.

P.: — *Jak pan wyobraża sobie przyszłość?*

O.: — Wiele, jeśli nie wszystko, zależy od rozwoju sytuacji w Moskwie. Kierownictwo partii żyje w wyczekiwaniu tego, co się stanie po odejściu Breżniewa. Póki panuje niepewność — bezpieczniej jest nie wychylać się w tym czy w innym kierunku. Wiek i choroba Breżniewa wytwarzają pewien immobilizm i w Moskwie i w Warszawie. Należy to uznać za okoliczność sprzyjającą i życzyć sobie, aby Breżniew potrwał jeszcze jakiś

czas, bo im bardziej ten stan rzeczy się przedłuża, tym większa potencjalna możliwość przewlekłej walki o władzę po jego odejściu. Snucie przewidywań byłoby zbyt dowolne. Można jednak zaryzykować tezę, że gdy Breżniew zejdzie ze sceny, być może cała jego ekipa zostanie zmuszona do odejścia. Mało kto zdaje sobie na zachodzie sprawę ze stopnia frustracji i ciśnienia wywieranego przez pokolenie ludzi około pięćdziesiątki. Wobec braku jakiegokolwiek mechanizmu sukcesji nie wyobrażam sobie, aby taka zmiana całej ekipy mogła nastąpić bez walki.

Upraszczać przewidywania na przyszłość można sobie wyobrazić dwa scenariusze. Jeden optymistyczny — drugi pesymistyczny. Zaczniemy od pierwszego.

Po odejściu Breżniewa następuje okres przejściowy. Następca nie ma w ręku pełnej władzy poprzednika. Rządy sprawowane kolegiąlnie doprowadzają do przewlekłej walki o władzę. Rywalizujące frakcje wciągają sojuszników zewnętrznych spoza swego własnego grona, a więc najprzód aktywny partyjny, wojsko, KGB... a w dalszej kolejności elitę intelektualną i w ostatniej fazie szerokie masy. Jeśli ten proces potrwa dostatecznie długo — może doprowadzić do rozhuśtania nastrojów, rozbudzenia mas i powtórzenia się wzorca zbliżonego do polskiego „Października”, węgierskiego listopada i praskiej wiosny. Z tym, że nie będzie tym razem siły interwencyjnej, bo zakładamy, że wojsko i KGB stoją po przeciwnej stronie. W tych warunkach dochodzi do przejściowego osłabienia centralnego ośrodka dyspozycji całej orbity sowieckiej i wyzwolenia tendencji odśrodkowych. Przed społeczeństwem wyłania się koniunktura, którą w pełni wykorzystuje ono dzięki istnieniu ruchu oporu.

A teraz scenariusz pesymistyczny: zmiana na Kremlu dokonuje się w drodze jeszcze jednej rewolucji pałacowej rozgrywającej się w ciągu kilku godzin czy dni w czterech ścianach Kremla. O wyborze następcy decyduje sojusz wojska i KGB. Do władzy dochodzą elementy szowinistyczne. Otwiera się okres bonapartyzmu. Nowa ekipa wchodzi na drogę szybkiej ekspansji, postanawia wykorzystać słabość Zachodu i przewagę własną. Dochodzi do napięcia i kryzysu między supermocarstwami. W obliczu zagrożenia Moskwa przeprowadza prewencyjne oczyszczanie tyłów. Ekipa Gierka ustępuje miejsca frakcji policyjnej — opozycja zostaje wyeliminowana.

Oczywiście między tymi dwoma skrajnościami można sobie wyobrazić dowolną ilość różnych wariantów. Na przykład w Polsce dochodzi do zrywu rewolucyjnego, rządy wymykają się partii z ręki, następuje sowiecka interwencja wojskowa ze wszystkimi jej konsekwencjami. Albo inaczej: do eksplozji nie dochodzi, względnie bunt rewolucyjny zostaje zahamowany dzięki opozycji

i przy jej współdziałaniu. Partia godzi się z faktem istnienia opozycji w ściśle określonych ramach. Można oczywiście mnożyć tego rodzaju spekulacje bez końca.

P.: — *Ostatnie pytanie. Na czym ma polegać pomoc emigracji poza dostarczaniem środków finansowych?*

O.: — Mobilizowanie i informowanie opinii zachodniej — w pierwszym rzędzie środków masowego przekazu i rządu USA. Montowanie wspólnego frontu i współdziałanie w konkretnym celu: obrony praw człowieka, wszystkich grup etnicznych z Europy Wschodniej nie wyłączając Rosjan a ze szczególnym akcentem na zbliżenie z naszymi sąsiadami etnicznymi. Współdziałanie w konkretnych sprawach i wzajemna pomoc łatwiej doprowadzą do rozładowania dawnych antagonizmów i zbudowania frontu solidarności aniżeli jałowe roztrząsanie przeszłości. Tego rodzaju wspólny front będzie rzutował na Polskę i jej sąsiadów. Pamiętajmy, że tym razem niepodległość przynieść mogą tylko wypadki wewnątrz sowieckiej orbity przede wszystkim w jej centrum. Nie możemy liczyć na Zachód i Stany Zjednoczone. W tych warunkach jedyną realną orientacją jest wytrwałe montowanie solidarnego frontu przeciw władzy totalnej wszystkich narodów ZSSR.

Po drugie emigranci powinni wykazywać co najmniej tyle odwagi co opozycja w kraju. Dam przykład. Odbył się niedawno zjazd uczonych pochodzenia polskiego w Krakowie. Czy chociaż jeden z nich zapytał publicznie dlaczego nie ma na tym zjeździe ani jednego polskiego uczonego z ZSSR. A jeśli ich tam nie ma, to dlaczego polska mniejszość pozbawiona została dostępu do kariery naukowej. Czy ktokolwiek upomniał się o wypuszczenie z Polski Barańczaka, na którego czeka katedra literatury polskiej w Harvardzie. (Jeśli się myślę z radością przyjmę sprostowanie). Taki „śmiałek” ryzykuje co najwyżej odmowę wizy przy następnej podróży. Proszę to porównać z groźbą skrytobójstwa, z którą nieustannie spotykają się ludzie zatrzymywani przez bezpieczeństwo albo z utratą pracy lub możliwości publikowania. Dwieście tysięcy ludzi przyjeżdża do Polski z Zachodu. Każdy mógłby zabrać książkę albo czasopismo. Tymczasem na tego rodzaju „bohaterstwo” umie się zdobyć garstka.

I najważniejsze. Emigracja musi wyzwolić się z pokutującego jeszcze gdzieś poglądu, że walka o zdobycze ograniczone, ale możliwe do uzyskania w warunkach dnia dzisiejszego, oznacza odstąpienie od celu maksymalnego jakim jest odzyskanie w bliżej nieokreślonej przyszłości niepodległego bytu. Fałszywy slogan mówiący, że każda działalność zmierzająca do nieznaczącej choćby poprawy, możliwej do osiągnięcia w aktualnie istniejących wa-

runkach, oznacza „ulepszanie systemu” a więc jego akceptację — prowadzi w prostej linii do biernego wyczekiwania i powtarzania w kółko tych samych pryncypialnych haseł. A bezczynność to nic innego, jak przyzwyczajanie się do istniejącego stanu rzeczy. Codzienna walka o cele częściowe wcale nie oznacza wyrzeczenia się celu maksymalnego tj. niepodległości. Wręcz przeciwnie utrzymuje ono społeczeństwo w stanie aktywności i gotowości. Warto w tym miejscu przypomnieć słowa śp. Juliusza Mieroszewskiego: „*postulat niepodległości Polski przestanie być realny tylko w jednym wypadku: jeśli samo społeczeństwo uzna go za nieziszczalny, pogodzi się z obecnym stanem rzeczy i zatraci potrzebę wolności i tęsknotę za niezależnością*”.

Jan NOWAK

## Widziane z Brukseli

### DRUGA STRONA CZWARTEGO MEDALU LEONIDA BREŻNIEWA

„Towarzysze z kierownictwa uznali, że jestem przemęczony i przepracowany i przekonali mnie, iż powinienem odpocząć...”. Tymi słowami rozpoczął swój powitalny toast pierwszy sekretarz komitetu centralnego komunistycznej partii Związku Sowieckiego, przewodniczący Rady Najwyższej ZSSR, marszałek Leonid Ilicz Breżniew podczas powitalnego bankietu wydanego w dniu 13 stycznia 1979 roku w Sofii przez pierwszego sekretarza komitetu centralnego bułgarskiej partii komunistycznej, przewodniczącego Rady Najwyższej Bułgarskiej Republiki Ludowej — Todora Żiwkova.

Nic dziwnego, że pierwszy sekretarz... itd., był zmęczony. Odniósł był właśnie świetne zwycięstwo w Kambodży. Kilka dni przed toastem, wietnamski *Blitzkrieg* wyzwolił Pnom Penh, wypędzając zniechęconą (i słusznie) klikę Pol Pot'a. Breżniew ma 72 lata, cierpi na wiele różnych chorób, źle słyszy (nosi już stale aparat w lewym uchu — dlatego wszystkie zdjęcia są z prawego profilu) mówi coraz bardziej niewyraźnie, coraz rzadziej rozmawia, coraz częściej czyta przygotowane monologi.

Zanim towarzysze z kierownictwa przypną mu za kambodżański sukces czwartą gwiazdę na piersi (na zdjęciu w styczniowym *Time* widać ich tylko trzy, a jest jeszcze miejsce), Breżniew

chciał odpocząć i słusznie wybrał Bułgarię. Można się, co prawda zastanowić czy Breżniewowi nie odpowiada już klimat krymski, też czarnomorski wszak, ale i Bułgaria ma zalety. Ze wszystkich bratnich narodów, ten jest najwierniejszy, żadne dysydenckie echo nie zakłóci odpoczynku sekretarza, ze wszystkich bratnich szefów Żiwkow najrzadziej się skarży, nigdy nie zabiera samodzielnie głosu, a kiedy zabiera to tylko po to, aby powtórzyć *his masters voice*, bez żadnych myśli ukrytych (*if any...*). No i nie razi młodością, ani biologiczną, ani na urządzie. Prawdziwi Słowianie i prawdziwi komuniści, dla Bułgarów „miłość do Bułgarii i do ZSSR są nierozłączne” i chodzi im już tylko o to, aby „nie likwidując narodowych cech stworzyć wraz z ZSSR jeden organizm, oddychający tymi samymi płucami i używany tym samym krwioobiegiem” (cytaty autentyczne!).

Klimatycznie także Bułgaria się nadaje. Żiwkow przygotował dla Breżniewa nowiutki skromny pałacyk w uzdrowisku Bankia, o kilkanaście km. od Sofii, znanym ze swego mikroklimatu i swych źródeł wyjątkowo skutecznych w schorzeniach naczyniowych i sercowych. Krótko mówiąc, warunki idealne dla Breżniewa, w którego otoczeniu (żona, syn...) dawano do zrozumienia, że pobyt potrwa co najmniej jeszcze kilka dni, po zakończeniu części oficjalnej.

Tymczasem, zaskoczenie: Breżniew wyjechał po zaledwie czterech dniach pobytu w Sofii. Nic przy tym w ciągu tych czterech dni nie przypominało ani kuracji ani odpoczynku. Pogoda się popsuła czy co? Niektóre szczegóły wskazywały także na nerwowość pacjenta i nagły charakter decyzji powrotu. Radio sowieckie np. — instytucja oficjalna przecież — podało Moskwę jako cel samolotu, na pokładzie którego Breżniew opuścił Sofię, podczas gdy ten lądował na Krymie, gdzie Breżniew wypoczywał (?) przez następne 48 godzin.

Nie jest to jednak jedyny szczegół wart sprawdzenia. Istotnie, sporo rzeczy nie klapuje. Jeżeli bowiem nie odpoczynek czy turystyka były celem podróży Breżniewa do Sofii, to warto zadać sobie pytanie, co takiego mogło w najgorszą zimę stulecia, rzucić chorego i nielubiącego podróży pierwszego sekretarza do nagłego skoku przez lądy i wody, klimaty i temperatury aż do Sofii, akurat w chwili kiedy na biurku szefa potężnego państwa piętrzyły się *dossiers* Iranu, Indochin, SALT II i Chin, żeby pominąć mniej ważne? Czyżby akurat w takiej chwili, kiedy los świata wymagał jego obecności przy atomowym guziku i czerwonej linii na Kremlu, Breżniew poczuł nieodparte pragnienie i żądzę oraz potrzebę poradzenia się z Żiwkowem, który, jak dotąd, nie zastąpił ani z oryginalności wyobraźni politycznej ani odwagi przekonania.

A może to nie mikroklimat wieńcowy w Bankii a makroklimat polityczny świata najpierw pchnął Breżniewa do Sofii a potem skłonił do szybkiego powrotu? A może Breżniew udał się na Bałkany nie w sprawach serca, a w sprawach głowy, inaczej mó-

więc pojechał nie w misji zdrowotnej a politycznej i nagle wrócił, bo się misja nie udała?

Zanim odpowiemy, zajrzyjmy za kulisy. A nuż się czegoś dowiemy...

### *Balkany to nie Gwadelupa*

Po pierwsze, Breżniew pojechał do Sofii pociągiem. Pozornie szczególnie banalny, w istocie kryć może polityczny sekret. Albo, bowiem, albo. Jadąc pociągiem do Sofii, Breżniew musiał przejechać przez Rumunię, cudów w geografii nie ma. A tymczasem, dla nikogo nie jest tajemnicą, że podróż ta wypadła w momencie bardzo ostrego napięcia w stosunkach sowiecko-rumuńskich. Jeżeli więc Breżniew musiał być w Sofii, a chciał uniknąć pretekstu do spotkania z Ceausescu, to mógł (choć tego nie lubi) wsiąść w swojego Ił'a i ominąć nielubianego bałkanoida, tak jak to uczynił w drodze powrotnej, choć mu się nie spieszyło. Zatrzymał się bowiem — tak jakby chciał ten właśnie szczegół szczególnie podkreślić — na 48 godzin na Krymie. Jadąc więc pociągiem Breżniew wiedział co wybiera, wiedział że stwarza warunki, jeżeli nie presję na spotkanie z Ceausescu.

A tymczasem na granicy rumuńskiej Breżniew powitany został przez niejakiego Bobu, nawet nie premiera, a zwykłego członka — który w dwa tygodnie później stracił zresztą posadę — tak jakby chodziło wyłącznie o sprawdzenie czy Breżniew ma ważną wizę rumuńską. Coś chyba nie wyszło, Breżniew przez Rumunię bezpiecznie przejechał, ale prasa sowiecka totalnie przemilczała teksty przyjacielskich messażów jakie obaj prezydenci wysłali sobie wzajemnie przy tej okazji. A szkoda, bo panowie życzyli sobie wszystkiego najlepszego, o czym *Scanteia*, organ rumuński, szczegółowo doniosła, a o czym *Prawda* absolutnie zapomniiała...

Po drugie, w przeddzień wyjazdu z Sofii, Breżniew przekazał specjalne posłanie do Tito. *Borba* organ jugosłowiański ogłosiła ten fakt, *Prawda* znowu zapomniiała... Wszystko było na buzi, więc nic o treści listu nie wiadomo, jak tylko to, że chodziło o „rozwoj współpracy między obu państwami”. Otóż, współpraca ta akurat w tej chwili nie bardzo się rozwija. Powodem napięcia między Belgradem a Moskwą — tak jak w przypadku Bukaresztu — jest zwycięstwo Breżniewa w Kambodży. Różnica polega tylko na tym, że podczas gdy wobec Rumunii, członka Paktu Warszawskiego o reżymie prawdziwie komunistycznym z punktu widzenia gwałtu na człowieku i jego prawach, Moskwa stara się (nie zawsze się to udaje) zachować dyskrecję i powściągliwość, z Jugosławią się nie patyczkuje. Polemika prasy sowieckiej z poglądami jugosłowiańskimi przypomina coraz bardziej okres tzw. miniony. Gazety w Belgradzie piszą o „hegemonii”, gazety w Moskwie o tym, że Jugosławia uprawia grę imperialistów. I aby nie było żadnych wątpliwości co do nastroju w jakim Breżniew opuszczał Balkany, to tuż po jego wyjeździe w Bułgarii ukazały

się artykuły i wspomnienia odgrzewające bułgarskie pretensje wobec jugosłowiańskiej Macedonii, a w *Izwiestiach* ukazał się komentarz analizujący sukcesy wynikające ze „skoordynowanej polityki zagranicznej państw socjalistycznych”. Jako przykład tych sukcesów gazeta podała zwycięstwo w Kambodży, bardzo niepopularne w Bukareszcie i w Belgradzie, załączając przy okazji utrzymaną w poważnym tonie przestrożę przed katastrofalnymi skutkami odejścia od „proletariackiego internacjonalizmu”.

Breżniew nie jeździ bez powodu. Po odrzuceniu humorystycznej wersji wczasowo-wypoczynkowej, pozostaje wyłącznie interpretacja polityczna. Zaczniemy od najprostszej: Breżniew chciał podkreślić, że może jeździć gdzie i jak chce, że czuje się na Bałkanach jak w domu, że Moskwa jest w tym rejonie bardziej obecna niż przedtem, że Rosja ma tam poważne interesy i że zdecydowana jest tych interesów bronić, mimo niedawnej triumfalnej podróży przez te same granice Hua Kuo-fenga, szefa z Pekinu. Traf na dodatek sprawił, że Breżniew zjawił się w Sofii w kilka tygodni po uruchomieniu bezpośredniej i szybkiej linii *ferry* czyli promu Varna-Illiczewsk koło Odessy, na której pływać będą najnowocześniejsze i najszybsze promy świata. Każdy z czterech (na razie) promów stale w ruchu może przewieźć 100 ciężarówek z towarami, albo... 150 czołgów, nie licząc obsługi. Wyklucza to na przyszłość kaprysy niezdyscyplinowanego Ceausescu, który w 1968 roku odmówił prawa tranzytu oddziałom bułgarskim, idącym wyzwalać Kambodżę, przepraszam, Czechosłowację od Pol Pot'a, przepraszam Dubczeka.

Ale jadąc do Sofii Breżniew chciał chyba przede wszystkim doprowadzić perswazją lub groźbą — do wyciszenia zaraźliwego alarmu i gwałtu jaki Ceausescu i Tito podnieśli po najeździe Czechosłowacji, przepraszam, Kambodży. Według niektórych informacji z Belgradu, Breżniew chciał doprowadzić do czegoś w rodzaju bałkańskiej Gwadelupy. Ta misja jednak się nie powiedziała, do spotkania nie doszło. Breżniew nie tylko nie wypoczął w Sofii, ale się jeszcze dodatkowo zmęczył. Niepotrzebnie.

Dla Rumunii i Jugosławii, dla północnej Korei czy innych krajów trzeciego świata, operacja kambodżańska była po prostu zastosowaniem — w azjatyckiej wersji — doktryny Breżniewa o „ograniczonej suwerenności” przy czym Wietnam odgrywa rolę azjatyckiej Kuby. Ta geograficzna łamigłówka oznacza, że tak jak w 1956 roku na Węgrzech, czy w 1968 roku w Czechosłowacji, Breżniew w Kambodży zaaplikował zasadę, zgodnie z którą Moskwa posiada prawo interwencji w każdym kraju socjalistycznym, gdzie — jej zdaniem — interesy sowieckie są zagrożone albo gdzie interesy sowieckie takiej interwencji wymagają. Reszta jest prosta. Rumunia czy Jugosławia obawiają się powrotu tej doktryny do Europy i na Balkany, nie martwią się o Kambodżę, a o siebie. Strach ten jest częścią nowej sytuacji na świecie. Moskwa odniosła w Indochinach poważny sukces, od którego może jednak zbieleć włos na niejednej siwej lub łysej głowie w ZSSR. Kilka pytań na ten temat:

*Pytanie pierwsze: kto zapłaci?*

Zacznijmy od opadu w obozie socjalistycznym. Pewien rumuński „rozmówca” starał się delikatnie wytłumaczyć mi stanowisko jego kraju. Delikatnie, choć bowiem byliśmy sami, oni są przyzwyczajeni do ostrożności. „Nie ma powodu — mówił Rumun — ronić łez z powodu końca Pol Pot’a, który był zwyczajnym zbrodniarzem i dementem. Można gwałcić niektóre prawa ludzkie przez jakiś czas, nie można gwałcić wszystkich praw przez cały czas, a tak właśnie zachowywał się Pol Pot. Ale Wietnam najechał Kambodżę nie w imię praw człowieka, a w imię interesów strategicznych ZSSR i imperialistycznych ZSSR”. Zwracając się zaś do Brukselczyka w charakterze wolnej opinii publicznej dyplomata ów dodał, bez żadnej naturalnie aluzji do sytuacji jego własnego kraju: „Powoływanie się na zbrodnie Pol Pot’a dla usprawiedliwienia inwazji Kambodży oznacza, że ponieważ Kmerowie wzajemnie się w przeszłości mordowali, to teraz nie należy zwracać uwagi, na to że są masakrowani przez czołgi wietnamskie”.

Dla innych europejskich krajów socjalistycznych „goszczących” już u siebie (w odróżnieniu od Rumunii) czasowo przebywające oddziały sowieckie, afera kambodżańska ma poważne aspekty gospodarcze. Chiny, jak wiemy, nie potrafiły uratować reżymu Pol Pot’a (nie bardzo się zresztą o to starały) nie mają środków ani warunków (brak granicy np.), mogą jednak i chyba się o to postarają, podtrzymać polpotowską partyzantkę. Wietnam jest najbardziej szczerze w Kambodży znienawidzony, tradycję ma tam podobną jaką miałyby w identycznych warunkach Prusy albo Rosja w Polsce. Sądzić więc należy, że aczkolwiek Kmerowie mieli najzupełniej dosyć Pol Pot’a, to jednak nie pogodzą się łatwo z obecnością Wietnamczyków. A obecność ta jest niezbędna aby utrzymać w Kambodży reżym prowietnamski i prosowiecki, z czego z kolei wynika perspektywa nieuniknionej okupacji i związanych z tym kolosalnych kosztów. Otóż pomoc materialna może przyjść tylko z jednej strony, z Europy Wschodniej z ZSSR na czele.

Od sierpnia ub. roku Wietnam, kraj zniszczony 30-letnią wojną jest członkiem RWPG i korzysta z bratniej pomocy krajów socjalistycznych. To był jedyny sens wejścia Wietnamu do RWPG, wszystkie elementy gospodarcze przemawiają bowiem przeciw tej kombinacji. Teraz koszty wzrosną, dochodzą bowiem koszty okupacji Kambodży (i Laosu, ale o tym w przyszłości wspomnieli). Nic zaś nie jest w Europie Wschodniej mniej popularne — żeby użyć eufemizmu — niż pomoc materialna wysyłana gdzieś w azjatycką dżunglę w imię umacniania pozycji sowieckiej w Azji i na świecie. Według danych z dobrego polskiego źródła, kraje RWPG zobowiązały się do udzielenia Wietnamowi w charakterze prezentu ślubnego ponad 3 miliardy dolarów pomocy do 1980 r.

A było to przed kosztownym zwycięstwem w Kambodży. Za to wszystko będą teraz musiały płacić socjalistyczne kraje europejskie, przeżywające poważny kryzys gospodarczy, zaopatrzeniowy i różne inne, żeby wspomnieć tylko o skutkach katastrofy zimowej i napięć na energetycznych szczytach. To tłumaczy dyskretną propagandy wschodniej na temat pomocy dla Indochin: nikt nie ma odwagi spojrzenia np. Polakom w twarz i powiedzenia im, że strategicznych celów Moskwy, najzupełniej obojętnych polskiemu górnikowi, w imię tzw. solidarności z sowieckimi wietnamczykami bijącymi chińskich Kmerów, ogonki po mięso (kiedy, i jeżeli rzucą...) będą jeszcze dłuższe a ceny coraz bardziej... „komercyjne”.

Przykład Rumunii, która potrafiła przeżyć veto wobec żądania Moskwy rozszerzenia strefy działania Paktu Warszawskiego na rejon Azji (odmawiając łożenia na to pieniędzy) jest tym bardziej niebezpieczny. Moskwa robi wszystko aby ten bakcyl zniszczyć.

*Pytanie drugie: dlaczego ideologia gnije?*

Bakcyl tym bardziej zaraźliwy, że pada na bardzo podatną glebę, użyźnioną gnilnymi resztkami ideologii komunistycznej. Ideologia ta martwa jest od dawna, ale dopiero od Kambodży weszła w stadium rozkładu. Chodzi wszak o pierwszą wojnę między dwoma państwami komunistycznymi. Z ideologicznego punktu widzenia jest to prawdziwy *scoop*: pierwsza stolica komunistyczna zbrojnie zdobyta przez wojska komunistycznego sąsiada. Niektórzy w tym miejscu od razu interweniują: a Budapeszt 1956, a Praga 1968? To nie to samo. W Budapeszcie i Pradze, Moskwa w mniej lub bardziej karkołomny sposób udowadniała, że interweniowała aby przeciwstawić się imperialistycznej dywersji, że Nagy i Dubczek prowadzili (co obiektywnie lub subiektywnie było prawdą) do demokracji, rewizjonizmu, do wyślizgnięcia się ich kraju z objęć Paktu Warszawskiego i do zmiany równowagi sił na świecie. Nikt jednak, nawet w *Prawdzie*, nie może oskarżyć Pol Pot’a — obłąkany produkt zachodnioeuropejskiego lewactwa (student Sorbony) — o to że był agentem amerykańskiego imperializmu lub że też chciał odrestaurować w Kambodży kapitalizm.

*Unità*, organ włoskich komunistów, nieco eufemistycznie określiła inwazję Kambodży jako „wydarzenie bolesne i niepokojące”. Ja myślę! To niepokojące wydarzenie ostatecznie potwierdziło, że w dialogu między dwoma komunistycznymi państwami raczej ma ten, kto ma więcej czołgów. Trzy lata temu Pol Pot wchodził do Pnom Penh i, jak pamiętamy, wyrzucił (jeśli nie wymordował) całą absolutnie ludność milionowego miasta. Sihanuk, filmowiec, poeta i piosenkarz, a także były król, książę, prezydent, obecnie emigrant na Zachodzie (ma posiadłość na Riwierze) był przez trzy lata więźniem Pol Pot’a. Kiedy Chińczycy uratowali go z Kambodży Sihanuk powiedział (w Nowym Jorku!): „Bardzo

lubiłem filmy z grozą i dreszczami, takie jak Drakula czy Frankenstein, ale to co się działo pod Pol Pot'em, to było bardziej przerażające...". Według obliczeń fachowców, za wszystkie rewolucje komunistyczne od Rosji aż po Chiny (włączając Katyń), świat zapłacił 140 milionami ludzkich istnień. Kambodża Pol Pot'a figuruje w tej tabeli na bardzo „dobrym” miejscu sponad 2 milionami zamordowanych, co jak na mały kraj...

Ale w czasie „wyzwalania” Pnom Penh przez Pol Pot'a i w czasie mordowania skromnych Kmerów, Hanoi, Moskwa i zachodnie partie komunistyczne wołały o zwycięstwie ludu kambodżańskiego nad amerykańskim imperializmem. Socjalizm i ideologia wtedy triumfowały i ludobójstwo Pol Pot'a nikomu nie przeszkadzało spać. Albowiem było to ludobójstwo postępowe, prosowieckie. Kiedy jednak okazało się, Pol Pot morduje nie za, a przeciw ZSSR, według modelu rewolucji kulturalnej a nie rewolucji październikowej, wtedy ludobójstwo Pol Pot'a wywołało gniew i oburzenie. Dziesięć dywizji, MIG-i i napalm wietnamskie, kryjące się masą kambodżańskich uciekinierów czy niedobitków nagle mianowanych armią narodowo-wyzwoleńczą, zlikwidowały w ciągu 14 dni cały reżym Pol Pot'a. Nie było mowy o żadnej ideologii, Pol Pot przestał być komunistą, pozostały tylko interesy dwóch super komunistycznych mocarstw, gotowych bić się do ostatniego Wietnamczyka albo Kmera.

Kambodża udowodniła raz jeszcze totalną (to właściwe słowo) niemożność sowietyzmu do szanowania zasad prawa i sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych tak wobec krajów kapitalistycznych jak i przede wszystkim!, socjalistycznych.

Ideą jaką Marks i Engels chcieli przeciwstawić „ich” nacjonalistom takim jak Bismarck, Napoleon III, czy z innej beczki, Mazzini i Bakunin, była solidarność klas wyzyskiwanych i rewolucyjny internacjonalizm jako jedyna siła zdolna zwyciężyć nacjonalistyczny egoizm. Z tego punktu widzenia, ekspedycja kambodżańska to prawdziwa katastrofa dla internacjonalistycznej mistyfikacji w ruchu komunistycznym: ostatnia zaślona, ostatnia relikwia zlatuje z supermocarstwowego ołtarza, ostatnie ogniwo wiary, ostatnia szansa odpustu, zdolnego usprawiedliwić ludobójstwo byle dokonywane było z rewolucją na sztandarach. Taki ogólny odpust przynosiła Rosja w początku lat trzydziestych, zanim jej nie dobił stalinizm, takim sztandarem był Tito w 1949 roku, potem Kuba, potem Chiny, ostatni był Wietnam, *katarsis* rewolucjonistów i lewicowców całego świata, hasło mas w Moskwie i w Waszyngtonie, studentów w Pekinie, w Kent i Vincennes, heroizm czysty, bez skazy. Teraz, heroizm jest nagi i ze skazami. „Heroizm, proszę pana, powiedział ktoś do mnie, to nie jest kwestia ideologii. Hitlerowscy w 1944 i 1945 roku bili się heroicznie, Rosjanie heroicznie ginęli w Stalingradzie, ale potem spokojnie przypatrywali się jak dogorywa Warszawa, polski Pnom Penh...”.

„Naród nasz stanie się wolny kiedy zwróci wolność swym sąsiadom” — cytuję z pamięci, ale tak mniej więcej mówił Engels

w 1848 roku do Niemców. Można to napisać na grobie wietnamskiego złudzenia. Ostatniego komunistycznego złudzenia, które jeszcze się tliło po poprzednich „dialogach” z bronią w ręku między państwami i partiami wierzącymi w tego samego boga i czerpiącymi natchnienie z tej samej biblii.

Francuska Partia Komunistyczna, najbardziej nacjonalistyczna wielka partia komunistyczna Zachodniej Europy odmówiła przyłączenia się i potępiła pomysł ufundowania statku, który pływałby u wybrzeży Wietnamu i wyławiał uciekinierów (zachęcanych oficjalnie do „ucieczki”) zanim nie zjedzą ich rekiny. „To elementy burżuazyjne, one uciekają z powodów ekonomicznych, chcą żyć w Ameryce”, napisała *Humanité*, podobnie jak *Trybuna Ludu* w 1968 roku. Teraz nawet francuscy komuniści choć popierają Sowietów i Wietnam są nieco zakłopotani. P. Marchais, który w zupełnie niesłychany (ale bezkarny) sposób besztł dziennikarzy, którzy go pytali o Kambodżę, musiał jednak wykrztusić, że coś jest niejasnego i że gdyby okazało się, że naprawdę chodzi o inwazję i okupację to podda ją bezlitosnej krytyce. Jeszcze nie poddał, widocznie jeszcze się nie przekonał...

Niepotrzebnie czeka. Kiedy powiedziałem pewnemu progresiście, że Wietnamczycy wycofują się z Kambodży, kiedy Rosjanie wycofują się z NRD, odpowiedział mi: „Ale teraz przynajmniej będzie spokój...”. Taki jak w NRD. Cementarny, albo więzienny.

*Pytanie trzecie: dlaczego trzy nurty?*

Trzeci aspekt, to trzeci świat, albo to co z niego zostało. Podobnie jak Rumunia i Jugosławia, kraje trzeciego świata boją się sowieckiego pokoju i doktryny Breżniewa. Np. kraje Południowo-Wschodniej Azji, Tailand, Filipiny, Singapur, etc. Nikt nie wie, gdzie i kiedy Wietnam się zatrzyma. Na razie mu wystarczy federacja indochińska. To stara pieśń wietnamskich wikingów.

„Są trzy nurty, ale jest to ta sama rzeka. Te trzy nurty uzupełniają się wzajemnie i wzmacniają, przenoszą góry i idą na spotkanie przyszłości”. Napisał te słowa Tu Huu, poeta i członek Biura Politycznego w numerze organu partii z 23 stycznia 1979 roku, oficjalnie z okazji święta TET, nowego roku wietnamskiego, w istocie z okazji zdobycia Pnom Penh i wejścia federacji Indochińskiej (Wietnam, Kambodża i Laos) w fazę konkretną. Autorem tej wizji był wujek Ho, czyli Ho szii Min, któremu zresztą i słusznie ów natchniony poemat był zadedykowany.

Nawet Moskwa nie wie czy potrafi zahamować zapał Wietnamczyków. Przywódcy z Hanoi nigdy nie żyli w pokoju, nie wiedzą co to znaczy pokój, ledwo wyszli z antykolonialnej partyzantki, już byli w wojnie o południowy Wietnam, potem o Laos, a potem o Kambodżę. Przywódcy ci są przekonani, że wygrali wojnę z Francją, a potem z USA i że mogą ją wygrać także z Chinami. Wietnam to maszyna i psychologia wyłącznie wojenna, nie trzeba

się rozwodzić nad tym do czego doprowadzić może komunizm wojenny w marszu...

Na razie grozi rozbięciem trzeciego świata. Świat ten faktycznie już nie istnieje, nic właściwie z wyjątkiem fasady nie łączy demokratycznych Indii z totalitarnym Idi Aminem, lub agenturalnej Kuby z niezależną Jugosławią, żeby już nie wspomnieć o bratnich arabskich południowym i północnym Jemenie, Arabii saudyjskiej, Afganistanie i Pakistanie itp. Trzeci świat i jego pozablokowa mitologia stanowią jednak ciągle oś titowskiej strategii i główną, według Tity, szansę przeżycia suwerennej Jugosławii po śmierci jej twórcy (86 lat skończonych). Otóż, agresja na Kambodżę dobija resztki trzecioświatowej idei i struktury, żadne bowiem z państw trzeciego świata, ani razem, ani oddzielnie, nie potrafiło (i nie potrafi nigdy) przeszkodzić okupacji trzecioświatowej Kambodży przez trzecioświatowy Wietnam, dokonanej w interesie superpotęgi sowieckiej a na szkodę superpotęgi chińskiej.

Jest to dla ZSSR poważny problem. Broniąc wietnamskiego sojusznika czy najemnika, agencja *Nowosti* osiągnęła szczyty autoironii. „Czyż jest możliwe, zapytały *Nowosti* w czasie debaty kambodżańskiej w ONZ, żeby cały ustrój rozsypał się jak domek z kart wyłacznie pod wpływem ciosu z zewnątrz...”.

We wrześniu ma się zebrać w Hawanie szósty szczyt państw niezaangażowanych. Pytanie w co niezaangażowanych, państw takich naprawdę niezaangażowanych w służbę cudzych interesów w Hawanie będzie bardzo niewiele. Nie będzie to szczyt, a raczej stypa, trzeci świat nie przeżył bowiem faktycznie wojny kambodżańskiej. Jugosławia nie kryła swych poglądów co do konferencji w Hawanie. Z końcem stycznia bawił (to chyba słowo nie na miejscu) w Belgradzie kubański minister spraw zagranicznych, p. Isidoro Malmierca. Potępił on ostro „imperializm, kolonializm, neo-kolonializm, rasizm wraz (naturalnie) ze syjonizmem oraz *apartheid*...”. Zabrakło jedynie tzw. hegemonizmu, inaczej mówiąc ideologii ekspedycji kambodżańskiej. Malmierca opuścił Belgrad bez komunikatu końcowego, co jest bez precedensu i nadaje dość zaangażowane światło sytuacji w obozie państw niezaangażowanych.

Tito był wściekły. Wiedział co się święci i czym to grozi. Wszystko było jak na dłoni. Chiny nawiązały stosunki z Japonią i z USA, miliardy latają w powietrzu, trwa kuszenie technologiczne, nawet Koka Kola już jest nad Jang Tsekiang. W Pekinie tańczą roki i grają w bridża. Po raz pierwszy od 1949 roku modernizacja dyplomacji Chin rozwija się równocześnie z modernizacją gospodarki i systemu zarządzania. Oznacza to, że za kilka lat miliard Chińczyków upomni się o prawo współdecydowania o losach świata, Rosja nie będzie im wtedy mogła w tym przeszkodzić. Zachód także nie. Otóż Rosjanie znają system totalitarny i nie należy sądzić, że Rosja będzie się umacnianiu totalizmu chińskiego spokojnie przyglądać. Oni wiedzą, czym to grozi, oni wiedzą, że kuszenie nie potrwa długo, że sombrero

jakim obdarzono Deng Ksiaoping'a w USA może ukryć przed Amerykanami łysinę chińskiego przywódcy, ale nie jego myśli i zamiary przed Rosjanami. Deng odbył spacer teksaskim dyliżansem, ale w istocie chodzi mu o rakiety i megatony... „Gracie kartę chińską — powiedział Breżniew do Cartera — źle postępujecie, zmuszacie nas do zagrania karty indochińskiej”. I zagrali. Każdy bije swojego Żyda, albo Indochińczyka. Jak powiada Breżniew do Cartera na rysunku w *Herald Tribune*: „Wszystko wydaje się być w porządku. Myśmy wygrali Indochiny, ale za to wyście przegrali Iran”.

Kreml chce aby Zachód przejrzał i usunął się z drogi, tak aby Moskwa mogła skutecznie zadziałać, zanim Chiny, przy pomocy zachodniej technologii, staną się prawdziwym drapieżnym, groźnym supermocarstwem. Chiny, odwrotnie, chcą Zachód jak najgłębiej wciągnąć do swojego wyścigu z czasem i z ZSSR. Zachód nie powinien wyobrażać sobie, że będzie mógł pozostać na zewnątrz indochińskiej i chińskiej karuzeli: Azja to nie Europa, zainstalowanie w Pnom Penh indochińskiego Husaka nie otwiera tam czegoś w rodzaju czechosłowackiej normalizacji. Choć Kuba jest teraz w Azji, a Wietnam w Afryce, to sowiecka kolonizacja Kambodży nie czerpie natchnienia ani z Kafki ani ze Szwejka.

O Czechosłowacji już nikt nie pamięta. Kambodża niedługo też pójdzie w niepamięć. Ale to tylko pierwsza runda. Rumuni i Jugosławianie zastanawiają się po co Breżniew pojechał do Sofii, oraz gdzie — i na czym — Breżniew się uda w następną podróż, inaczej mówiąc gdzie odbędzie się runda następna.

Ja także się nad tym zastanawiam...

BRUKSELCZYK

Pisane 2 lutego 1979

P.S. — Z ostatniej chwili — 17 lutego 1979

Minęło zaledwie 14 dni od postawienia kropki pod tym felietonem a Chiny już najechały Wietnam. Stało się tak w imię tej samej doktryny Breżniewa, schińszczonej przez Deng Ksiaopinga. Jest to już piąta po Węgrzech, Czechosłowacji, Etiopii wraz z Somalią oraz Kambodży wojna między państwami rządzonymi przez tak zwanych marksistów. „Kiedy zniknie podział klasowy wewnątrz społeczeństwa — powiedział Marks w Manifestie Komunistycznym (cytuje z pamięci, nie mam pod ręką oryginału) — zniknie także antagonizm między narodami”. Coś się nie zgadza — klasy bowiem znikły, ale antagonizm jest większy niż kiedykolwiek. Ktoś się chyba pomylił. Tymczasem zaczęła się już druga runda...

B.



## Sąsiedzi

### Jan Paweł II, Niemcy, Polska

Redakcja *Kultury* otrzymała pewną ilość tekstów stanowiących reakcje przedstawicieli różnych grup inteligencji niemieckiej — dostojników kościelnych, działaczy katolickich, teologów, polityków i dziennikarzy — na wybór kard. Wojtyły na papieża. Niektóre z tych tekstów zostały napisane specjalnie dla *Kultury*, niektóre zaś specjalnie przez ich autorów wybrane spośród opublikowanych już gdzie indziej wypowiedzi. Prezentujemy tu większość z nich, z konieczności w skrócie, mimo że nie są one owocem jakichś systematycznych badań opinii niemieckiej (badania takie *sine ira et studio* stanowią poważną lukę w polskim życiu intelektualnym!), ani nie są może w socjologicznym sensie reprezentatywne, stanowią jednak świadectwo, że stosunki polsko-niemieckie obecnie i na przyszłość nie są obojętne członkom wielu kręgów intelektualnych w Niemczech i że istnieją ośrodki i ludzie doceniający wagę sprawy ich znormalizowania. Publikacja ich wypowiedzi czy choćby nazwisk winna z kolei uwrażliwić niezależną opinię polską na tę kwestię, której ogromnego znaczenia podkreślać nie trzeba.

Na wstępie przytaczamy prawie w całości tekst Ericha B. Kusch'a — korespondenta radiostacji niemieckich i gazet we Włoszech od 1955 — w którym ujęte są te wszystkie motywy i spostrzeżenia, które poruszają też inni autorzy; tekst ten do pewnego stopnia streszcza dominujący nastrój wypowiedzi. Oto tekst:

Wybór polskiego papieża został przyjęty w Niemczech bez zastrzeżeń. Jedną z przyczyn jest niewątpliwie podróż jego do RFN, którą odbył wraz z kard. Wyszyńskim na kilka tygodni przed wyborem. [...] Podróż tę można uważać za znak aprobaty dla sprawy pojednania obu narodów. Sam kard. Wojtyła zrobił na wszystkich, którzy się z nim zetknęli, głębokie wrażenie. Z jednej strony dlatego, że władza niemieckim i zna niemiecką filozofię, ale także dlatego, że obeznany jest z problemami europejskimi. Z tych względów wydaje się całkiem prawdopodobne, że niemieckojęzyczni kardynałowie poparli gorąco jego kandydaturę. Wizyta w RFN była równocześnie wyrazem świeżo zrodzonego poczucia koleżeństwa sąsiadujących ze sobą episkopatów — koleżeństwa, które kard. Wojtyła również jako papież pragnie podkreślać i realizować.

Jeśli chce się wysnuwać wnioski na temat przyszłego pontyfikatu z pierwszych wypowiedzi i poczynań Jana Pawła II [...] rzeczą która robi największe wrażenie jest suwerenny spokój z jakim kard. Wojtyła przyjął i spełnia swój trudny i niespodziewany dlań urząd. Drugą rzeczą, którą uwypukliły jego pierwsze działania po objęciu urzędu jest to, że Jan Paweł II nie będzie łatwym papieżem: w tym sensie, że obrazu papieża nie da się kształtować każdemu tak, jak mu to najwygodniej. Dotyczy to także politycznej strony tego pontyfikatu. Jeśli włoscy komuniści sądzili, że będą mogli użyć nowego papieża jako rodzaj pokazowego przykładu dla ich dialogu z chrześcijańskimi demokratami, to Jan Paweł II z miejsca udaremnił te próby. Nie ma on zamiaru mieszać się w sprawy włoskiej polityki wewnętrznej. Równocześnie jednak Karol Wojtyła z chwilą zostania papieżem zwiększył niewątpliwie dystans wobec własnej ojczyzny, w tej chwili jest bowiem głową kościoła światowego. I to właśnie pragnęli podkreślić kardynałowie, którzy wynieśli go na tron Piotrowy. Należy przypuszczać, że w przyszłości pozostawi on załatwianie niełatwych niewątpliwie spraw polskich samym biskupom polskim. Osoba, jak stwierdził papież w swym pierwszym posłaniu, będzie zawsze pozostawała na drugim miejscu po urzędzie. Nie wyklucza to jednak faktu, że wybór Polaka a tym samym Słowianina, stanowi pewien znak. [...]

Do stosunków niemiecko-polskich wybór kard. Wojtyły może okazać się czynnikiem stymulującym. Niemcy bowiem, jak wszyscy inni katolicy, widzą w polskim papieżu swego ojca, z którym się całkowicie identyfikują. Już choćby psychologicznie, jako pewien klimat, ma to znaczenie pozytywne. Po podróży kard. Wojtyły do Niemiec ma się też wrażenie, że zna się tego papieża lepiej niż jego poprzedników, którzy nie mieli do Niemiec tego osobistego, choć nie pozbawionego trudności stosunku, co on. Bez wątpienia kościół katolicki w Polsce zrobił więcej niż ktokolwiek inny dla sprawy ponownego zbliżenia i pojednania między obu krajami.

Na oficjalną audiencję, udzieloną przez papieża wszystkim delegacjom, biorącym udział w uroczystej mszy otwierającej jego pontyfikat, przybyła też specjalnie delegacja uniwersytetu w Munguncji pod przewodnictwem prezydenta Peter Schneider'a, gdyż papież Wojtyła jest doktorem h.c. tego uniwersytetu. Więc i te związki na terenie naukowym wykazują, że papież nie jest w RFN nieznanym. Niewątpliwie nowy papież będzie też kontynuował rozpoczętą przez Pawła VI politykę wschodnią, choć może w odmiennym stylu: bowiem w przeciwieństwie do Pawła VI papież Wojtyła zna kraje komunistyczne z własnego, często gorzkiego doświadczenia.

Dziennikarstwo ściśle katolickie reprezentuje artykuł Helmuta Holzapfel'a pt. „Nowy papież i Niemcy”, przedrukowany za *Würzburger Katholisches Sonntagsblatt* Nr 43 w niemieckiej edycji *L'Osservatore Romano* z 1. 12. 1978; oto wyjątki:

My, katolicy niemieccy, moglibyśmy spoglądać na wybór Polaka na głowę Kościoła z pewnym zażenowaniem i niepokojem. Wiemy o wielkich cierpieniach i niesprawiedliwościach jakie Hitler wyrządził w imieniu narodu niemieckiego wschodniemu sąsiedowi. Można sobie wyobrazić, jak bardzo najazd Wehrmachtu dotknął serce 19-letniego abiturienta, któremu okupacja zrabowała najlepsze lata, w ciągu których tylko z narażeniem życia mógł studiować teologię. Mimo to nie ma w nim goryczy, nie wypomina tej trudnej przeszłości. Wręcz przeciwnie: Wojtyła, który obok francuskiego i włoskiego mówi też płynnie po niemiecku, stale zachowywał głęboki szacunek dla nauki niemieckiej, jak wykazuje m.in. jego zainteresowanie filozofią Maxa Scheler'a. [...] Tak więc i my, niemieccy katolicy, możemy powitać nowego papieża z wielką serdecznością i nadzieją. Jest on nam bliski językiem, kulturą i wiarą i wraz z apostołem pragnie on „być wszystkim dla wszystkich”, także dla nas, Niemców. [...]

Śpośród tekstów autorów ze sfer kościelnych na pierwszym miejscu wymienić należy specjalnie dla *Kultury* napisany *témoignage* biskupa Essen, Franza Hengsbach'a, który przytaczamy z niewielkimi skrótami:

[...] Kolegium kardynalskie podjęło decyzję świadczącą o wielkiej odwadze, rozważnej dalekowzroczności i głębokiej mądrości. Jak gdyby westchnienie ulgi przeszło po chrześcijaństwie. I nie tylko chrześcijanie powitali 264-go następcę św. Piotra z wielką radością i głębokim zaufaniem.

Już poprzez wybór swego imienia papież Jan Paweł II zaznaczył, że kroczy po linii swych poprzedników. Oznacza to potwierdzenie nieumniejszonej wiary Kościoła, potwierdzenie Jego przez Chrystusa założonego i pod przewodnictwem Ducha Św. wyrosłego konkretnego kształtu, oznacza odważne głoszenie posłania Jezusa Chrystusa, a więc w konsekwencji wystąpienie w obronie godności i wolności człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boga. Dotychczasowa droga życiowa i funkcje predystynują kard. Wojtyłę na papieża właśnie dzisiaj.

Pochodzi z Krakowa, jednego z najstarszych miast i jednej z najstarszych siedzib biskupich Polski, z narodu który przez tysiąc lat utrzymywał w niezłomnej wierności chrześcijaństwu i szczerzej religijności maryjnej swą osobowość kościelną i narodową. Pośród domów Bożych Krakowa szczególnie wybija się Kościół Mariacki z wyrzeźbionym w XIII-tym wieku przez Wita Stwosza ołtarzem. Z politycznymi losami tego miasta, które przez pewien czas należało do Austrii, wiąże się żywa wymiana kulturalna, która pozostawiła głębokie piętno na nim i na jego sławnym uniwersytecie, założonym w 1364 roku na wzór *studium generale* w Bolonii i Padwie. Z tych względów Kraków przy całym swym ogromnym znaczeniu dla Polski ma równocześnie rysy ogólnoeuropejskie.

Ten europejski rozmach wyniósł więc nasz nowy Ojciec Święty już z ojczyzny. Ale i jego studia, w czasie których zapoznał

się z większością języków europejskich, a także głównymi kierunkami duchowymi i teologicznymi, przygotowały go do funkcji, która odtąd ma zasięg światowy. Wspomnieć tu też trzeba liczne spotkania z biskupami z całego świata w czasie Soboru Watykańskiego i na późniejszych synodach.

Zarówno przez swe studia jak i nauczycielską działalność filozoficzno-teologiczną został wprowadzony w problematykę intelektualnego sporu z ateistycznym materializmem i marksizmem, podobnie też na swym urzędzie arcybiskupa Krakowa musiał starać się o zapewnienie wolności sumienia i religii Kościołowi trwającemu w otoczeniu socjalistycznym.

Także i do papieża odnosi się: *gratia praesupponit naturam*. Otwartą serdeczność i ludzką dobroć otrzymał już jako naturalny dar. Żywot kapłana i biskupa rozwinął w nim mądrą rozważność i wrażliwość duchową, których tak właśnie potrzeba następcy św. Piotra. Bóg dał Swemu Kościołowi we właściwym czasie właściwego papieża.

Podobny tekst nadesłał dla *Kultury* jezuita o. Lotz, który pisze m.in.:

Co się tyczy nas, Niemców, to już sama niezwykła znajomość języków nowego ojca chrześcijaństwa budzi zaufanie, ponieważ włada on naszym językiem jak żaden z jego poprzedników, może z wyjątkiem Piusa XII. Ponadto w swych wypowiedziach podkreślał wielokrotnie, że odnosi się do wszystkich narodów świata z jednakową miłością, gdyż chrześcijaństwo stoi ponad barierami narodowymi; jeśli zaś czuje się szczególnie silnie związany z własnym umęczonym narodem, jest to zrozumiałe. Jak świadczy jego wizyta [w Niemczech], przywiązuje on duże znaczenie do przyjaznych i dobrosąsiedzkich stosunków z naszym narodem; od dawna troszczy się o usunięcie zasztych w przeszłości zakłóceń i o trwałe pojednanie w duchu chrześcijańskim. Z pewnością będzie on działał w tym kierunku i nadal i będzie czynnie pomagał naszym narodom, by jeszcze bardziej zbliżyły się do siebie i pomagały sobie we wspólnej drodze w przyszłość.

Znany teolog niemiecki B. Häring przysłał następującą wypowiedź:

Z pewnością rzadko w historii Kościoła nowoobрани papież wzbudził tyle sympatii i entuzjazmu co papież Jan Paweł I. Odczuto i opłakano jego śmierć jako bolesną stratę. Wielu rozważało jak bardzo trudno będzie jego następcy, po tak szybkiej utracie tak bardzo radością i dobrocią promieniującego papieża, któremu Bóg udzielił tylko 33 dni na urzędzie. Ale cud powtórzył się. Papież Karol Wojtyła zdobył sobie serca ludzkie od razu. Jest naprawdę Drugim Janem Pawłem. Jak to wyjaśnić?

Niewątpliwie kardynałowie-wyborcy musieli rozglądać się i rozważać, kto mógłby rozporządzać podobnie ujmującą osobowością jak Jan Paweł I. Nowy papież posiada tę samą serdeczność, wewnętrzny spokój, otwartość i bezpośredniość [...] Naród

włoski wystawił sobie znakomite świadectwo dojrzałości katolickiej, nie pytał bowiem czy to Włoch, lecz uznał, że to właściwy człowiek we właściwym czasie. [...]

Nowy papież udowodnił swą teologiczną przenikliwość m.in. na Soborze, w czasie współpracy nad trudnym tekstem „Kościół w dzisiejszym świecie”. Przypominam sobie szczególnie jedno wydarzenie, które wydaje się znaczące: gdy komisja wyznaczona dla opracowania konstytucji pasterskiej znalazła się pod silnym naciskiem, zmierzającym do zastąpienia projektu całkowicie chrystocentrycznego innym, według którego Kościół winien wypowiadać się jedynie na temat doświadczeń i ideałów ludzkich, obecny papież interweniował w sposób decydujący. Z przekonującą jasnością i ostrością sformułowań postawił on zagadnienie osobowości Kościoła w dialogu ze światem. Jeśli będzie przemawiał On jedynie w charakterze praojca z dwu tysiącami lat doświadczenia, jedynie w charakterze filozofa — wówczas nie będzie Kościołem w całej Jego prawdzie i osobowości. Tylko wówczas, gdy Kościół we wszystkich sprawach będzie głosił naukę Chrystusa i odwoływał się do Ewangelii, pozostanie Sobą w całej pełni. Argument ten — szczęśliwie — pozyskał sobie natychmiast całą komisję.

Z uwagi na to, że nowy papież jest ekspertem w dziedzinie myśli współczesnej, ma kontakt z młodzieżą i wieloma kulturami [...] potrafi on głosić Chrystusa i Jego Ewangelię tak, że ludzie to rozumieją.

I tego chętnie uczyć się będą odeń teolodzy.

Na specjalną uwagę pośród wypowiadających się zasługuje postać o. Paulusa Gordan'a, Benedyktyna pochodzenia żydowskiego, który cudem ocalał w czasie hitlerowskiej *Kristallnacht*, a który po wojnie z racji swej wysokiej funkcji w federacji Benedyktynów był w Polsce i przyjaźnił się z wieloma Polakami, m.in. kardynałem Bolesławem Kominkiem; po śmierci tegoż uczył jego pamięć pięknym wspomnieniem pt. „W służbie pojednania”. Trzeba tu przypomnieć od razu, że kard. Kominek był głównym redaktorem słynnego listu polskich biskupów do biskupów niemieckich w 1965 roku i że ani *leitmotiv* tego listu „przebaczamy i prosimy o przebaczenie” ani współautorstwo kard. Kominka nie zostały w Niemczech zapomniane. W nadesłanym tekście (zarazem artykule, przeznaczonym do jednego z pism katolickich w Niemczech) pt. „Rok Trzech Papieży” w perspektywie o. Gordan pisze m.in.:

[Papież Jan Paweł I] swym uśmiechem utorował swemu następcy drogę i umożliwił wzejście ziarna, które zasiał mądry Paweł VI, m.in. poprzez umiędzynarodowienie kolegium kardynalskiego. W ten sposób doszło do wyboru Polaka, który przybiegając imię swego poprzednika oznajmił przez to chęć kontynuowania dzieła trzech ostatnich papieży.

Można być jednak pewnym, że nie będzie on jedynie spadkobiercą i wykonawcą testamentu, lecz że śmiało i zdecydowanie będzie sterował nawą Kościoła ku nowym brzegom. Gwarancją tego są jego osobowość, jego wiedza, pochodzenie i doświadcze-

nie, a przede wszystkim siła jego wiary. Papież Jan Paweł II może być drugim tego imienia i trzecim Roku Trzech Papieży — jako Karol Wojtyła jest pierwszym i jedynym. Wszystko wskazuje na to, że poprowadzi on Kościół ku początkowi trzeciego milenium chrześcijaństwa nie pod znakiem apokaliptycznej trwogi, lecz śmiałym eschatologicznym nadziei.

Przytaczamy też wypowiedzi polityków niemieckich. Hans Koschnick, burmistrz i prezydent senatu miasta Bremy oraz wiceprezes SPD ogłosił w niemieckiej prasie socjaldemokratycznej dn. 17. 10. 1978 tekst pt. „Nowy papież i jego udział w dziele pojednania niemiecko-polskiego”, w którym m.in. stwierdza:

Wobec wyboru Polaka na nowego papieża nikt w Niemczech nie może powstrzymać się od refleksji na temat historii narodów niemieckiego i polskiego w czasach złych i dobrych. Postać kard. Wojtyły, który zaledwie przed kilkoma tygodniami odwiedził wraz z prymasem Polski RFN daje okazję przypomnienia, ile właśnie Kościół polski uczynił dla umożliwienia pojednania Niemców i Polaków. Osobiście miał on w tym wielki, choć niezrzucający się w oczy udział.

Przypomnienie dzieła pojednania niemiecko-polskiego, zarówno w jego założeniach wyjściowych, sformułowanych w umowach na płaszczyźnie państwowej, jak i w pracy nad pojednaniem na terenie Kościoła (obu wyznań) i organizacji społecznych może stanowić zachętę w obliczu wielorakich zadań z zakresu pośredniczenia i jednoczenia, jakie spadły na barki nowego papieża. Oby znalazł on niezbędne dla tego dzieła oparcie. Niemiecy socjaldemokraci życzą mu odwagi i siły, jakich urząd jego wymaga.

W specjalnie dla *Kultury* napisanym oświadczeniu Dr Karl Mitterdorfer, senator włoski, reprezentujący niemieckojęzyczną ludność południowego Tyrolu pisze m.in.:

Mieszkańcy Tyrolu południowego widzą w losach narodu polskiego niejedną zbieżność z ich własnym losem. Obie zbiorowości bywały przedmiotem przetargów międzymocarstwowych, obie znalazły się w żarnach dwóch dyktatur, zagrażających ich istnieniu. Obie są głęboko katolickie i mają bogatą tradycję. Tak więc w momencie wyboru pasterza polskiego o europejskim formacie rodzi się nowa nadzieja: że wielowiekowa wierność Stolicy Apostolskiej ze strony naszych katolickich górali, tutaj gdzie spotykają się narody łańskie i germańskie, otrzyma nowy impuls życiowy, że z większej sprawiedliwości zrodzi się więcej pokoju.

Wiemy i widzimy, jak bardzo leży na sercu papieżowi Janowi Pawłowi II sprawa praw ludzkich i praw mniejszości narodowych. Dla pluralistycznej Europy jest rzeczą ważną, by siły chrześcijańskiego Zachodu trwały i kwitły szczególnie w krajach będących międzynarodowymi pomostami. Takim krajem

jest — podobnie jak Polska — Tyrol południowy. Mając to na względzie, witam nowego papieża jako przedstawiciela grupy narodowościowej południowego Tyrolu, a ponadto jako prezydent Federacyjnej Unii Europejskich Grup Narodowościowych [...].

Wśród nadesłanych materiałów znalazły się wypowiedzi dawniejsze, nie związane bezpośrednio z osobą nowego papieża, lecz świadczące o ciągłości wysiłków pewnych ludzi w kierunku pojednania z Polską. Dr Johannes Schauff — niemiecki działacz katolicki, w czasach hitlerowskich emigrant w Brazylii, a obecnie rezydujący we Włoszech, przyjaciel zmarłego kard. Kominka (któremu przekazał dla uczczenia jego inwestytury znajdujący się w jego zbiorach rodzinnych krzyż papieża Grzegorza XVI, ofiarowany w swoim czasie przez Polaków), udostępnił nam kopię listu niezującego już działacza o podobnej orientacji, Dr. Wilhelma Lejeune'a (współorganizatora „Gütersloger Kreis”), jaki ten ostatni skierował w 1970 roku do ówczesnego przewodniczącego CDU/CSU w Bundestagu, Rainera Barzel'a. List świadczy zarówno o głęboko propolskim nastawieniu jego autora jak i o jego bezkompromisowości, która uniemożliwiła mu odegranie większej roli politycznej w RFN; przytaczamy obszernie wyjątki:

Z gazety porannej wynika, że z okazji układu niemiecko-polskiego pyta Pan, jaką rekompensatę [za uznanie granic zachodnich] dadzą Polacy. Wobec tego, co m.in. my, Niemcy, nie tylko w ciągu stuleci ale przede wszystkim przed trzydziestu laty wyrządziliśmy (często za zgodą Rosjan) Polsce, jest rzeczą niesłychaną — ponieważ moim zdaniem nie mamy do tego żadnego moralnego prawa — choćby tylko wspominać o rekompensacie. [...] Czy nie jest już wrzeszczące, że polski minister spraw zagranicznych oświadcza wyraźnie, że nie obarcza całego narodu niemieckiego winą za zbrodnie. Ta rekompensata w dziedzinie sumienia i dobrej woli waży więcej niż formalne ustalenia prawne i kwestie graniczne, które w epoce integracji ludzkości będą odgrywały coraz mniejszą rolę, zwłaszcza gdy samo istnienie ludzkości jest zagrożone.

Jestem przekonany, że jeśli udowodnimy Polakom, iż można nam znowu ufać, wyda to dobre owoce w dziedzinie stosunków międzyludzkich. I w tym widzę najlepszą rekompensatę, jaką można sobie wyobrazić [...] Z narodem wtrąconym w tak bez nadziejną sytuację historyczną jak Polska nie można uprawiać przetargów politycznych. Należy umożliwić mu wiarę i zaufanie i dopiero wtedy ludzkie prawo „coś za coś” nabierze ważności na gruncie prawdziwego humanitaryzmu i duchowej wspólnoty. [...] Wobec polskich uczuć kierujących się ku Europie, winniśmy się starać nie tylko używać im pomostu do Francji, ale i włączyć w to kraj leżący po drodze, czyli Niemcy. W sprawach uczuć nie ma miejsca na rachunki. A sprawy uczuć i idei są zasadniczą podstawą tego, co nazywamy naszym celem w Europie. Drugą taką podstawą jest intelekt. W obu tych dziedzinach Polacy stworzyli dzieła, za które winniśmy im wdzięczność: w muzyce, literaturze, a także nauce (nawet współczesna logika matematyczna ma w Polsce pierwszych przedstawicieli). Kocham ten naród i gorąco pragnę, by również Polacy mogli kochać Niemców.

Proszę w tym sensie rozumieć mój protest przeciwko użyciu słowa „rekompensata”. [...]

Dr Schauff upoważnił redakcję do publikacji fragmentu prywatnego listu, jaki otrzymał od wdowy po autorze przytoczonego tekstu, Dr Elisabeth Lejeune, z dn. 29. 11. 1978, w którym wyraża ona swe uczucia na wiadomość o wyborze papieża Jana Pawła II:

Była to dobra nowina, która napełnia mnie wewnętrzną radością — z uwagi na mego męża, ale także dlatego, że nadaje ona sens i potwierdzenie temu wszystkiemu, dla czego żyłam przez ostatnie 40 lat. [...] Papież, który doktoryzował się na temat Maxa Scheller'a, jakąż zapowiedź na przyszłość! [...] Sytuacja duchowa w Niemczech wydaje mi się gorsza niż kiedykolwiek, skamieniałe fronty stoją naprzeciwko siebie, a brak między nimi żywej, ciepłej strefy przejściowej. Może liczyć teraz będzie można na tego nowego człowieka, obdarzonego w każdym razie większą zdolnością miłości bliźniego.

Redakcja *Kultury* otrzymała też wybór tekstów Dr. Hansjakoba Stehle — historyka, publicysty, b. korespondenta radia i dziennika *Die Zeit* w wielu krajach bloku wschodniego, autora głośnej książki *Nachbar Polen*. Dr Stehle jest obecnie stałym korespondentem swej gazety w Rzymie i w 1975 opublikował książkę pt. „*Polityka wschodnia Watykanu w latach 1917-1975*” (R. Pieper & Co., München-Zürich, 487 str.), w której na podstawie dokumentów udowadnia, że obecne otwarcie ku Wschodowi jest tylko kontynuacją nieziennej polityki watykańskiej, starającej się o *modus vivendi* z najrozmaitszymi reżymami dla zabezpieczenia celu głównego: przetrwania Kościoła. W pracy tej, podobnie jak w przytoczonych niżej wypowiedziach, poświęca Stehle wiele uwagi Polsce, gdyż jak stwierdził w dyskusji w 1976 na temat cytowanej pracy:

...Polska jest dla stosunków Watykanu z krajami Europy Wschodniej czymś w rodzaju pola doświadczalnego, i to także w oczach Moskwy. Ponieważ Polska jest jedynym krajem w bloku wschodnim, w którym katolicyzm stanowi siłę także polityczną, mianowicie narodową, sowiecka polityka wobec religii testuje politykę watykańską i wręcz Kościół katolicki w ogóle na przykładzie polskim. Jeśli więc Watykan postanowi wdać się w poważne rozmowy o sprawach kościelnych z władzami sowieckimi (co w gruncie rzeczy do dziś było niemożliwe), to ma tylko jedną szansę: musi wykazać Moskwie, że najsilniejszy bastion katolicyzmu w Europie Wschodniej nie kryje w sobie antysowieckiego żądła. Z uwagi na tę rolę sygnalizacyjną Watykan nie może i nie chce pozostawiać spraw polskich wyłącznie w rękach polskiego episkopatu. Krytykowano tę postawę twierdząc, że w ten sposób „osłabia się narodową siłę oporu Polski wobec imperium sowieckiego”. Ale czy *opór* polityczny (albo też kolaboracja) jest główną sprawą Kościoła? Czy można wymagać od ogólnokatolickiego Rzymu, by za swoje przyjął równanie „Polak = katolik” w odwrotnej kolejności terminów?

Wobec przyjętej w tej prezentacji zasady *relata referimus* nie komentuję

jemy na tym miejscu poglądów Dr. Stehle. Przypomnieć należy, że Stehle był również bliskim znajomym kard. Kominka i wielokrotnie pisał o nim jako o jednym z głównych reprezentantów sprawy pojednania na terenie kościoła w Polsce. Z okazji wydanych w Polsce przez b. sekretarza kardynała, ks. Krucinę, dokumentów (moeno okrojonych przez cenzurę i autocenzurę) po arcybiskupie wrocławskim („W służbie 'Ziem Zachodnich'”, Wrocław, 1978) Stehle napisał recenzję-wspomnienie, gdzie m.in. czytamy:

Kominek jako człowiek jawi się w tych zapiskach jako gorący patriota, którym był niewątpliwie. Mniej widoczna jest inna strona jego sylwetki, robiąca głębokie wrażenie na wszystkich, którzy go znali: jego zrozumienie, jego współczucie dla tragedii zarządzonego przez aliantów, a nie Polaków — jak Kominek zawsze podkreślał — wysiedlenia wszystkich Niemców, którzy nie uciekli przed nadciągającymi armiami sowieckimi”. (*Die Zeit*, 29. 9. 1978).

Na zakończenie przytaczamy wyjątki z artykułu Dr. Stehle pt. „*Polityka wschodnia przy pomocy Ewangelii*” w *Die Zeit* z dn. 27. 10. 1978, i którym ponownie rekapitułuje swe poglądy na tę sprawę, a zarazem ocenia postać nowego papieża z tej perspektywy:

Mimo, że wielu jego rodaków i ich patriotycznie nastroszony kardynał-prymas (którego papież uczcił wzruszającym gestem braterstwa) nie chcą tego przyjąć całkiem do wiadomości, Wojtyła nie chce i nie może „pozostać na zawsze polskim biskupem” (jak powiedział Wyszyński w Rzymie). Jako arcybiskup Krakowa mógł, a nawet musiał wielokrotnie ingerować lub stawać w opozycji wobec pełnomocników państwowych i partyjnych; bez solidarności z prymasem placówka była nie do utrzymania. Ale walka o przetrwanie Kościoła jest sprawą zbyt poważną, by można ją pozostawić jedynie „generałom”. Z centralnego ośrodka dyspozycyjnego kościoła światowego jakim jest Kościół rzymski wzrok sięga poza fronty „prowincjonalne”. [...]

Ten papież nie obiecuje sobie niczego iluzorycznego; zbyt dobrze wie, jakim ryzykiem dla kraju bloku wschodniego jest otwarcie kanałów telewizyjnych czy choćby fakt, że „socjalizm w ciągu 30 lat w kraju demokracji ludowej wyprodukował jako jedyną sensację — papieża”. Tak żartował ambasador sowiecki Ryjow, obnoszący w tylnych rzędach delegacji państwowych na placu Św. Piotra swą wysiloną nonszalancję. Materiału do tego rodzaju sarkazmu dostarczył sam szef partii Gierek, kiedy telegraficznie wieszował nowemu papieżowi jako synowi narodu, „który buduje socjalizm” — i z tej racji musiał przełknąć płacząc pięknym za nadobne odpowiedź Jana Pawła II: że ten naród już „od tysiąca lat” jest rzymsko-katolicki. [...]

Niemniej obecnie jeszcze raz staje się widoczne, że z perspektywy rzymskiej kościół polski nie może być pozostawiony tylko samemu sobie i swej ogromnej sile. Jak od dawna — od czasu gdy Watykan i Kreml przed 60-ciu laty nawiązały kontakt — Polska stanowi dla Sowietów wzorzec wszystkiego co katolickie w ich zasięgu władzy. Już z tej racji nie da się pominąć War-

szawy w „dialogu”, także dyplomatycznym, jaki papież pragnie kontynuować ze wszystkimi państwami. [...] Cel jest nieodmiennie ten sam: uzyskanie dla wiernych większej swobody religijnej i równouprawnienia, a także „ich pełnego udziału, jako lojalnych obywateli, w życiu społecznym”.

Zewnętrzne oznaki świadczą, że nie da się tego papieża wystylizować na świętą figurę — gdy np. po błogosławieństwie odsyła ludzi do domów, bo „czas na obiad”, albo gdy prosi żartobliwie o „absolucję generalną”, ponieważ się spóźnił. Tylko mistrzom ceremonii przysparza kłopotów jego laska pasterska z krzyżem, którą ujmuje oburącz i macha jak chorągwią. Wierzący, a i niejeden niewierzący czują, że tu symbol nabiera własnej siły; czuje się to szczególnie tam, gdzie rządzą „pasterze”-ideolodzy, którzy już od dawna przestali wierzyć w to co głoszą. [...]

Polski wieszcz narodowy nie był bigotem. W 1849, gdy papież i jego dwór uciekali przed rewolucjonistami, przemawiał do sumienia prałatom: „nie mówcie, że to ludy was opuściły; to wyście je opuścili!”. Wydaje się, że ten papież z Polski pragnie obecnie odwrócić tę dawną tendencję o 180 stopni, opierając wszystko — także działalność pastersko-polityczną — tylko i wyłącznie na Ewangelii. [...] Zwraca się nie do „synów i córek”, jak poprzedni papież, lecz do „braci i siostr”, którym pragnie służyć. Ale właśnie ta służba może okazać się twardsza niż panowanie.

Opracowanie i tłumaczenie tekstów M. BROŃSKIEGO

## W sowieckiej prasie

Zmuszony na pewien okres czasu przerwać opracowanie przeglądu, patrzę teraz na górę zaległych dzienników, periodyków i książek i zadaję sobie pytanie: co zaszło w ciągu ostatnich miesięcy — co było w tym ważnego? Nawet powierzchowne przejrzanie zarówno sowieckiej, jak i zachodniej prasy nie pozostawia wątpliwości: centrum polityki światowej przeniosło się na Daleki Wschód.

Podpisanie traktatu pokojowego między Chinami i Japonią, natychmiastowa odpowiedź Związku Sowieckiego, który podpisał układ o przyjaźni i współpracy z Wietnamem, bez zwłoki zrealizowany przez agresję w Kambodży, wizyta Deng Ksiaopinga w USA, gdzie chiński wicepremier zaproponował stworzenie osi antysowieckiej: Pekin - Waszyngton - Tokio - Zachodnia Europa — te wszystkie wydarzenia mogą zmienić drogi światowej historii.

Czytając jednocześnie obie prasy: zachodnią i sowiecką, zwraca w pierwszym rzędzie uwagę różnica tonu. Zachłystujący się zachwytem ton prasy zachodniej, rozdrażniony i z lekka, ale bez przesady zaostrożony ton prasy sowieckiej, w której na przykład dziesięć lat temu obowiązywała histeria. Zachód przyjął Chiny i Deng Ksiaopinga jak syna marnotrawnego, powracającego na łono rodziny: wszystko mu zapomniano, wszystko wybaczone, za wszystko ponosi odpowiedzialność „banda czterech” — może troszeczkę również i Wielki Sternik; teraz wszystko będzie się rozwijało znakomicie — Chiny modernizują się i w świecie zapamięta spokój. Cena modernizacji Chin wyniesie wszystkiego razem jakieś 200 miliardów dolarów. Słyszysz się co prawda nieśmiało głosy: a czym Chiny zapłacą za kredyty? No, ale w odpowiedzi mamy głosy uspokajające: znajdują, to kraj bogaty! Tak na przykład w najbliższych miesiącach w Stanach zaczną sprzedawać chińskie piwo, a nawet chińską wódkę, jakością nie ustępującą sowieckiej.

Brak hysterii w sowieckiej prasie tłumaczy się niewątpliwie brakiem odpowiedzi na pytania: Co robić z Chinami? Jaka powinna być polityka wobec Chin? Niewątpliwie czyni się kroki zapobiegawcze: zajęcie Kambodży, wszystkie zachodnioeuropejskie rządy zostały uprzedzone, by nie sprzedawały broni Chinom. To wszystko jednak nie rozwiązuje zagadnienia.

Kierownictwo sowieckie nie ma „chińskiej” polityki, albo też ma ich szereg. Niedawno na Zachodzie znalazł się samizdatowy artykuł Andrieja Samochina pt. „Chiński krąg Rosji”. Pięć lat temu w jednym z przeglądów pisałem o poprzednim artykule Samochina pt. „Dlaczego potrzebna jest wojna z Chinami”. Andriej Samochin to pseudonim i można się tylko domyślać jakie reprezentuje koła. Z artykułów widać, że ich autor dobrze zna historię i ma dostęp do najnowszej literatury zachodniej. W pierwszym artykule zaznaczył, że od czasu wojny domowej Związek Sowiecki nie stał dotąd przed tak trudnymi do rozwiązania problemami. Cztery problemy: niedomogi gospodarki, walka narodów sowieckich o samostanowienie, wzrost opozycji politycznej i ferment w krajach Europy Wschodniej spłotyły się w ciasnny i skomplikowany węzeł. I władze — pisali Samochin — zdecydowały się przeciąć ten węzeł „mieczem nuklearnym”, uderzyć bronią atomową na Chiny, rozpocząć wojnę, która zjednoczyłaby naród, pozwoliła zlikwidować wszelkie przejawy opozycji i zakończyła się łatwym zwycięstwem.

Od czasu napisania pierwszego artykułu minęło pięć lat i wojny nie było. Samochin wyjaśnia — w drugim artykule — że przed ewentualnym atakiem na Chiny kierownictwo sowieckie zrobiło sondaż w Stanach Zjednoczonych i usłyszało od Nixona kategorię *n i e*. Dla potwierdzenia swoich domysłów Samochin powołuje się przede wszystkim na pamiętniki byłego pomocnika Nixona, Haldemana.

Dzisiaj zaczynać wojnę jest już za późno. Odpowiednia chwila nie została wykorzystana. Co robić? Samochin wychodzi z zało-

żenia, że Chiny dla Związku Sowieckiego to nie „kolejny”, choćby nawet ogromny problem, to nawet nie „okres naszej historii”. To sprawa życia i śmierci, sprawa istnienia Rosji i narodu. „Historia nasza — pisze on — toczy się po chińskiej orbicie”.

Zdaniem Samochina przywódcy sowieccy, utraciwszy możliwość wykorzystania „miecza termojądrowego”, zdecydowali się przygotowywać do rozwiązania konfliktu za pomocą tradycyjnej broni, użytej w celu rozbioru Chin. W historycznym przeglądzie stosunków rosyjsko-chińskich autor artykułu poświęca dużo miejsca znakomitemu planowi Żamsarana Badmajewa, opracowanemu w końcu ubiegłego wieku. Badmajew, z pochodzenia Buriat, dobrze znany specjalistom od rosyjskiej historii pod nazwą „lekarza tybetańskiego”, był bliski cesarskiego dworu do czasu pojawienia się Rasputina. Idea Badmajewa polegała na podziale Chin i włączeniu do rosyjskiego imperium stepów mongolskich i Mandżurii. Koncepcje Badmajewa szczegółowo rozpracował Jakut — Cybikow, który w 1899 roku dotarł do Lhasy, zrobił tam mnóstwo unikalnych fotografii i zebrał niezmiernie cenne dla wywiadu informacje. W 1912 roku Cybikow opracował swój plan przewidujący oddzielenie od Chin wszystkich terytoriów zamieszkałych przez nie-Chińczyków i stworzenie niezależnych państw, które stałyby się czymś w rodzaju „kordonu sanitarnego” między Chinami a Rosją. Po rewolucji część Mongolii została przekształcona w Mongolską Republikę Ludową, całkowicie uzależnioną od ZSSR. A Samochin wspomina, że Stalin już prawie oderwał Sin Tian od Chin i tylko wojna, która zmusiła do przetrwania wojsk sowieckich na Zachód, pozwoliła Czang Kai-szkowi przywrócić w Sin Tianie władzę Pekinu. Dzisiaj — jak twierdzi — przywódcy sowieccy dążą do oderwania od Chin Sin Tianu i Tybetu. Dążą — jak to określa — nie do *finlandyzacji* a do *mongolizacji* — to znaczy do oderwania od Chin co najmniej jeszcze dwóch „Mongolii”.

Samochin jest kategorycznie przeciwny temu sowieckiemu wariantowi planu Cybikowa. Jego zdaniem wszystkie narodowe republiki ZSSR, a tym bardziej wszystkie kraje Europy Wschodniej, marzą tylko o wojnie sowiecko-chińskiej, upatrując w niej szansę do odzyskania niepodległości. Przewiduje on, że jeśli wojna będzie długotrwałą, lub też zakończy się niepowodzeniem, to te marzenia staną się zupełnie realne.

Plan Samochina, to przymierze z Chinami i Japonią. Nie powinniśmy zrzekać się naszych ziem, ale niepotrzebne nam są mowe, marionetkowe państwa, które trzeba będzie żywić i uzbrajać. Rosja i Chiny skazane są na wieczne życie obok siebie. Historia nie kończy się nawet najbardziej efektywnym zwycięstwem, które — jeśli to będzie nawet prawdziwe zwycięstwo — przyniesie ze sobą ogromne cierpienia i ofiary. Konieczne więc jest zawarcie przymierza z Chinami i Japonią, likwidującego główny — terytorialny — powód sporu.

Trudno powiedzieć czy znajduje się w Moskwie wielu zwolenników poglądu Samochina. Jednak można znaleźć dalekie echo

tych poglądów w jednym ze styczniowych numerów *Litieraturnoj Gaziety*, gdzie życzliwie odnotowano pojawienie się wśród „daczybao”, przed którymi codziennie tłoczą się mieszkańcy Pekinu, głosów wypowiadających się za nawiązaniem „przyjacielskich stosunków z Wielkim Socjalistycznym Krajem — ze Związkiem Sowieckim”. *Litieraturnaja Gazieta* uważa, że wśród przywódców chińskich są i tacy, którzy rozumieją, iż „naturalnymi sojusznikami Chin powinni być nie kapitaliści, a kraje socjalistyczne”. Trzeba podkreślić, że i prasa zachodnia pisze o pojawieniu się prosovietkich „daczybao” w Pekinie. A dobrze wiadomo, że zarówno w Chinach, jak i w Związku Sowieckim ani „daczybao”, ani artykuły w gazetach nie pojawiają się żywiołowo, bez dyrektyw z góry. Wiadomo także (choć często się o tym zapomina), że w krajach socjalistycznych zwroty polityki o 180 stopni odbywają się błyskawicznie na podstawie decyzji jednego, lub niewielkiej grupy przywódców — i to zarówno w polityce zagranicznej (wystarczy przypomnieć 1939 rok) jak i w polityce wewnętrznej. Zwrot, dokonany obecnie w Chinach przez Deng Ksiaopinga, miał już miejsce w Związku Sowieckim przynajmniej trzykrotnie: dokonany przez Lenina w 1921 roku — kiedy to świat przyjął z zachwytem wprowadzenie NEP-u jako powrót Rosji na drogę kapitalistyczną; w 1934 roku — kiedy Stalin, po uznaniu ZSSR przez Roosevelta, oświadczył, że „Rewolucję zrobiono nie dlatego, żeby naród po niej żył gorzej niż przed nią” — w latach 60-tych przez Chruszczowa. Tymczasem wszystkie problemy Związku Sowieckiego pozostają nierozwiązane, choć usiłuje się je rozwiązać.

Przede wszystkim wzmacnia się kierownictwo. W grudniu 1978 roku wspaniale obchodzono 72-lecie L. I. Breżniewa, który wreszcie otrzymał trzecią Gwiazdę Bohatera Związku Sowieckiego i prawo na pomnik w Moskwie. Jednocześnie ukazała się trzecia, wybitna (zdaniem wszystkich ludzi sowieckich) książka L. I. Breżniewa „Celina” — pierwszy nakład dzienników, *Nowego Miru* i oddzielnych wydań — 15 milionów (autor potrafił, pisząc jak pod jego osobistym kierownictwem zagospodarowywano dziewicze ziemie, ani razu nie wspomnieć Chruszczowa). W tymże okresie zostały przeprowadzone wybory do Politbiura, które w lipcu 1978 roku straciło Fiedora Kułakowa, typowanego na następcę. Miejsce 61-letniego Kułakowa zajął 68-letni Konstantin Czernienko, który faktycznie trzyma dzisiaj w swych rękach ster władzy. Do Politbiura został wprowadzony (jako kandydat na członka) jeszcze jeden stary przyjaciel Breżniewa z czasów Dniepropetrowska, 73-letni Tichonow. Dzisiaj władza znajduje się całkowicie w rękach „dniepropetrowskiej mafii”. I to wzmocnienie władzy powoduje zaostrzenie polityki. Możliwe, że nie przypadkowe pojawienie się Czernienki na szczycie piramidy władzy łączy się ze zdecydowanymi posunięciami kierownictwa, od których się w Moskwie już odzwyczajono. W polityce zagranicznej była to inwazja w Kambodży. W wewnętrznej — rozstrzelanie trzech ormiańskich nacjonalistów — Stiepana Zatik-

jana, Akopa Siepanjana i Zawiena Bogdassariana. 30 stycznia br. TASS zakomunikował, że kilka dni przedtem, w myśl wyroku Sądu Najwyższego ZSSR, Zatikian i dwóch jego towarzyszy zostali skazani na śmierć i że wyrok został wykonany. Kara śmierci jest karą wyjątkową w najbardziej postępowym społeczeństwie świata — wyjaśnił TASS. Zastosowano ją do oskarżonych, gdyż byli sprawcami aktu terrorystycznego: podłożyli bombę w moskiewskim metrze w styczniu 1977 roku.

O tej dziwnej historii pisałem w swoim czasie w przeglądach szereg razy. Natychmiast po wybuchu w metrze znany agent KGB, Wiktor Louis, wiedział i przekazał do prasy zachodniej, że wybuch był dziełem dysydentów. Niemniej przez półtora roku wszechmocny aparat KGB szukał bez powodzenia sprawców. O aresztowaniu „terrorystów” poinformowano bardzo krótko i niejasno. Nie podano nawet ich nazwisk. Dopiero po dwóch latach od czasu zamachu pojawiła się informacja o ich straceniu. Jak oświadczył A. Sacharow, rozprawa odbyła się przy drzwiach zamkniętych i nie dopuszczano na nią nawet rodzin oskarżonych. A do tego — według Sacharowa — liczni świadkowie stwierdzają, że w czasie gdy miał miejsce wybuch w metro, Zatikjana w ogóle nie było w Moskwie.

Wyroków śmierci w procesach politycznych Moskwa nie zna już od dawna. Próba zastosowania kary śmierci do dwóch kierowników grupy, zamierzającej w 1970 roku porwać samolot i uciec ze Związku Sowieckiego, skończyła się dla władz sowieckich niepowodzeniem. Oburzenie opinii światowej zmusiło sąd do zmiany Edwardowi Kuzniecowski i Markowi Dymyszycowi kary śmierci przez rozstrzelanie na 15 lat łagru. Lekcja podzielała. Tym razem oskarżeni zostali rozstrzelani bez hałasu, bez procesu, bez świadków. Wybór ofiar nie był przypadkowy. Jest to ostrzeżenie dla nacjonalistów. Wśród nacjonalistów sowieckich najbardziej bezkompromisowi są Ormianie, domagający się nie rozszerzenia praw ale oderwania, wyjścia z ZSSR i stworzenia niezależnego państwa.

Dużą rolę w programie wzmocnienia kierownictwa odgrywa kampania ideologiczna, rozwijana w szeregu kierunkach. Pierwszy, to nawrót do Stalina jako wzoru Wodza, wychwalanie go. Po 20-letniej przerwie Josif Wissarionowicz wrócił do sowieckiego kalendarza. Na kartce pod datą 21 grudzień 1979 15 milionów obywateli sowieckich (taki właśnie jest nakład kalendarza) znajduje portret Ojca i Nauczyciela oraz artykuł o „Wybitnym przywódcy KPZS, sowieckiego państwa, międzynarodowego ruchu komunistycznego i robotniczego, teoretyka i propagandzisty marksizmu-leninizmu”. Dowiedzą się oni również, że działalność tow. Stalina „miała błędy teoretyczne i polityczne”, ale „kult jednostki”, który został ostro osądzony przez partię — w niczym nie zmienił treści budowy socjalizmu... Oficjalne przygotowania do 100-letniego jubileuszu urodzin najwierniejszego ucznia Lenina i Ojca sowieckiego państwa już się rozpoczęły. Półoficjalne przygotowania do tej uroczystości mają charakter bardziej gorący.

Rośnie ilość powieści poświęconych różnym dziedzinom sławnej działalności Stalina.

Napisawszy pięciotomową epopeję „Blokada”, w której wychwala się zdolności dowódcze Stalina, Aleksander Czakowski — nadworne pióro Breżniewa — przystępuje do nowej epopei, także obliczonej na nie mniej jak jakieś 2.200 stron. Nowa ta epopeja — „Zwycięstwo” — pomyślana jest niezmiernie zręcznie: dziennikarz Woronow, który przybył na „najważniejsze wydarzenie współczesności” — podpisanie umowy w Helsinkach, wspomina inne wydarzenie: konferencję w 1945 roku w Poczdamie. A Czakowski wysuwa następującą koncepcję: Stalin — zwyciężył w drugiej wojnie światowej, położył w Poczdamie fundamenty pokoju, ale jego dzieła dokończył i uzyskał ostateczne zwycięstwo L. I. Breżniew, zmuszając 60 z czymś państw do podpisania się pod obecnymi granicami w Europie. Wyłożywszy tę koncepcję na pierwszych stronach swojej powieści autor „Zwycięstwa” zaczyna następnie malować portret Generalissimusa-Zwycięzcy: mądry, przenikliwy, rozumiejący wszystko, bezlitosny wobec wrogów, ale kochający naród. W trzech numerach miesięcznika *Znamia* (nr 10, 11 i 12 z 1978 r.) najwięcej mówi się o polskim problemie. Jest to jedyna sprawa, która rozdrażnia Stalina. „Stalin — pisze A. Czakowski — dobrze znający swego bohatera — miał wiele powodów by nienawidzić londyńskich Polaków. To oni zrobili powstanie w Warszawie, dając możliwość powstania legendy, że powstańcy zostali przez wojska sowieckie sprzedani, to oni organizowali dywersję na tyłach sowieckiej armii, sąd nad organizatorami tej dywersji — Okulickim, Jankowskim i innymi — miał miejsce w Moskwie niecały miesiąc temu...”. Polska wywołuje rozdrażnienie Stalina, nienawiść zaś polega na tym, że polski problem staje się bronią w rękach Zachodu, to jest w rękach Churchilla i Trumana usiłujących wpłynąć na stanowisko Stalina i próbujących mu dyktować jaki rząd należy dać Polakom.

A. Czakowski w podtytule swego eposu wyraźnie pisze, że jest to „powieść polityczna”. I Polska nabiera w tej powieści aktualnego charakteru politycznego — symbolizuje całą „obóz socjalistyczny”, całą sferę wpływów sowieckich, w którą próbują się wtrącać państwa zachodnie. Autor „Zwycięstwa” maluje sowieckiego Wodza-Zwycięzcę wiedzącego jak rozmawiać z Zachodem: to Stalin rozmawiający z Churchillem i Trumanem, ale to także i Breżniew, rozmawiający z tłumem zachodnich głów państwa.

Stalinowi przeciwstawiają się: zrozumieli arystokrata Churchill i nowicjusz w polityce — Truman, „nie bez zdolności” — jak pobożliwie podkreśla autor „Zwycięstwa”, ale szczeniak w porównaniu z genialnym Stalinem. Główne uczucie, które wzbudza Stalin u angielskiego premiera i amerykańskiego prezydenta — to strach. Gdy wchodzi „swoim powolnym, prawie tygrysim krokiem” to i Churchill i Truman zaczynają drżeć. Czakowski tak właśnie pisze: „Truman... nagle poczuł instynktowny strach... Myśl, że mógłby się znaleźć sam na sam ze Stalinem przerażała

go” (*Znamia*, nr 11, str. 9). Pierwsza księga powieści kończy się słowami: „Truman wzdygnął się. Na sekundę wydało mu się, że znajdujący się obecnie w swym domu Stalin usłyszał to, o czym tylko pomyślał amerykański Prezydent” (*Znamia*, nr 12, str. 51).

Ma się rozumieć mogą znaleźć się ludzie zawistni, którzy powiedzą, że nie można porównywać Ojca i Nauczyciela z obecnym Generalnym Sekretarzem, Marszałkiem, Prezydentem itd., itp. Czakowski jest wystarczająco sprytny, by tego rodzaju zarzuty przewidzieć. Wyjaśnia więc: „Przy całej swej mądrości, przy całej przenikliwości i sile woli” Stalin czerpał swą główną siłę z tego, że reprezentował „nowy ustrój społeczny” i „partię uzbrojoną wiedzą obiektywnych prawd historii”. A w to, że L. I. Breżniew (jak każdy generalny sekretarz KPZS) reprezentuje obiektywne prawa historii nikt — ma się rozumieć — nie wątpi.

Innym kierunkiem kampanii ideologicznej jest propaganda antysemitcka, która doszła dziś do rozmiarów z ostatnich lat reżymu stalinowskiego. Antysemityzm (jego pseudonim — antysyjonizm jest tak samo przejrzysty jak pseudonim z okresu stalinowskiego — kosmopolityzm) stał się obecnie najważniejszym elementem ideologii sowieckiej, zajmując miejsce proletariackiego internacjonalizmu, przekształcając się w jedyną ideę, która powinna zjednoczyć naród sowiecki — wszystkie narodowości wchodzące w skład imperium dojrzałego socjalizmu. Ideolodzy sowieccy są przekonani, że po krachu marksizmu-leninizmu i internacjonalizmu jedynym uczuciem, które jednakowo porusza wszystkie narody ZSSR jest antysemityzm. Od niedawna sowieccy ideolodzy przystąpili do kolejnego przepracowania historii Rosji. W 1974 roku doktor nauk historycznych, N. Jakowlew, w monografii „1 sierpień 1914”, która wyszła w nakładzie 100 tysięcy, udowodnia, że Mikołaja II usunęła banda Żydów i masonów, że ich dziełem była lutowa rewolucja. W książce „Ideologia i praktyka międzynarodowego syjonizmu”, która ukazała się w 1978 roku pod redakcją ukochanego filozofa Stalina, pożytecznego Żyda — akademika Mitina, udowodnia się, że cała historia Rosji była zatruta przez Żydów, mających wpływ „na polityczne życie kraju”. W książce tej demaskuje się nieściste przekonanie o tym jakoby Żydzi brali udział w ruchu rewolucyjnym. W rzeczywistości odgrywali oni w ruchu socjalistycznym „rolę kontrrewolucyjną, jeśli nie byli po prostu płatnymi agentami policji”. Poprawia się podręczniki szkolne, zaczynając od historii starożytnej: wzmianki o Żydach albo całkowicie znikają, albo zaopatrza się je w komentarze wyjaśniające, że Żydzi zawsze byli narodem reakcyjnym i lubili pieniądze.

Wreszcie trzeci kierunek kampanii ideologicznej skierowany jest na Zachód. Dziś jest o wiele trudniej niż jakieś 10 lat temu przedstawiać pierwszy w świecie kraj socjalizmu, jako symbol radosnej przyszłości. Mimo wszystko jest to jednak możliwe przede wszystkim dlatego, że Zachód chętnie pomaga siebie ogłupiać. Tak na przykład *Literaturnaja Gazeta* (29. 11. 1978) pod tytułem „Orężem prawdy” podaje do wiadomości, że telewi-



zja amerykańska zakupiła i pokazała sowiecki serial telewizyjny w 20-tu odcinkach o Wielkiej Wojnie Narodowej. Telewizja amerykańska zapłaciła 2/3 kosztów — około 2 milionów dolarów — i otrzymała doskonałą próbkę sowieckiej propagandy. Krytyk telewizyjny *New York Times* (25. 11. 1978 r.) wylicza niektóre „uproszczenia i półprawdy”, które zauważył: zawładnięcie polskim terytorium w 1939 roku jest przedstawione jako powrót ziem zagarniętych przez Polaków w 1921 roku, agresja Finlandii w 1940 roku jako spór graniczny, klęski pierwszych miesięcy wojny nie zostały pokazane itd. Krytyk amerykański zrozumiał, że jest to sowiecka propaganda, gdyż — jak pisze — film ten w niemienionej wersji zostanie pokazany i w telewizji sowieckiej. Nie zadaje tylko pytania: dlaczego trzeba pokazywać sowiecką propagandę w telewizji amerykańskiej i to za takie pieniądze?

W ramach propagandy ideologicznej prowadzona jest kontr ofensywa sowieckich ideologów przeciwko literaturze dysydencyjnej. Walka ta nie zawsze ma charakter zakazów czy aresztów. Czasami przyjmuje ona formy zamaskowane: rzeczywisty ruch dysydencyjny osłabia się od wewnątrz lub kompromituje. Celem tej akcji jest zamazanie granic między przeciwstawianiem się sowieckiej ideologii i jej przyjęciem, między odmową i uznaniem. Latem ubiegłego roku mieszkańcy Moskwy godzinami stali w kolejce by zobaczyć obrazy Ilji Głazunowa, wystawione w ogromnej sali wystawowej „Maneżu”. Entuzjastyczny artykuł o tej wystawie napisał ks. Dmitrij Dudko, prześladowany i przez sowieckie i przez cerkiewne władze za odważne wypełnianie obowiązków duszpasterskich. Ale i nie mniej entuzjastyczne artykuły o portrecie Breżniewa zostały zamieszczone w sowieckiej prasie — od *Prawdy* do *Truda*.

W styczniu br. Jewgienij Jewtuszenko miał wystąpić w telewizji w dwugodzinnym programie. W przededniu jego wystąpienia przewodniczący Państwowego Komitetu Radia i Telewizji zdjął go z programu, gdyż obraził się — podobno — na cztery wiersze poematu „Jutrzejszy wicher”. Wypadek dziwny jeśli wziąć pod uwagę, że program został ustalony w sierpniu 1978 roku i, tak jak się należy, przeszedł przez wszelkie przeszkody cenzuralne. Ale pozbawiony możliwości wystąpienia w telewizji sowieckiej poeta wyjechał na *tournee* po Anglii i Stanach Zjednoczonych jako buntownik i dysydent.

Niemniej dziwna historia miała miejsce z almanachem „Metropol”, przygotowanym przez grupę sowieckich pisarzy, w skład której wchodził A. Wozniesiński, W. Aksionow, F. Iskander, A. Bitow i inni. Zebrali oni utwory 24 pisarzy i zdecydowali wydać almanach bez cenzury. Ścisłej — większość utworów przeszła przez cenzurę, ale została przez nią odrzucona. Jeden egzemplarz rękopisu został przesłany do Związku Pisarzy Sowieckich. Dwa egzemplarze znalazły się na Zachodzie — we Francji i w USA. Jeszcze nie znając zawartości almanachu dziennikarze zachodni przyjęli jego ukazanie się z entuzjazmem. Najbardziej zorientowani porównują go z polskim *Zapismem* i z czechosłowac-

kim *Spectrum* — pozostali nazywają go dowodem, że prawdziwi pisarze mogą doskonale pisać i w Związku Sowieckim. Przy tym, ponieważ autorzy „Metropolu” oświadczają w przedmowie, że włączyli do niego jedynie utwory apolityczne, prasa zachodnia robi aluzję, że być może rzeczywiście pisarzom nie wypada zajmować się polityką.

Wśród autorów „Metropolu” są rzeczywiście utalentowani i uczciwi pisarze. Tym niemniej ukazanie się tego almanachu wzbudza pytania. Przygotowywano go ponad rok, a w tym czasie jeden z głównych redaktorów, A. Wozniesiński, został wysunięty jako kandydat do nagrody państwowej. I tak się złożyło, że w przededniu wiadomości o ukazaniu się almanachu nagroda ta została mu przyznana. Trudno sobie wyobrazić, by wszechwiedzące organy nie wiedziały o przygotowywaniu „Metropolu”, co — nawiasem mówiąc — było prowadzone jawnie. Są jeszcze i inne okoliczności nie bardzo wytłumaczalne, a związane z tym almanachem. Zresztą jeden z autorów, Ju. Oleszkowski, który napisał znaną piosenkę „Towaryszcz Stalin, ty bolszoj uczonyj...” emigrował i na pewno opowie jak i dlaczego powstał „Metropol”. A tymczasem można tylko powtórzyć za Hamletem — między ziemią a niebem jest wiele rzeczy, które nie śniły się naszym filozofom.

Adam KRUCZEK

## Praga, kontrreformacja i reformacja

Dla zrozumienia obecnej sytuacji czechosłowackiego środowiska intelektualnego i całego społeczeństwa, należy przede wszystkim scharakteryzować odrębne cechy historii czeskiej i polskiej. Mają one bowiem większe znaczenie, niż przejściowe konflikty i kryzysy.

Ostoją polskości był i jest Kościół katolicki; nie było i nie ma sprzeczności pomiędzy celami Kościoła i polskimi wysiłkami niepodległościowymi. Liczba katolików (według ksiąg metrykalnych) w Czechosłowacji nie była o wiele mniejsza, niż w Polsce. Różnica jest jednak kardynalna.

Przed czeskim powstaniem przeciw dynastii Habsburskiej kraje korony czeskiej (Czechy, Morawy, Śląsk) były w 80 % protestanckie (staroutrakwiści, luteranie, bracia czescy). Po klęsce wojska czeskiego w bitwie pod Białą Górą (8. 11. 1620) nastąpiły

nie tylko poważne zmiany polityczno-prawne, utrata niepodległości i podporządkowanie coraz bardziej centralistycznym rządóm wiedeńskim, lecz doszło też do głębokiej i brzemiennej w skutki ingerencji w czeskie życie narodowe. Kontrreformacja, przeprowadzana głównie siłą przez bezwzględnych żołnierzy zwycięzców zmuszających do przejścia na wiarę katolicką, prócz egzekucji, wyroków i banicji posługiwała się w stosunku do wyższych stanów szeroko zakrojoną akcją konfiskat mienia. Po trzydziestoletniej wojnie liczba mieszkańców krajów czeskich obniżyła się w wyniku katastrofalnej emigracji i strat wojennych, naród czeski pozbawiono prawie zupełnie jego klas wykształconych i kierowniczych, przeważnie protestantów. Statystycznie biorąc w Koronie czeskiej żyli później wyłącznie katolicy.

Zwycięstwo Habsburgów, a szczególnie Kościoła katolickiego, okazało się pyrrusowe. Kto nie chciał czy nie mógł emigrować, zmuszany był brutalnymi środkami do nawrócenia. Za fasadą zewnętrzną (niewiele istnieje w Europie krajów, gdzie oblicze miast i wsi w takim stopniu jest uształtowane przez barok) pozostała tylko znikoma ilość tajnych protestantów; ale również mało było też prawdziwych katolików. Do końca XVIII wieku profesorowie praskiego uniwersytetu obowiązani byli do przysięgi, że wierzą w Niepokalane Poczęcie; do dziś żyją w Czechosłowacji uczestnicy niedzielnych nabożeństw, pochodów i procesji w dzień Bożego Ciała, obowiązkowych dla uczniów gimnazjalnych w czasach starej monarchii austro-węgierskiej.

Składnikiem kontrreformacji były powierzchowne deklaracje bez jakiegokolwiek treści wewnętrznej. Za katolika uważano tego, kto praktykował, wypełniał formalne obowiązki wobec Kościoła. Ten formalizm przetrwał do ostatnich dni monarchii Habsburskiej, z nieuchronnymi konsekwencjami. Naród czeski, choć statystycznie w przeważającej większości katolicki, był w istocie religijnie obojętny. Po patencie tolerancyjnym cesarza Józefa II (1781) ujawniło się 40.000 tajnych dotąd protestantów. Kościół ewangelicki nie odzyskał już jednak nigdy dawnej pozycji w społeczeństwie. Próba religijnej odnowy po pierwszej wojnie światowej (narodowy Kościół czechosłowacki, wywodzący się z reformistycznego skrzydła duchowieństwa katolickiego i zbliżony najbardziej do dawnych utrakwistów, z pewnymi cechami amerykańskiego Kościoła unitariańskiego) miała charakter polityczny.

Naoczni świadkowie ostatnich lat rządów Habsburgów doczekali się czasów, kiedy również obowiązkowo i obojętnie jak niegdyś w nabożeństwach, brali udział w zebraniach i obchodach 1 Maja.

Współczesne życie w Czechosłowacji jest powtórzeniem kontrreformacji. „Normalizacja” przeprowadzana jest środkami psychicznego gwałtu, oraz jawnego szantażu; reżym zadawala się formalnymi aktami zerwania z przeszłością i deklaracjami lojalności pozbawionymi treści. Rządzi się na zasadzie *oderint, dum metuant*. Komuniści niewiele nauczyli się z historii własnego narodu; nie zrozumieli, że kontrreformacja katolicka doprowadziła

nie do zwycięstwa Kościoła, lecz do wyjąłowania intelektualnego i moralnego, do upadku jego rzeczywistego wpływu. Tak chętnie mówiąc o narodowych tradycjach, których są rzekomo spadkobiercami, komuniści nawiązują w rzeczywistości do epoki kontrreformacyjnego generalnego ataku na duchowy kręgosłup narodu.

Charakterystyczną cechą życia w Czechosłowacji po sierpniowej okupacji sowieckiej w 1968 roku, szczególnie po dojściu Husáka do władzy — za kulisami dekoracji na ulicach ze sloganami na temat przyjaźni z ZSSR usiłujących zasłonić fakt, że stare czeskie sympatie do Rosji umarły w ciągu jednej nocy — jest powszechne odpolitycznienie. Wydarzenia na scenie politycznej, czyli w komitecie centralnym partii, śledzono bez większego zainteresowania. Wiadomo, że Kapek, Strougal, Bilak i inni nie reprezentują koncepcji alternatywnych; są jedynie hersztami konkurencyjnych gangów, które zwalczają się wzajemnie celem zdobycia większej władzy, wpływów i korzyści materialnych.

Równie mało jak od przywódców spodziewano się od całej partii komunistycznej. Po czystce z 1970 roku usunięto z niej jedną trzecią członków, przede wszystkim czołówkę intelektualną. Utrzymało się tylko niewiele odizolowanych jednostek, pozostających do dziś w ukrytych kontaktach ze starymi przyjaciółmi, niezdolnych jednak do przeciwstawiania się decyzjom władz partyjnych. Również narybek partyjny składa się dzisiaj wyłącznie z wyrachowanych karierowiczów; o ideowości młodych członków partii nie może być mowy.

W pewnym sensie obecna sytuacja jest gorsza od lat pięćdziesiątych, od okresu rządów Gottwalda. Terror z setkami egzekucji i mordów, oraz przeszło 130.000 więźniów politycznych, był główną cechą owych lat. Terror ten był w znacznej części dziełem fanatyków niemal chiliastycznych, głęboko przekonanych o słuszności sprawy. W ciągu następnych lat okazało się, że fanatyk jest mimo wszystko zdolny do ewolucji, że kiedyś może się zastanowić nad własnymi czynami i dość do bolesnych nawet dla siebie wiosków. Taką drogę odbyli późniejsi reprezentanci „socjalizmu o ludzkiej twarzy”, dr Frantisek Kriegel czy Josef Smrkoský, a z intelektualistów prof. Karel Kosík czy Pavel Kohout. Dzisiejszą Czechosłowacją rządzą cynicy i w najgłębszym tego słowa znaczeniu oportuniści, zdający sobie doskonale sprawę z istoty rzeczy, korzystający jednak z niespodziewanej okazji. Z równym zapałem (względnie również bez zapału) robiliby politykę dubczekowską, o ile mogliby się spodziewać podobnych dla siebie szans; naturalnie nie posuwają się nigdy do tego, aby być inicjatorami zmian.

Najlepszą ilustracją charakteru współczesnej polityki partyjnej jest dobór wykonawców. Trochę starego brudu z czasów niemieckiej okupacji, czy jakiś grzech z okresu dubczekowskiego są dobrą rekomendacją, gwarantując bowiem trwałą uległość. Właśnie w życiu kulturalnym do głosu doszła szajka ciemnych typów w rodzaju Mirosłava Müllera czy Donáta Šajnera, do spółki z by-

łymi kolaborantami, jak Jiří Dohnal i Fedor Soldan. W przytłaczającej większości chodzi o trzecią lub czwartą kategorię; można z pełnym uzasadnieniem mówić o spisku podprzeciwnych i zakompleksionych. Nie mogą więc dopuścić do głosu prawdziwych reprezentantów czeskiej kultury (wymieńmy tu tylko Václava Černego, Václava Havla, Jaroslava Seiferta), bo zbyt jaskrawo ujawniłaby się ich miernota, płaskość i jałowość.

Dziesięć lat *brainwashing'u*, prześladowań i szantażu przyniosło nieznaczne wyniki. Samokrytykę przeprowadzili tylko Miroslav Holub i Jiří Sotola, skapitulował Bogumil Hrabal oraz w pewnym stopniu Jan Werich; bez skutku ubiega się o ułaskawienie publicysta Dušan Hamšík.

Podstawą podejścia partii do kultury jest podejrzliwa nieufność, przejawiająca się praktycznie w biurokratycznej centralizacji. Wiele mówi się o „literaturze antypaństwowej”, a należałoby raczej mówić o „antyliterackim państwie”. Rozprawa partii z intelektualną opozycją realizowana jest stosowanymi konsekwentnie zakazami publikacji, dotyczącymi także tłumaczeń i to nawet pod pseudonimem (z własnych doświadczeń wiem o interwencjach władz praskich w innych krajach socjalistycznych, gdy publikowano tam pracę kogoś z czarnej listy).

Stało się to wcale nie przypadkiem. W Czechosłowacji, w narodzie czeskim, w wyniku katastrofy białogórskiej z praktyczną likwidacją czeskiej szlachty, związki intelektualistów i ludu są bliższe niż w innych krajach bloku wschodniego; natychmiastowe i szerokie jest echo działalności intelektualnej w społeczeństwie (świadczą o tym wysokie nakłady takich czasopism jak *Literární listy*, *Zitřek*, *Reportér*). Dlatego od początku „normalizacji” tak zaciekle pozbawiano intelektualistów każdej trybuny. Doszło do tego, że w Czechach było — i praktycznie do dziś jest — mniej czasopism literackich, niż w epoce kanclerza Metternicha, przed *wiosną ludów*. Ogromną większość czeskich pisarzy skazano na milczenie, a pisarze reżymowi niewiele mają do powiedzenia.

Określenie współczesnej Czechosłowacji jako „Biafry ducha” (Aragon) nie jest zupełnie ściśle; przylega lepiej do zamiarów, niż do wyników. Prawdopodobnie gorsze skutki mogło przynieść ograniczenie formalnie bardziej znośne, pozwalające każdemu z literatów na wegetowanie wśród zakazów i ograniczeń. Tak każdy tekst byłby od początku zniekształcony względami na możliwości druku i autocenzurą ze szkodą dla jego wartości literackiej i autorytetu literatury w społeczeństwie.

Odpowiedzią na ofensywę „doktora” Bilaka były niezależne samizdatowe edycje *Petlice* (Rygiel) i *Expedito*. Jednocześnie — na długo przed dzisiejszym Uniwersytetem im. Patočki i przed polskim „Latającym uniwersytetem” — organizowano prywatne odczyty takich wykładowców jak właśnie prof. Jan Patočka (znany polskim czytelnikom z prac publikowanych w miesięcznikach katolickich). Tradycja podobnych odczytów jest jeszcze starsza; prof. Ružena Vacková w więzieniach lat 50-tych i 60-tych wycho-

wała całą generację młodych intelektualistek — więźniarek. Uczucie zagrożenia kultury narodowej było bardzo silne u Czechów, w narodzie trzy i pół razy mniejszym niż Polacy, narodzie który po stuleciach wrócił na scenę europejską właśnie za pomocą swojej literatury.

Równoległe z oporem wobec antykulturowej polityki reżymu kształtowała się opozycja — ściślej mówiąc — koncepcja alternatywy. Demokratyczna opozycja, której reprezentanci w ciągu 20 lat reżymu komunistycznego odczuli na własnej skórze zakazy, represje i więzienia, naturalnie nie łatwo zapominała o swych doświadczeniach i przeżyciach. Wobec ex-komunistów zastosowano okres próby; nie od razu akceptowano ich jako równorzędnych partnerów.

Długo bowiem ex-komuniści wierzyli naiwnie w rehabilitację i w powrót do partyjnego *establishment'u*. Parę lat oferowali kierownictwu swoje usługi, gotowi byli szanować prowadzoną zrzęczniejszą politykę. Opozycji demokratycznej zaś gwarantowali wyłącznie rolę w swoistym politycznym safari, bez równych szans; nie można więc było znaleźć wspólnej płaszczyzny działania. Dopiero pryncypialna rezygnacja z „kierowniczej roli partii”, w zmodernizowanej nawet wersji, umożliwiła sformułowanie zasad, znanych dzisiaj w związku z Kartą 77.

Zasady Karty 77 są czymś więcej, niż tylko echem „Praskiej wiosny”. Przynajmniej o ile pod pojęciem „Praskiej wiosny” rozumie się jedynie reformatorski kierunek wewnątrz partii, który w gruncie rzeczy nie bardzo zamierzał demokratyzować cały ustrój i dopuścić do głosu całe społeczeństwo (dowodem są później publikowane materiały przygotowywanego XIV kongresu partii, do którego we wrześniu 1968 roku nie doszło; według nich zmodernizowany model partyjnego monopolu władzy miał być nadal chroniony ustawowo). Karta 77 idzie dalej niż ta partyjna koncepcja z okresu „Praskiej wiosny” i jednocześnie jest kontynuacją czeskiej tradycji demokratycznej (od Havličeka po Masaryka) oraz obroną praw ludzkich przez cały czas istnienia reżymu komunistycznego w Czechosłowacji.

W interpretacji ex-komunistów rok 1968 jest zbyt często „rokiem zerowym”. Powierzchni obserwatorzy zachodni ulegają tej interpretacji i dochodzą do fałszywych ocen sytuacji w Czechosłowacji.

Świadomie lub podświadomie ex-komuniści podają zniekształcony obraz historii lat 50-tych. Proces Rudolfa Slánsky'ego uważają za szczyt terroru „stalinowskiego” (zawsze to sztuczne, antyhistoryczne różnicowanie komunistów i „stalinowców” z zamiarem wybielenia tych pierwszych!), przemilczając tak ważne fakty jak to, że proces przygotowywano na początku pod osobistym nadzorem samego Slánsky'ego; że wraz ze Slánskym skazano i stracono np. szefa kontrwywiadu wojskowego, Reicina, partyjnego karierowicza, przed wojną specja od propagandy wśród dzieci (*Kinderfricke*), a później w ciągu czterech lat awansującego z plutonowego na generała, człowieka w pełni odpowiedzial-

nego za nieopisane brutalności swoich podkomendnych z V wydziału Sztabu Generalnego; jak również wiceministra spraw wewnętrznych Švába, współodpowiedzialnego za zbrodnie Bezpieczeństwa Państwowego (StB) przed zamachem lutowym w 1948 roku (określenie „gestapizm” używane było dla tych praktyk przez prasę demokratyczną przed zamachem), współautora scenariusza procesu, w którym w końcu skazano i jego samego. Jeszcze w 1968 roku pisano o nietykalnych aktach „rewolucyjnego wymiaru sprawiedliwości” i niechętnie brano pod uwagę los ofiar komunistycznego terroru jak (wymieńmy tylko kilka nazwisk): poseł Zgromadzenia Narodowego dr Milada Horáková (pierwsza kobieta stracona z powodów politycznych), generał Heliodor Píka, student Boris Kovaříček, bez sądu zamordowani posłowie Broj i Sochorec, bezprawnie skazani przedstawiciele Kościoła, żołnierze z krajowego ruchu oporu i z armii na Zachodzie, legionści, socjaldemokraci, itd.

Niewiele o nich pisano nawet w dębczekowskiej prasie komunistycznej, ignorując na zasadzie „roku zerowego” ważny udział późniejszych zwolenników odnowy systemu (Srnkovskiego, Kriegela czy Pavela) w lutowym zamachu stanu.

Prawdziwy cud propagandy, skutecznie działającej szczególnie na Zachodzie. Powstaje z tego pozahistoryczny mit i dochodzi się do fałszywej oceny sytuacji praskiej.

W rzeczywistości dzisiejszy ruch obrony praw człowieka w Czechosłowacji jest kolejnym etapem walki, trwającej od lat trzydziestu. Brali w niej udział ludzie tak wybitni jak profesorowie Jan Patočka i Václav Černý. Prof. Ružena Vacková, więziennikarka obozów hitlerowskich, w których zamordowano jej brata i siostrę, jest ucieleśnieniem tej walki. W więzieniach komunistycznych spędziła przeszło piętnaście lat. Z zawodu profesor archeologii klasycznej na uniwersytecie Karola, została w roku 1968 wiceprzewodniczącą klubu K 231 (zrzeszenie byłych więźniów politycznych) a w dziewięć lat później podpisała Kartę 77. Należy tu wymienić poetę Jaroslava Seiferta, pierwszego pisarza czeskiego, który angażował się w obronie uwięzionych kolegów literatów już w latach 50-tych, oraz z młodszej generacji prozaika Karela Peckę, który za napisanie dwóch recenzji filmowych do podziemnego czasopisma odsiedział dziesięć lat w obozach przy kopalniach uranu pod miastami Jáchymov i Příbram.

W Pradze nie ma dzisiaj rekryminacji (w swoisty sposób, przynajmniej w środowisku opozycji, weszły w życie zasady „ustawy o pojednaniu narodowym”, tzw. *lex Kovařovic* — od nazwiska głównego autora tego projektu, wysuniętego w czasie „Praskiej wiosny” przez K 231) i aspiracji do „kierowniczej roli” zreformowanej w jakikolwiek sposób partii. Zresztą ex-komuniści oceniają możliwość ewentualnej reformy jak najbardziej sceptycznie. Zaledwie garstkę można by było skłonić do powrotu do partii, z byłymi zawodowymi politykami włącznie. Poza tym wśród ex-komunistów o wiele większy wpływ mają intelektualiści niż byli dygnitarze partyjni, nieliczne wyjątki (dr Kriegel) zaw-

dzięczając swój autorytet nieustraszonej postawie a nie koncepcjom politycznym.

Dla Pragi ważniejsza niż przeszłość, niż futurologiczne konstrukcje polityczne, jest sytuacja aktualna. Raczej z ironią śledzono eurokomunistyczne iluzje działaczy, przygarniętych przez zachodnie partie komunistyczne w charakterze politycznych sublokatorów. (Nie oznacza to potępienia hurtem byłych komunistów za granicą; pozytywnie oceniano prace na wysokim poziomie intelektualnym — Prečan, Kaplan — ważne dla kraju i dla zagranicy). Sprawą numer jeden jest po prostu przeżycie narodu.

W tym stwierdzeniu nie ma przesady. W porównaniu z wszystkimi sąsiadami międzywojenna Czechosłowacja była krajem społecznie, gospodarczo i politycznie najbardziej ustabilizowanym, krajem bez zamachów stanu, bez spisków i bez prześladowania opozycji. Mimo to, pod koniec lat 20-tych, Masaryk w rozmowie z Emilem Ludwigiem powiedział, że państwo czeskosłowackie będzie naprawdę ustabilizowane dopiero za następnych trzydziści-czterdzięści lat pokoju, gdy wyrośnie druga generacja urodzona już w kraju niepodległym i pozbawiona „staroautriackiej” (czytaj: kontrreformacyjnej) mentalności, czyli sprzeczności między przekonaniem i zachowaniem.

W dziesięć lat później rozpoczął się okres rządów totalitarnych, trwający do dziś. I właśnie współczesna praktyka reżymu jest niemal dokładnym powtórzeniem metod kontrreformacyjnego nacisku. Podobnie jak w czasach złej sławy jezuita Antonina Koniáša, dumnego z tego, iż kazał spalić dziesiątki tysięcy czeskich książek „heretyckich”, usiłowano przerwać świadomość historycznej ciągłości narodowej; i w rezultacie, podobnie jak w wiekach XVII i XVIII, grozi realne niebezpieczeństwo zdegradowania narodu do kategorii ludności.

Nie jest więc kwestią przypadku, że pośród sygnatariuszy Karty 77 znalazła się tak duża ilość duchownych ewangelickich, że tak wielki wpływ na jej zredagowanie mieli naukowcy, świadomi ciągłości historycznej (Patočka, Černý) oraz poeci i pisarze, wyczuwający więzy z przeszłością. Obecny reżym wystarczająco orientuje się w sytuacji aby wiedzieć, że jego głównym przeciwnikiem nie jest zdezaktualizowany program polityczny z 1968 roku, czy chwilowa rachuba na jakiś sojusz z eurokomunistami, lecz narodowa świadomość tradycji kulturalnej i państwowej.

Ta tradycja jest głównym celem ataków. Po raz drugi w 30-letniej historii reżymu komunistycznego usiłowano zniekształcić obraz historii narodowej, zignorować całe stulecia, a inne epoki — przyrządzone w sposób naprawdę orwellowski — wykorzystać na użytek propagandy. Ironią losu jest to, że w szeregach obrońców kultury czeskiej znajdują się dzisiaj również historycy, którzy niegdyś sami brali udział w propagandowej ofensywie reżymu, autorzy podręczników, które służyłyby dobrze rządzącej obecnie ekipie, gdyby ze względu na nazwiska autorów nie musiały przejść na czarną listę.

Zasadę obrony kultury narodowej jako wartości niezbędnej i podstawowej, której utrzymanie stanowi *conditio sine qua non* wszystkich rozmyślań o przyszłości, akceptuje cały szeroki wachlarz tendencji politycznych, skupionych na wspólnej płaszczyźnie Karty 77, od nieugiętych przeciwników każdego totalitaryzmu (Černý, Seifert) po byłych działaczy komunistycznych (Šabata, Kriegel); od byłych więźniów z okresu Gottwalda i Nowotnego (Zvěřina, Pecka) po lewicowców (Bartošek, Uhl). Doskonałej analizie oficjalnej polityki kulturalnej dokonał już parę lat temu dramaturg Václav Havel w liście otwartym do prezydenta Husáka. Koniecznością była czynna samoobrona, a nie tylko akcje protestacyjne. Wydawnictwo *Petlice*, dochodzące już do stu wydanych pozycji, nie jest jakąś „drugą kulturą”. We współczesnej Czechosłowacji (i na tym polega różnica w porównaniu z obecnymi warunkami w Polsce) nie ma bowiem w praktyce „kultury pierwszej”. Na przekór represjom Bezpieczeństwa Państwowego (StB) niezależne wydawnictwa rosną; wydawano już także czasopisma a niebawem ukazą się zbiorowe dzieła naukowe.

Głośny był przypadek skazanych w 1976 roku młodych nonkonformistycznych muzyków z grupy *Plastic People*. Reakcja reżymu oraz rażąca niesprawiedliwość wyroku nie powinny nas jednak mylić w ocenie rzeczywistych wartości kulturalnych twórczości *Plastic People* i charakteru świadomej celu opozycji w Czechosłowacji. *Plastic People* nie byli niczym więcej jak marginesową grupą, działającą w środowisku, którego znaczenie jest ograniczone. Rozgłos nadała im dopiero histeria prasy partyjnej. Dla reżymu naprawdę niebezpieczną jest nie jakaś grupa, ale warstwa którą można określić jako *Intelligent People*. Obok elitarnej kategorii słuchaczy Uniwersytetu im. Patočki, głównym zwolennikiem i nosicielem idei demokratycznych i niepodległościowych jest część studentów (nie trzeba się łudzić co do całości). Niewielu ich znajdziemy na wydziałach humanistycznych (filozofia, prawo), gdyż reguły przyjmowania na te wydziały już od początku usuwają potencjalnych nonkonformistów i całą Filozofia (czystka wśród wykładowców była tam wyjątkowo surowa) nastawiona jest obecnie na propagandę marksizmu-leninizmu; na wydziałach prawa dołożono wszelkich starań, aby absolwenci broni Boże nie zostali rzeczywistymi prawnikami. Poziom studiów na politechnice oraz na wydziałach przyrodniczych i medycynie jest nieporównanie wyższy — w tych dziedzinach nie można sobie pozwolić na odrzucenie naukowego podejścia do zagadnień. Dlatego też w 1968 roku właśnie studenci tych wydziałów okazali się najbardziej podatni na emancypację spod partyjnych programów i złudzeń, do samodzielnego formułowania własnego stanowiska i należeli do aktywnego trzonu nonkonformistycznego KAN — *Klub angażowanych nestrániku* (Klub Niezaangażowanych Bezpartyjnych).

Terroryzujące działania StB są skuteczne tylko w pewnym stopniu. Zakres bezpośredniego wpływu podziemnych wydawnictw oraz obiegu książek z emigracyjnych domów wydawniczych

(68 Publishers, Index i inne) udało się co prawda ograniczyć, ale mostem między opozycją twórczą i społeczeństwem są często zagraniczne rozgłoszenie radiowe (Wolna Europa, Głos Ameryki). Intensywne zagłuszanie nie wszędzie jest skuteczne i dało paradoksalny wynik: często słucha się polskich audycji Wolnej Europy (podobnie jak — sam to wiem — w Polsce wiele osób słucha czeskiej Wolnej Europy — szansa, którą warto w obustronnym interesie lepiej i systematyczniej wykorzystywać!).

Problemem otwartym środowiska intelektualnego jest przyszłość. Należy zaznaczyć, że większość autorów opozycyjnych oddaje się pracy twórczej nocami i w niedziele; w dzisiejszej Czechosłowacji literaci, dziennikarze i historycy zatrudnieni są przy myciu okien, sondażach geologicznych, na budowach i w magazynach. W takich warunkach już nawet ograniczony czas zmusza do jak najbardziej krytycznego stosunku do własnej pracy.

Obok tego pozytywnego skutku obecnej sytuacji, istnieje szereg innych, ujemnych. Gorszy jeszcze niż sporadyczne dotychczas bandyckie napady agentów StB (ofiara jednego z nich padł np. krytyk muzyczny Ivan Medek), jest konsekwentnie stosowany czerwony *Sippenhaft*, gdy się żony i dzieci traktuje jako zakładników. Szantaż rodzinne należą do metod „walki politycznej” doktora Husáka już od lat.

W ogóle najważniejsze jest pytanie: jak będzie w dalszej perspektywie działac izolacja od świata, atmosfera swego rodzaju getta. Tę izolację wprowadza się bardzo starannie, poczynając od utrudniania osobistych kontaktów w samej Czechosłowacji (odbieranie telefonów, prawa jazdy i, od dawna już, także paszportów, nawet do państw socjalistycznych); szczególnie bacznie pilnowano granicy z Zachodem. Podczas gdy w byłym mieście obozie hitlerowskim, Terezynie, mogło dojść do spotkania kamratów esesowców, którzy tam w czasie wojny pełnili służbę, organy praskiego MSW surowo badają wszystkich zagranicznych „przeszłotców”, których złapano na granicy przy próbie przeszlugowania do Czechosłowacji książek czy czasopism. Nic chyba nie działa tak niestrudzenie jak ochrona przed zarazą ideologiczną. Jest to niewątpliwie dowód niepowodzenia indoktrynacyjnych wysiłków reżymu, należy się jednak liczyć ze skutkami tej blokady. Coraz bardziej utrudnione kontakty ze światem powodują, że dochodzą często informacje tylko fragmentaryczne i to nieregularnie. Przelamywanie tej blokady jest dla czechosłowackich nonkonformistów w kraju i za granicą zadaniem najwyższej doniosłości.

Po trzydziestu latach rządów reżym komunistyczny jest już absolutnie niezdolny do polemiki; stać go tylko na arogancję dzierzymordy. Brak perspektywy, który znajduje odbicie w pseudokoncepcji „realnego socjalizmu”, to jest w *status quo*, zmusza reżym do tym bardziej zacieklej ataków na opozycję, kształtującą własne podejście do problemów społeczeństwa.

Sprawę jawnej opozycji powierzono więc wypróbowanym kadrom, wachmistrzom ze stopniami oficerskimi, fryzjerom i ślusa-

rzom z doktoratami akademii partyjnej. Dla tych majorów i podpułkowników StB, znających się tylko na taktyce i technice wywiadu, zadanie rozprawienia się z opozycją tego typu było nieprzyjemną niespodzianką. Po raz pierwszy w ciągu swej kariery przesłuchiwali ludzi, którzy albo z zasady odmawiali zeznań z powołaniem się na odpowiedni paragraf Ustawy o postępowaniu karnym, albo udzielali odpowiedzi nieoczekiwane obszernych. Zamiast paru zdań przyznania czy zaprzeczenia, dyktowali maszynistkom długie analizy wewnętrznej sytuacji kraju. Gdy zdenerwowani „czekiści” ostrzegali, że odpowiedź taka może być czynnikiem obciążającym; tłumaczono im uprzejmie, że chodzi o materiał dowodowy dla przyszłości — nikt nie będzie mógł bronić się rzekomą niezajomością prawdziwego stanu rzeczy. Wreszcie, dodawali przesłuchiwanym odmawiający podpisania niekompletnych wypowiedzi, nie ma mowy o działalności wyrowskiej czy w inny sposób karalnej, jeśli domaga się respektowania prawa — wy, panowie, powinniście to najlepiej wiedzieć, skoro jesteście strażnikami praworządności.

W takich warunkach donkiszoterią wydaje się propozycja Karty 77, wzywająca przedstawicieli reżymu do dialogu. Zaiste trudno wyobrazić sobie dyskusję telewizyjną „doktorów” Bilaka, Kozaka, Fojtka z Hejdánekiem, Zvěřiną czy Havelem, nie tylko ze względu na różnicę wymiaru intelektualnego. Niemniej jednak program Karty 77, jako koncepcja wyjścia z obecnego impasu i jałowości całego życia społecznego i kulturalnego w Czechosłowacji, jest realny w takim stopniu w jakim realny był program polskiej niepodległości, powiedzmy w roku 1908.

Chodzi bowiem nie o samą tylko obronę, ale także o koncepcję przyszłości. Do realiów świata, w którym żyjemy, należy broń zbiorowej zagłady i zawsze będzie do nich należała. Czynnikiem trwałym jest też przynależność Związku Sowieckiego do sfery kultury europejskiej, choćby wypaczony — w każdym razie bardziej spokrewnionego z Polską, Francją czy Kanadą niż z Chinami czy krajami afrykańskimi. W czasie swej przeszło 60-letniej egzystencji komunizm sowiecki nie stworzył własnej kultury i własnego stylu życia — szczytem jego osiągnięć jest naśladowanie (aczkolwiek w mizernym wykonaniu) Zachodu z wszystkimi problemami społeczeństwa konsumpcyjnego; wystarczy porównać dzisiejszą młodzież rosyjską z jej rówieśnikami na Zachodzie i zestawić ten stan rzeczy z różnicą między komsomolcami lat 20-tych czy 30-tych i ówczesną młodzieżą na Zachodzie; podobnie dzisiejszy żołnierz sowiecki niewiele ma wspólnego z dawnym czerwonogwardzistą. Konwergencja następuje siłą ewolucji, mimo oporu ideologów w rodzaju Susłowa czy Bilaka.

Nikt się naturalnie w Pradze nie liczy z łatwą ewolucją w tym kierunku, z bezbolesnym przekształceniem się Rosji i państw satelickich. Program praw ludzkich i obywatelskich deklarowano w Moskwie, Warszawie i Pradze nie z ramienia jakiegoś spisku (istniejącego tylko w wyobraźni czekistów tych stolic, zawsze — według trafnej charakterystyki Chateaubrianda — romantycznych

z natury i niezdolnych do orientowania się w historii), ale po prostu dlatego, że w naszym świecie nie ma innego rozsądnego wyjścia. Jest to program na przyszłość, która w obecnej chwili wydaje się równie odległa i nawet nierealna, jak wyżej wspomniany polski program niepodległościowy.

Z kryzysami trzeba się liczyć, ale nie należy na nie liczyć. Stwierdzenie to jest jednym z punktów wyjścia praskich rozważań.

Dziś nikt już nie mówi o krucjacie wyzwolenczej, na placu Wacława, w Alejach Jeruzolimskich czy na placu Czerwonym nikt już nie oczekuje zwycięzcy na białym koniu, otoczonego czeskimi, polskimi czy rosyjskimi legionistami, herolda niepodległości i rządów Prawa; Zachód współczesny skłonny jest raczej do wywieszania białych flag. W opozycji liczone są zawsze realistycznie z własnymi siłami, z własnymi możliwościami.

A co z układem sił? Jest on czynnikiem zmiennym. W polityce nie ma miejsca dla słowa *nigdy*, a już najmniej w totalitarnych reżymach komunistycznych, z natury sztywnych i od pewnego czasu zmuszonych do rozwiązywania bezprecedensowych sytuacji na arenie międzynarodowej i w kraju. Opozycja, istniejąca w Czechosłowacji lat 50-tych (polska sytuacja nie bardzo się od niej różniła), naśladowała konspiracyjny model walki w konflikcie z nowoczesnymi środkami policyjnego uzbrojenia, łączności i taktyki, i to na przestrzeni długiego czasu (dłuższego od całej drugiej wojny światowej); poza tym w Czechosłowacji skład osobowy i organizacja demokratycznego ruchu oporu nie stanowiły dla komunistów żadnej tajemnicy i łatwo było przewidzieć kto i jak będzie walczył przeciwko nowej dyktaturze. Oczywiście wynik takiego ruchu oporu, wzorowanego w zasadzie na koncepcji polskich przygotowań powstańczych czy praskiego spisku majowego z 1849 roku, skazany był z góry na porażkę.

Obecna opozycja nie powtarza tego błędu. Odrzuca ona amatorską konspirację z zasady, a nie ze względów taktycznych. Występuje więc nie anonimowo ale publicznie. Właśnie tej jawności zawdzięcza wiele ze swego autorytetu moralnego w społeczeństwie.

Nie dość tego. Opozycja współczesna różni się od poprzednich zasadniczo: jej celem nie jest zamach stanu, czy rozbicie porządku prawnego, ale jego konsekwentne poszanowanie zarówno przez władzę jak i przez społeczeństwo. (Nie jest łatwo tłumaczyć lewicującym intelektualistom zachodnim, że celem jest *Law and Order!*). Jak zawsze w historii: droga do wygranej rozpoczyna się wyborem pola walki.

Szczególnie w Czechosłowacji łatwo oponować, że chodzi o cele minimalistyczne. Do porządku prawnego należy bowiem nie sam Pakt o prawach ludzkich i obywatelskich, posiadający moc ustawy, ale również konstytucja, która w artykule czwartym legalizuje „kierowniczą rolę” partii komunistycznej. O ile jednak ta sprzeczność stanowi dla opozycji poważny problem (w Pradze wiele osób właśnie dlatego odmówiło podpisania Karty 77), to

poważniejszym jeszcze problemem jest dla reżymu. Wypowiedzenie podpisu na Pakcie równoznaczne byłoby z wypowiedzeniem Umowy w Helsinkach, a na taki luksus Kreml nie łatwo może sobie w obecnych warunkach polityczno-strategicznych pozwolić.

Dodajmy, że w Pradze nikt nie spodziewa się skuteczniejszej interwencji Zachodu na rzecz ruchu obrońców praw człowieka. Sądzi się jednak, że cokolwiek Zachód w tej dziedzinie zrobi, to przede wszystkim we własnym interesie. Poza wpływem intelektualnie połączonej opozycji różnych krajów bloku wschodniego nie pozostają przecież nawet żołnierze sowieccy. Ujęci w karby surowej dyscypliny (budzącej u czeskich mieszkańców miast garnizonowych nawet współczucie, bo ich koszary bardzo przypominają obozy karne), mogą być uważani za niezawodne narzędzie polityki, a jak kruche jest ich morale okazało się na ulicach praskich w sierpniu 1968 roku, kiedy to pierwszy rzut, już po krótkim zetknięciu się ze społeczeństwem, trzeba było złuzować jako niepewny.

Podstawową cechą Karty 77, podobnie jak innych koncepcji nonkonformistycznych, jest długofalowość. Nikt nie spodziewał się przyjaznego przyjęcia ze strony obecnych reprezentantów reżymu, nikt nie oczekiwał, że niebawem zostaną wreszcie załatwione wszystkie skomplikowane problemy społeczne. Każdy zdawał sobie sprawę, że Karta jest tylko wytknięciem odległego celu, którego osiągnięcie poprzedzać będzie długa i niełatwa ewolucja.

Po raz drugi mogą oczekiwać zarzutu braku konsekwencji, bo przecież skład kierownictwa i całej partii komunistycznej w Czechosłowacji nie pozwala żywić nadziei na jakąkolwiek inicjatywę w kierunku alternatywy. Sądzę, że właśnie w tym niemal totalnym braku koncepcji, nawet w oportunistycznym kierownictwie i aparacie partyjnym, pozbawionym wszelkich bodźców ideowych i uprzedzeń, tkwi pewne uzasadnienie wszelkim bodźcom ideowym i reformistów poparli przecież w roku 1968 Husák i Strougal, członkami „kierownictwa dubczekowskiego” byli np. Švestka i Bilak, sekretarzami KC Indra i Lenárt. W razie konieczności nawet oni — a szczególnie drugi rzut: dzisiejsi sekretarze okręgowi i powiatowi — będą współdziałali w realizacji diametralnie innej polityki.

Zachód powinien nareszcie zrozumieć, że tę inną politykę będą ewentualnie realizowali komuniści (bo w państwie totalitarnym nikt inny nie ma do tego możliwości); inicjatywa i treść zmiany wyjdą jednak wyłącznie z kół pozapartyjnych. Kto liczy się na Zachodzie z nowym ruchem odnowy i reformy w szeregach partii (choćby miał do tego jakiegokolwiek powody) jak przed „Praską wiosną”, ten opiera swoje prognozy i rachuby na fikcyjnych przesłankach.

Vilém HEJL

## Kronika niemiecka

W tygodniku uchodzącym *Der Schlesier* ukazał się artykuł dr. Herberta Hupki omawiający w sposób nadzwyczaj nieprzychylny wizytę kardynałów Stefana Wyszyńskiego i Karola Wojtyły w Republice Federalnej. Hupka zarzucał kardynałom polskim, iż w swych wystąpieniach w RFN nie wspomnieli o ludności niemieckiej w Polsce, pozbawionej elementarnych praw mniejszościowych. Również wybór Polaka papieżem wyraźnie nie przypadł do gustu temu tygodnikowi: „Kardynałowie Wyszyński i Wojtyła, jak i cały Episkopat Polski, są bardzo nacjonalistycznie nastawieni”; bronili oni „rabunku” niemieckich ziem wschodnich dokonanego przez Polaków i bronią zawsze granicy na Odrze i Nysie. Malkontenci z *Der Schlesier* atakują równocześnie biskupów niemieckich, a zwłaszcza kardynała Hoeffnera, za propolskość i dążenie do pojednania niemiecko-polskiego „kosztem interesów niemieckich na wschodzie”. *Der Schlesier* zarzuca dalej biskupom niemieckim, że powtarzają „propagandowe antyniemieckie twierdzenia” o zamordowaniu przez Niemców 6 milionów Polaków, a jednocześnie pomniejszają liczbę ofiar „zbrodni polskich”. Artykuły w *Der Schlesier* i *Deutscher Ostdienst* świadczą o głębokim zaniepokojeniu wśród tych kół wyborem Jana Pawła II. ■ Tymczasem wielki dziennik konserwatywny *Die Welt* proklamował papieża Jana Pawła II „Człowiekiem Roku”: „Postać Jana Pawła II, polskiego papieża”, wyrasta wysoko ponad przeciętny poziom wydarzeń minionego roku. Ale na 'Człowieka Roku' predystynuje go jeszcze coś więcej. Stał się on symbolem wyczuwalnego w świecie odrodzenia religijnego, które jest reakcją na rosnącą złożoność życia codziennego, na rozczarowanie do haseł ideologicznych, na rozkład polityczny i moralny... ten papież ucieleśnia prawa jednostki ludzkiej w naszym masowym społeczeństwie. Prawo każdego człowieka do tego, by mieć własną, niepowtarzalną indywidualność” ■ Organizacja kolońska *Związku Liberalnych Studentów (LHV)* złożyła formalny wniosek na ogólnokrajowej konferencji *Związku o podjęcie solidarnościowej akcji dla poparcia polskich Studenckich Komitetów Solidarności (SKS)*. Wniosek został uchwalony: „Ruch międzynarodowej solidarności studenckiej, który w ostatnich latach nieco przygasł, powinien się odrodzić”. Młodzi liberałowie zastrzegają się, że „mieszając się do wewnętrznych spraw Polski, zdają sobie sprawę, że jest to uzasadnione i sprawiedliwe wówczas, gdy prawa człowieka są broniące zarówno na forum międzynarodowym jak i wewnętrznym”. Z zupełną racją argumentują dalej, że „niemieszanie się mogłoby doprowadzić tylko do zaostrożenia represji politycznych, i że proces odprężenia tylko wówczas może być aktywnie utrwalony, jeśli historyczne urazy nie będą pokonywane jedynie za pośrednictwem układów i dwustronnych porozumień”. Twierdzą też, że nie wystarczy wymienianie delegacji działaczy i podejmowanie rozwodnionych rezolucji; „potrzebna jest wolna od wszelkich tabu krytyczna dyskusja na tematy polityczne, ekonomiczne i kulturalne”. Studenci-liberałowie widzą dalej swe główne zadanie w systematycznym informowaniu niemieckiego środowiska studenckiego o polskim ruchu opozycyjnym. Wniosek i jego uzasadnienie zostało opublikowane w wydawanym w Wuppertalu piśmie *Radikaldemokrat*. ■ Jeden z dyrektorów firmy *Zimmer AG* z Frankfurtu n/Menem Klaus D. Comperl w imieniu swojej firmy przekazał na *Centrum Zdrowia Dziecka* czek opiewający na 100 tys. marek. ■ Nakładem *Wissenschaftliche Buchgesellschaft* w Darmstadt ukazał się podręcznik pt. *Grundzüge der polnischen Literatur-*

*geschichte (Zarys historii polskiej literatury)*. Autor, Dietger Langer, należy do młodszego pokolenia zachodniemieckich polonistów; wykłada w *Centrum Naukowym przy Uniwersytecie im. J. Liebiga* w Giessen. ■ Na Uniwersytecie w Bambergu została utworzona katedra filologii słowiańskiej. Ma być obsadzona i rozpocząć działalność z początkiem przyszłego letniego semestru. Rozważa się również umieszczenie w Bambergu polonistyki. Tamtejsza *Staatsbibliothek* rozpoczęła już zakup literatury w językach słowiańskich; początkowy budżet na urządzenie biblioteki wynosi 400 tys. marek. ■ Ksiądz dr Helmut Holzappel, dyrektor katolickiego pisma diecezji Würzburg — *Würzburger Katholische Sonntagsblatt*, wydał ostatnio pracę pt. *Kirche zwischen Oder und Ostsee* (238 str., 2 mapy, 97 fotografii oraz bibliografia). Książka w sposób popularny przedstawia historię kościoła dzisiejszych Ziemi Zachodnich od czasu chrystianizacji po dzień dzisiejszy ze szczególnym uwzględnieniem odrodzenia się katolicyzmu na tych terenach po roku 1945. ■ W Hamburgu odbył się kongres *Międzynarodowego PEN-Clubu* (sekcja pisarzy emigracyjnych krajów niemieckojęzycznych), na którym wybrano nowy zarząd: prezes — Gabriel Laub (Czech); sekretarz generalny — Bettina Vadasi-Flinker (Węgierka); skarbnik — Andrzej Chilecki (Polak). Uchwalono jednomyślnie rezolucję domagającą się zaprzestania represji i stosowania *Berufsverbotów* wobec pisarzy opozycyjnych w Związku Sowieckim, Czechosłowacji i Polsce. ■ Dyrektorem nowopowstałego *Deutsches Polen-Institut*, z siedzibą w Darmstadt, został, zgodnie z przewidywaniami, wybitny tłumacz literatury polskiej — Karl Dedecius. ■ W Toruniu zostało podpisane porozumienie między dwoma miastami — Toruniem a Getyngą (Göttingen). Władze miejskie obu miast przewidują współpracę w zakresie gospodarki komunalnej, budownictwa mieszkaniowego, konserwacji i restauracji zabytków, kultury, a także w sporcie i turystyce. Ponadto współpracę mają nawiązać uniwersytety i inne placówki naukowo-badawcze obu miast. ■ 9 grudnia 1978 roku powstał *Oddział Rady Narodowej R.P.* w Republice Federalnej. Przewodniczącym *Oddziału* w RFN został dr Ludwik Frendl. Wśród członków *Oddziału* najliczniejszą grupę stanowią nowi uchodźcy polityczni. *Zarząd Główny Z.P.U.* (prezes — Kazimierz Odrotny), pozostający pod wpływami *Stronnictwa Narodowego*, odrzucił propozycję współpracy z *Oddziałem Rady Narodowej*. Wielu członków *Z.P.U.* należy równocześnie do prorożymowego *Związku Polaków „Zgoda”* (Bochum). ■ W 1978 roku przybyło do Republiki Federalnej 36.100 przesiedleńców z Polski (70 % stanowią osoby narodowości niemieckiej z terenu Górnego Śląska). ■ W tygodnikach diecezjalnych w RFN ukazał się artykuł o *Tygodniku Powszechnym* pióra Reinholda Lehmana (sekretarz gen. zachodniemieckiego oddziału międzynarodowej organizacji *Pax Christi*) pod tytułem *Die Zeitung des Papstes (Czasopismo Papieża)*. ■ Wartość zachodniemieckiego eksportu do Chin tylko w pierwszym półroczu ub. roku wzrosła o 100 % osiągając kwotę 990 mln. marek. Mówi się już dzisiaj o nowych projektach, które swymi rozmiarami daleko wykrócą poza podpisany jesienią ub. roku 8-miliardowy kontrakt na rozbudowę chińskiego przemysłu węglowego. Rozważana jest także możliwość udzielenia Chinom przez banki RFN kredytu w wysokości 28 mld. marek na okres 10 lat. ■ W dniach od 19 do 29 stycznia br. odbyły się w Warszawie *Dni Kultury RFN*. Zaprezentowały się w stolicy: balet *Państwowej Opery* z Hamburga (*Sen nocy letniej* Szekspira) do muzyki Feliksa Mendelssohna-Bartholdy'ego; choreografia Johna Neumeiera), *Teatr Dramatyczny* ze Stuttgartu (sztuka Heinricha von Kleista *Kasia z Heilbronn* czyli *próba ognia* w reżyserii Clausa Peymanna) oraz inscenizacja sztuki J. W. Goethego *Ifigenia w Tau-rydzie*, również w reżyserii Clausa Peymanna). Na scenie *Teatru Żydowskiego* wystąpił znany zespół pantomimiczny *Pantomimistäten*, a w siedzibie *Teatru Baj* głośny *Teatr Lalki i Aktora Kaspertheater* z Mülheim (Pan-

*Pomponik Marty Stocker* i Giselli Lehmann); *Big Band* Petera Herbolzheimera koncertował w warszawskiej *Sali Kongresowej*. *Nowe formy realizmu* — taki był tytuł wystawy malarstwa i rysunku z Republiki Federalnej, która została otwarta w *Zachęcie* przez ambasadora RFN Wernera Ahrensa. Zaprezentowano ponad 70 prac 20 autorów z różnych ośrodków w RFN. ■ Karl Dedecius otrzymał tegoroczną nagrodę *Stowarzyszenia Autorów ZAiKS* za całokształt pracy translatorskiej. ■ Zachodniobrzeński *Społeczny Komitet Budowy Pomnika-Szpitala* przekazał czek na 23 tys. marek jako kolejny dar na *Budowę Centrum Zdrowia Dziecka*. Przedstawiciele zachodniemieckiej firmy *Aesculap* z Tuttingen przekazali dary na *Centrum* w postaci specjalistycznych instrumentów medycznych do mikrochirurgii. 100 tys. marek — to wartość daru przekazanego dla *Centrum Zdrowia Dziecka* przez zachodniemiecką firmę farmaceutyczną *Boehringer (Mannheim)*. ■ *W Domu im. Alexandra Schrödera* w Würzburgu (Bawaria) — prof. Stanisław Stomma wygłosił odczyt pt. *Chrześcijańskie tradycje Europy, jako pomost do budowania wspólnej przyszłości?* Podczas ożywionej dyskusji prelegent zaskoczył zebranych stwierdzeniem: „Dzisiejszą politykę zagraniczną PRL-u popiera cały naród”... ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* zamieściła wielospaltowy artykuł pióra Angeli Nacken pt. *1.167.000 zapomnianych Polaków (W ojczyźnie nie wolno głośno mówić o rodakach żyjących w Związku Sowieckim)*. ■ *Deutsch-polnische Kulturaustausch und seine Probleme (Problemy niemiecko-polskiej wymiany kulturalnej)* — taki tytuł nosi najnowsza praca wydana staraniem *Herder-Institut* w Marburgu w serii *Dokumentation Ostmitteleuropa* (zeszyt 5/1978). ■ W renomowanym miesięczniku naukowym *Osteuropa (Stuttgart-Aachen)* ukazał się obszerny artykuł Xavera Mooshütterta pt. *Polens Nachbar im Westen: Deutschland (Sąsiad Polski na Zachodzie: Niemcy)*, omawiający szczegółowo tezy *Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (PPN)* w kwestii niemieckiej. W tym samym numerze pisma (Nr 2/1979) opublikowano w całości w tłumaczeniu na język niemiecki dokument *PPN* pt. *Polska a Niemcy*. Analiza Mooshütterta wzbudziła spore zainteresowanie w bońskich kołach rządowych i wśród czołowych polityków *CDU/CSU*. Miesięcznik *Osteuropa* jest wydawany przez *Deutsche Gesellschaft für Osteuropakunde (Niemieckie Towarzystwo d/s Badań nad Europą Wschodnią)*, któremu patronuje *Auswärtiges Amt*. ■ Ukazał się również „polski” numer dwumiesięcznika bawarskiej *CSU — Politische Studien* (Jan./Feb. 1979): Josef Becker omawia hipotekę historii obciążającą stosunki między Polakami a Niemcami; Hans hr. Huyn (ur. w Warszawie) pisze o misji Kościoła i działalności opozycji w Polsce; Adolf Hampel zastanawia się czy „polski papież może zmienić świat”. Natomiast bp opolski, dr Alfons Nossol obszernie informuje czytelników o sytuacji Kościoła w Polsce.

Andrzej J. CHILECKI



## Sprawy i troski

### List do lotników

Hamilton, Ontario, Canada,  
wrzesień 1976 r.

Koledzy i Koleżanki,

Dzisiejszy Zjazd pozornie wygląda na jeden z bardzo wielu zebrań tego rodzaju, organizowanych zarówno przez zarząd Stowarzyszenia Lotników Polskich w Londynie jak i przez poszczególne lokalne koła. Ale zjazd zjazdowi nie równy. Na obecny zjazd nasi gościnni Gospodarze zaprosili wszystkich, którzy byli członkami lotnictwa polskiego na wygnaniu, niezależnie od tego gdzie po wojnie każdy z nich chciał czy musiał się osiedlić, lub jakich jest poglądów politycznych. Wychodzili bowiem ze słusznego założenia, że łączą nas li-tylko więzy koleżeństwa, wspólne przeżycia przez udział w zbrojnym wysiłku, dzięki któremu Polska została na mapie geograficznej Europy.

Zapraszając mnie, aby przewodził temu Zjazdowi, chcieli mieć pewność, że będzie on utrzymany na tym właśnie poziomie, bez żadnych „jednogłośnych” uchwał o „niezłomności” i „wiernopoddańczych” telegramów lub listów na te tematy. Ja zaproszenie przyjąłem, bo mi taki pogląd bardzo odpowiada, a poza tym mam osobisty cel wykorzystania tego Zjazdu jako skrzynki pocztowej. Zanim wyjaśnię o co mi chodzi, chcę się Kolegom przedstawić.

Mam doświadczenie w podobnych do naszego zjazdach, bo brałem udział w trzech wojnach: w pierwszej światowej; w wojnie o niepodległość 1918-1920; no i razem z wami w drugiej światowej. W pierwszej wojnie, ze zrozumiałych powodów, byłem chyba najgorszym żołnierzem carskiej armii, ale w wojnie 1918-1920 i w drugiej światowej — starałem się być dobrym żołnierzem.

Bez pomocy stowarzyszeń już nie istniejących, jeszcze teraz udaje mi się spotkać koleżków z tych okresów i pogadać o dawno minionych czasach i przeżyciach. Nie tak dawno polecałem na Florydę odwiedzić naszego kolegę, pioniera lotnictwa, Jerzego

Rudlickiego i tam zorganizowaliśmy „zjazd”, składający się z nas dwóch — uczestników pierwszej wojny światowej. W Montrealu też mam kolegów z tych wojen. Regularnie mamy spotkania, na których, *nota-bene*, zajadłe się kłócimy na tematy polityczne, ale mimo to nadal się spotykamy.

Mam też coś do powiedzenia o lotnictwie, które jest moją nieuleczalną chorobą od szczenięcych lat. O braciach Wright i przelocie Blériot'a przez kanał la Manche już samodzielnie wysyłałem wiadomości z gazet, entuzjazmowałem się Lindbergiem i ciężko przeżyłem niezasażone niepowodzenie i śmierć mego kolegi i przyjaciela Idzikowskiego. Brałem udział jako szef załogi w locie doświadczalnym LOTU z Los Angeles do Warszawy przed ostatnią wojną. Słowem obserwowałem, brałem udział, a teraz znowu obserwuję niepowstrzymany postęp lotnictwa światowego, które powstało w okresie mego świadomego życia. Jestem pierwszym pilotem całkowicie wyszkolonym w niepodległej Polsce i moje lotnicze wyższe studia zawdzięczam stypendium Lotnictwa Polskiego. Pracowałem dla Lotnictwa polskiego, zarówno wojskowego jak i cywilnego, a gdy te możliwości ustały, pracowałem dla lotnictwa międzynarodowego z ramienia Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Mam też doświadczenie emigracyjne. Licząc zakaz zamieszkania „Królestwa Polskiego” pod zaborem carskiej Rosji dla mego dziada i zarobkową emigrację mego ojca na Ukrainie i w Rosji, jestem emigrantem w trzecim, a mój syn i wnuki — w czwartym i piątym pokoleniu.

Byłem też pierwszym prezesem i jednym z organizatorów „Samopomocy Lotniczej”, która obecnie przyjęła nazwę „Stowarzyszenia Lotników Polskich”. Wiem co nam przyświecało i jak to teraz wygląda i obawiam się o kierunek w jakim podążamy.

Słowem, SLP i spadek, jaki po sobie zostawia, bardzo mnie obchodzi. W przyszłym roku — jeżeli dożyję — będę obchodził osiemdziesiątkę. Doświadczenie życiowe nagromadziło się, skłeroza jak na razie mnie oszczędza i widzę niektóre sprawy dużo jaśniej niż przedtem.

Od dobrych kilku lat, dokładnie od obchodu 25-lecia SLP, zadaję sobie pytanie, które nasuwa się prawie każdemu z nas: „Co dalej?”, a drastycznie mówiąc: kto zorganizuje obchód 50-lecia Stowarzyszenia, a przede wszystkim co my, jako Stowarzyszenie Lotników Polskich, po sobie zostawimy?

Wydajność mojej próby wymiany myśli z naszym prezesem i zarządem w Londynie można tylko porównać z wydajnością „korespondencyjnego kursu boks”.

Nie jestem ani zarozumiały ani skromny, w nieomylną nie wierzę ani w swoją ani innych. Wymiana listów z prezesem i zarządem miała na celu pobudzenie myśli i wywołanie owocnej dyskusji na łamach *Skrzydeł* i zebraniach.

Ponieważ jednak moje poglądy na sprawę są odmienne od *policy matters*, zaadoptowanych przez zarząd, moje wystąpienia pisemne były albo zbyt milczeniem, albo kastrowane i mylące,

a w każdym razie nie były podawane do wiadomości Kolegom na szerokim świecie.

Nie mam prawa i nie żądam być „posłuchanym”, ale mam przekonanie, że zarówno ja, jak i każdy senior lotnictwa polskiego, ma prawo „być wysłuchanym”.

Życie to ciągła walka. Osobiście poddawałem się tylko nieubłaganym ciosom losu.

W tym konkretnym wypadku jednak, jeżeli mi życia wystarczy, będę walczył dalej. Chcę zejść z tego świata z przekonaniem, że zrobiłem wszystko aby opromienieni chwałą lotnicy polscy zostawili po sobie coś więcej niż smutną pamięć skłóconej o awanse i inne wyróżnienia wątpliwej wartości emigracji.

Skrót mojego podejścia do naszych problemów otrzymają Koledzy przy pożegnaniu. Otrzyma go również zarząd w Londynie. W razie potrzeby będę szukał też innych środków poinformowania reszty Kolegów.

Dziękuję Gospodarzom za możliwość tego wystąpienia, a obecnym Kolegom za cierpliwe wysłuchanie.

Życzę Kolegom przyjemnego Zjazdu.

W. MAKOWSKI



Wydanie 2-gie

Rockburn, Canada,  
Lato 1976 r.

W. MAKOWSKI

LIST OTWARTY DO LOTNIKÓW  
BYŁYCH CZŁONKÓW POLSKICH SIŁ POWIETRZNYCH  
W WIELKIEJ BRYTANII W LATACH WOJNY 1939-1945

Koledzy,

Przez bez mała 40 lat tułaczką, jeżeli nie potrafiłem pokochać Anglosasów, to zdobyli oni mój głęboki i szczerzy szacunek, bo przejąłem od nich wiele zalet, których nam Polakom brakowało i, jak widzę, ciągle brak. Szczególnie upamiętniłem sobie ich zasadę, wpajaną swoim od młodości a w nas od początku wojny, że bujać można, a dla wyższych celów nawet trzeba, ale broń Boże nie wolno dać się zabujać, a specjalnie niebezpieczne jest zabujanie się przez samych siebie.

Objawy zbiorowego zabujania się przez samych siebie w Stowarzyszeniu Lotników Polskich są zbyt wyraźne, żeby je lekceważyć. Najwyższy czas, o ile już nie jest za późno, postarać się dotknąć ziemi nogami, może to też wyciągnie głowy z chmur i oparów samo-zabujania się.

SLP od założenia było Stowarzyszeniem byłych żołnierzy lotnic-

stwa polskiego w celu utrzymania więzi koleżeńskiej wzajemnej pomocy i zachowania naszych pięknych tradycji. Zostaliśmy na obczyźnie aby być wolnymi ludźmi, rozsypało nas po świecie, jesteśmy luźnym związkiem ludzi z rozmaitych warstw społeczeństwa, o bardzo różnych poglądach politycznych.

Osobiście polityki nie lekceważę. Polityka to bardzo ważna dziedzina działania emigracji, jej politycznych partii lub organizacji, jednoczących ludzi o wspólnych poglądach jak najlepiej służyć Ojczyźnie, emigracyjnym pisarzy i komentatorów politycznych.

Każdy z nas członków SLP może i powinien w tym brać udział, ale broń Boże nie na terenie Stowarzyszenia stworzonego do zupełnie innych celów.

Nieszczęśliwa zmiana podstawowych założeń i celów SLP, a ostatnio wplątanie go do skądinąd bardzo chwalebnej akcji politycznej (zjednoczenie władz na emigracji), mimo powodzenia, nie przyniosła naszemu Stowarzyszeniu żadnego pożytku. Przeciwnie, razem z bardzo zrozumiałą opinią, że nasze Stowarzyszenie zostało użyte jako odskocznia polityczna przez inicjatorów tej akcji, wywołały protesty i odsunięcie się wielu cennych członków od czynnego udziału w życiu SLP.

Stopniowo ale skutecznie członkowie naszego, od założenia apolitycznego, Stowarzyszenia zostali przemaslowani na emigrację polityczną ze swoim programem wyrażonym w „deklaracji ideowej SLP” i jego hasła „Nasz cel: powrót do Wolnej Polski”.

Deklaracja ideowa, napisana z talentem i ze swadą, składająca się z górnolotnych aksjomatów patriotycznych, wzywających do walki nas i nasze przyszłe pokolenia, nie wiem, prawdę powiedziawszy, dla kogo została napisana?

Nas, członków SLP, niedobitków krwawego wysiłku zbrojnego, patriotyzmu uczyć nie trzeba. Wzywać do walki ludzi zerkających coraz częściej na oborę księżowską (średni wiek 60-70 lat) też mija się z celem.

Nasz cel: powrót do Wolnej Polski. Jeszcze jeden górnolotny slogan, nie wiadomo dla kogo pisany. Dla nas weteranów już mało aktualny. Dla naszych wnuków wręcz niemożliwy, przecież wrócić można tylko tam skąd się wyszło. Można mówić o emigracji wnuków do przyszłej wolnej Polski. Dla wyjątków jednak hasła się nie głosi, ani przyszłości na tym się nie buduje.

Od naszych dzieci, wnuków itd., prócz dumy ze swego pochodzenia i z polskiej krwi płynącej w ich żyłach, nie mamy moralnego prawa żądać niczego więcej jak:

1) pełnej lojalności w stosunku do krajów przez nas wybranych a dla nich już swych własnych ojczyzn;

2) świadomości, że są wolnymi ludźmi dzięki ciężkim walkom, w których ich przodkowie brali czynny i skuteczny udział i ponieśli ciężkie straty;

3) świadomości, że Polska nie jest jeszcze krajem wolnych ludzi, mimo zwycięskiego zakończenia wojny;

4) lojalności w stosunku do kraju pochodzenia i obowiązku pomocy w jego zmaganiach w walce o wolność.

Może więc deklaracja jest lekcją patriotyzmu dla Kraju? Byłaby ona przyjęta z goryczą.

Naród polski wziął na przetrzymanie i ciężko walczy o lepsze jutro, nie prosząc o pomoc. Od wolnych Polaków spodziewa się zrozumienia, serca i co najmniej świeżego powiewu wolności z Zachodu, a nie lekcji patriotyzmu.

Jak na razie my, SLP, dajemy Polakom w Kraju wyraźnie do zrozumienia: Mimo że wy jesteście uwięzieni, nie możemy wam pomóc, bo musielibyśmy się porozumieć z zarządem więzienia, a my z takimi ludźmi kontaktu, ze względów zasadniczych, mieć nie chcemy.

Dużo mam szacunku do prof. Lipińskiego (komunisty) za jego odważny list otwarty do sekretarza Gierka bez oglądania się na bardzo poważne konsekwencje jakie za ten czyn poniesie. (*Kultura* Nr 6/345, 1976). Mniej dla wolnego Polaka, który upaja się patriotyzmem deklaracji ideowej, ale dla młodzieży w Kraju nic nie chce zrobić.

Obecny reżym w Polsce nas mierzi, ale tak samo mierzi on znakomitą większość społeczeństwa polskiego w kraju; my możemy sobie pozwolić na luksus krytyki, ale całe społeczeństwo w kraju zależy od reżymu, musi się z nim bardzo liczyć, współpracować i osiągać pozytywne wyniki, mimo beznadziejnego systemu opartego na taniej, prawie niewolniczej pracy. Dzięki takiemu stanowisku społeczeństwa, postęp w Polsce w rozmaitych dziedzinach jest duży, społeczeństwo jest dumne z rezultatów, cieszy się każdym pozytywnym osiągnięciem. Argument że każde pozytywne osiągnięcie w kraju wzmocnia reżym, może jest i słuszny, ale postęp Polski, nawet osiągnięty przez ujarzmione społeczeństwo, jest koniecznością dziejową. Reżym się zmieni, postęp zostanie i będzie podstawą do dalszego szybszego rozwoju.

Cieszyłem się jak dziecko z sukcesów olimpijskich polskich zawodników; z dużym zadowoleniem przyjąłem otwarcie przez LOT linii do New Yorku i Montrealu; cieszą mnie rezultaty osiągnięte przez polskie lotnictwo sportowe, specjalnie szybownictwo, ukoronowane przyznaniem przez FAI medalu Lilientala 1976 szybownicze polskiej; cieszę się z odbudowy Zamku i z postępów uprzemysłowienia kraju; martwię się trudnościami wynikającymi z beznadziejnego systemu gospodarczego, a specjalnie gatunkiem polskich wyrobów i wydajnością zakładów przemysłowych. Słowem, jestem normalnie myślącym Polakiem, który nie stracił wiary w Polskę i zdającym sobie sprawę że Polska jest tam a nie tu na emigracji. Może pomaga mi w tym fakt, że nie wierzę w komunizm. Szczególnie on, jak szczęły inkwizycja, niewolnictwo, pańszczyzna, zatrudnienie dzieci w kopalniach, *Herrenvolk*'i i inne paroksyzmy ludzkości.

Dziwię się trochę, że nasz zarząd SLP tak na ten reżym nastaje. Metody stosowane przez obecny zarząd są bardzo zbliżone do metod rządów w Polsce: cały czas się mówi o demokracji, Sto-

warzyszenie przerabia się na jednolitą partię (w jedności siła) z kanonami nie do dyskusji (nie wolno kłaść świętości narodowych), kto nie z nami, to przeciw nam, wobec tego sroga cenzura i zwalczanie nawet jak najbardziej lojalnej opozycji, jak nie można inaczej to milczeniem.

„Narodowi naszemu,  
co zdradą i gwałtem jest dziś powalony  
a przecież na przekór wrażym zakusom duchem niepokonany  
stoi służyć będziemy wiernie  
świadomi i dumni, że  
będąc jednej z nim krwi  
należymy do niego  
mimo dzielących nas od Polski przestrzeni”.

Te piękne słowa deklaracji ideowej załatwił nasz zarząd jedynym z *policy* zarządzeniem. „Sprawa młodzieży w kraju z tym, że jak dotychczas pieniądze dla kraju — to jedynie pomoc dla rodziny lotniczej zamieszkałej w kraju z naszego funduszu społecznego”. Cytata z listu sekretarza gen. SLP. „O współpracy nie ma mowy, bo ona byłaby tylko możliwa przez reżym”. Cytata z listu prezesa SLP.

Prezesie-generale, ja jako żołnierz z diabłem bym współpracował, żebym wiedział że to Polsce pomoże.

W warunkach polskich w kraju każdy Polak jest niejako urzędnikiem państwowym (zatrudnionym przez reżym). wobec tego współpraca SLP z „Narodem duchem niepokonanym” jest w ogóle wykluczona. Nawet naszych Kolegów, którzy z rozmaitych względów wrócili do kraju, uważa się za „zadzumionych” i kontakt z nimi za niewskazany.

Ta hipokryzja, wynikająca z „samozabuwania się”, nasuwa mi drastyczne porównanie z dorastającym młodzieńcem, który pozuwszy „wołę Bożą”, boi się kontaktu z dziewczynami ze strachu przed V.D. i woli ten zew natury załatwiać przez onanizm. Daje mu to dużą niezależność, nawet może sobie pozwolić na „niezłomność” i absolutną pewność nie zarażenia się. Jednak z tego na pewno nic się nie urodzi dla przyszłości.

„Onanizm patriotyczny” byłoby właściwym określeniem *policy* naszego Stowarzyszenia w stosunku do „Narodu, co zdradą i gwałtem jest dziś powalony a przecież na przekór wrażym zakusom duchem niepokonany stoi”.

Z natury rzeczy, za ten zupełnie fałszywy kierunek, w którym idzie SLP, jest odpowiedzialny nasz prezes, który albo sam pcha SLP w tym kierunku i potrafił innych osiągnąć za sobą, albo został w to wciągnięty i palcem nie kiwnął żeby SLP z tego ślepego zaułka wyciągnąć.

A to takie proste, Panie generale-prezesie, trzeba było tylko oprzeć się na tradycjach wojskowych. Wojsko — za które my się stale uważamy — służy tylko Narodowi i do polityki nie miesza się.

Według mnie, rząd polski na emigracji to symbol protestu przeciwko narzuconym przez przemoc rządowi w kraju. Politycy, komentatorzy polityczni, pisarze powinni robić i robią to z mniejszym lub większym powodzeniem, wywlekając spustoszenia jakie w kraju robi komunizm, przede wszystkim jako organ imperializmu bolszewickiego.

A my, weterani, nawiązując apolityczny kontakt z młodzieżą w kraju, ofiarując jej stypendia na Zachodzie, na skalę na jaką nas stać i przyjmując ją z otwartymi ramionami, moglibyśmy (i jeszcze możemy) stać się łącznikiem między tą młodzieżą a wolnymi Polakami.

To byłoby moje „credo” i tak zwane *policy* dla SLP.

Napisał mi generał-prezes, że nie popiera żadnej partii politycznej i jeżeli stosuje politykę to tylko patriotyczną. To jest absurd z punktu widzenia zasad demokratycznych. Każda partia forsując swój program jest przekonana, że on jest najlepszy dla dobra kraju, tzn. każda partia jest patriotyczna. Nie wierzę w komunizm, ale mogę sobie łatwo wyobrazić, że partia ideowych komunistów tak samo może być patriotyczną. Mierz nas więcej niż komunizm fakt, że komuniści w Polsce rządzą nie z woli narodu, ale z woli i pod dyktando potężnego sąsiada.

To nie jest zbieg okoliczności, że jedyna apolityczna działalność SLP nie nasuwa u nikogo wątpliwości i jest popierana przez wszystkich członków SLP. Jest to pomoc potrzebującym Kolegom i wdowom po poległych towarzyszach broni.

Szczęść Boże i serdeczne dzięki kierownikom i pracownikom tego działu w SLP.

Budzenie sumienia społeczeństwa brytyjskiego w czasie corocznego obchodu *Battle of Britain* jest też działalnością wzbudzającą uznanie wszystkich, wzmacnia to nasz Fundusz społeczny i przypomina Brytyjczykom o niespłaconym długu w stosunku do Polski. Pomaga nam w tej akcji fakt, że Brytyjczycy, o ile w polityce są bez skrupułów (mimo formalnych zobowiązań i uroczystych przyrzeczeń, za naszą pomoc, za nasze ofiary, trudy i znój — wykołowali nas na Bartków zwycięzców), w stosunkach ludzkich starają się być przyzwoici. Pomagają nam, ale z nogami stojącymi mocno na ziemi. Na przykład: dom dla potrzebujących starszych Kolegów nam kupili i pozwalają nam go urządzić. Ale *lease* jest na 25 lat, wiedząc że nam on na dłuższą nie będzie potrzebny. Po tym terminie urządzony dom wróci do nich. A szkoda że nieruchomości nie jest własnościowa, bo można by ją było w testamentie zapisać na cele narodowe — POSK albo inne. Mądry naród, trudny do pokochania, ale dużo można od niego się nauczyć.

Nasze pismo *Skrzydła* mogłoby być też wielkim sukcesem, gdyby od początku unikało politycznych artykułów (Dzienniki, tygodniki a specjalnie *Kultura* w Paryżu to znacznie lepiej robią), a ograniczyło się do wspomnień wojennych, tradycji lotniczych, obchodów, opisów dni zadusznych i apelów poległych, poszukiwań krewnych itp. Byłoby wtedy nie tylko materiałem histo-

rycznym o dużej wartości, ale i dostępną i ciekawą i pouczającą literaturą dla młodzieży w kraju, siejąc kult dla pięknych tradycji, powstałych od zarania lotnictwa. *Kultura* pozostałaby tym czym jest — zakazaną ale najwięcej poszukiwaną literaturą światowego społeczeństwa, no i U.B., co prawda z innych powodów i dla innych celów. Jak to teraz stoi, *Skrzydła* są też zakazanym pismem w Polsce — tylko że nie poszukiwanym.

Teraz przechodzę do sedna sprawy — co dalej.

O żadnym ogólnym zezbraniu b. lotników, gdzie byśmy mogli sprawę przewentylować i dla dobra SLP sobie do oczów skoczyć, mowy nie ma, zanadto nas rozsypało po świecie. Zostaje tylko droga apelu do rozumu i patriotyzmu.

„Miłość żąda ofiary” (hasło wyhaftowane na sztandarze lotnictwa).

Zwracam się więc do prezesa SLP, co do patriotyzmu którego nie mam wątpliwości, aby przemyślał zagadnienia poruszone w tym liście i przede wszystkim aby spowodował ogłoszenie tego listu i swoją odpowiedź w „Skrzydłach”.

Specjalnie zwracam się do Kolegów z Wielkiej Brytanii (największe zgrupowanie b. lotników na emigracji), aby wykrzesali z siebie energię w końcowym okresie istnienia SLP, do opracowania testamentu SLP. Zaznaczam i podkreślam, że nie chodzi o żadną szybką likwidację kół i domów lotniczych, niech służą jak najdłużej naszej sprawie. Teraz chodzi tylko o ustalenie zasad postępowania na czas gdy nieubłagane prawo natury zastępuje swój regulamin w stosunku do nas weteranów i w konsekwencji do naszego weterańskiego Stowarzyszenia na emigracji i jego kół.

Jeżeli zupełnie nic nie zrobimy, to zostaną po nas cmentarze, pomniki i legenda błyskotliwego zbrojnego wysiłku lotników polskich na emigracji. To już jest dużo. Cmentarze i pomniki są trwałe, a legenda, która już rośnie, będzie dalej rosła i piękniała. Będzie ona mówiła o cudzie zjawienia się tysięcy lotników i pomocniczego personelu, którzy własnym sumptem prawie przedarli się przez całą Europę ze zmiażdżonej przez dwóch potężnych sąsiadów Polski do Wielkiej Brytanii. Zjawili się w czasie i w liczbie, które mimo trudności językowych pozwoliły przeważyć szalę zwycięstwa w *Battle of Britain*, jednej z najważniejszych bitew Drugiej Wojny Światowej. Będzie mówiła o ich odwadze i zacięciu w boju, wynikających z miłości do Ojczyzny, i o ich tragedii po zwycięskim zakończeniu wojny.

Przyjdzie znowuż czas, że nie będzie ani nas, ani SLP, ani Rządu na emigracji. Wierzę, że zostanie P.O.S.K. ze skarbami historycznymi i daj Boże *Kultura* jako strażniczka niefałszowanej historii i literatury polskiej w smutnym okresie, który nie wiadomo jak długo będzie jeszcze trwał. Do tej wizji chcę dostosować projekt Testamentu SLP, który w skrócie tu poniżej przedstawiam:

1) Po najdłuższym życiu SLP i jego Kół, majątek Stowarzyszenia przechodzi stopniowo jako pożyczka do P.O.S.K.

- 2) Od tej pożyczki P.O.S.K. płaci procenty na stworzenie Fundacji Lotników, procenty mają być bardzo niskie ale określone w wartościach nie ulegających inflacji i deprecjacji.
- 3) Fundacja SLP jest używana na:
  - a) stypendia dla młodzieży z Polski na studia za granicą w dziedzinie lotnictwa przede wszystkim szybownictwa, lotnictwa sportowego i transportowego,
  - b) stypendia dla potomków członków SLP na studia przede wszystkim w Polsce,
  - c) dotacje na fundusz *Kultury*,
  - d) Fundacja SLP przyjmuje darowizny i zapisy na te same cele.

Proszę Kolegów o przyjęcie tego listu według jego intencji, to nie jest warcholstwo lecz wyraz wielkiej troski starego człowieka, waszego kolegi, jaki spadek Lotniczy opromienieni chwałą po sobie zostawią. Jeżeli kogoś dotknąłem, mniejsza o to, to się w walce zdarza, ale wszystkich którzy czują się obrażeni z góry przepraszam. Obrazić nikogo nie chciałem.

O ile pamiętam, był parę lat temu w *Skrzydłach* artykuł Kolegi Palucha o konieczności spisania testamentu przez każdego zdrowo myślącego człowieka. Podkreślał on, że testament powinien być napisany zawczasu, gdy człowiek jest w pełni swych sił umysłowych, a nie podyktowany słabym głosem na łożu boleści. Nie mam wątpliwości, że te same zasady muszą być zastosowane dla naszego Stowarzyszenia, bez czekania aż skleroza starości wyjałowi nasze mózgi.

Na zakończenie zwracam się do oficerów byłych dowódców lotniczych jednostek, od dowódców eskadr wzwyż i równorzędnych oficerów służb pomocniczych i sztabów.

W skali naszego Stowarzyszenia przeżywamy historyczną chwilę podjęcia zasadniczej decyzji. Trzeba udowodnić, że wybór nas na dowódców był słuszny i że posiadamy walory przywódców. Największa grupa byłych dowódców jest w Wielkiej Brytanii. Proponuję aby najstarszy z nich zorganizował zebranie do przedyskutowania zagadnień poruszonych w moim liście i jeżeli one znajdą poparcie dużej większości, wybrać kilku, którzy będą reprezentowali nas, b. dowódców, w rozmowach z naszym prezesem.

Ja się nie zgadzam z opinią Kolegi śp. F. Połturaka, powiernika SLP, że nasz prezes żąda absolutnego posłuszeństwa. Nasz prezes ma kolosalne zalety: karierę wojskową chwałą okrytą, silny charakter, zacięcie w osiągnięciu swych celów, zdolność przekonywania i pociągnięcia za sobą ludzi nie związanych już dyscypliną wojskową, i jeżeli dobrze się orientuję, ma mir u wielu naszych członków, przywódców pokrewnych organizacji, władz emigracyjnych polskich i u władz angielskich i jest łącznikiem między nimi.

Ma i wady: brakuje mu wizji przyszłości i zdolności dobiegania sobie dobrych doradców. W każdym razie jest bezwzględnie wart żeby starać się go przekonać.

Statut jest źle napisany, między innymi też *mea culpa* jako jednego z organizatorów Samopomocy Lotniczej. Zmiany są trudne, bo nie odpowiadają otoczeniu prezesa, ale w krytycznych momentach nie warto się grzebać w legalnych paragrafach i trzeba zastąpić je nadrzędnymi metodami. Stawiam wniosek zaproponowania prezesowi zbadania opinii przez imienne głosowanie wszystkich b. członków lotnictwa w Wielkiej Brytanii przez zorganizowanie referendum, gdzie każdy nasz Kolega odpowie na dwa pytania:

#### Pytanie pierwsze

- a. Czy jest za tym aby kontynuować polityczną działalność SLP.
- b. Czy jest za tym aby prowadzić działalność SLP ściśle apolityczną, z nawiązaniem kontaktu z Krajem przez pomoc młodzieży z lotnictwa cywilnego.

#### Pytanie drugie

Jakie zasady testamentu SLP popiera:

- Wniosek kole. Makowskiego.
- Wnioski komisji przyszłości SLP.
- 
- 

(—) podpis

Każdy biorący udział w referendum ma postawić krzyżyki w odpowiednich kwadratach i podpisać się.

Wyrok referendum, nadrzędny nad decyzjami Walnego Zgromadzenia (operującego głosowaniem przez delegatów z możliwością zaliczania tzw. „martwych dusz”), będzie przyjęty przez nas wszystkich z pokorą, zgodnie z zasadami prawdziwej demokracji.

Czekam z niecierpliwością na reakcję na mój list przede wszystkim od b. dowódców Lotnictwa jak również od Kolegów czujących potrzebę napisania do mnie.

Jestem stary i zmęczony i potrzebuję podniety w mojej akcji. Ten list to pewnie mój ostatni zryw w walce o lepsze jutro dla Polski i o testament SLP godny pamięci naszych poległych Kolegów.



W moim własnym testamencie proszę syna, aby ciało spalił a prochy podzielił do rozsypania: nad Polską, której przez całe życie wiernie służyłem, na mogile naszej córki w Kanadzie, w kraju który okazał się dla mnie najlepszą macochą jaką człowiek może sobie wyobrazić, nad Atlantykiem, gdzie o polskie linie

ciężko walczyłem, i na cmentarzu w Newark (podczas apelu poległych w Dzień Zaduszny) jako symbol mojego hołdu dla młodych żyć złożonych w ofierze w walce o wolność.

Z koleżeńskim pozdrowieniem,

W. MAKOWSKI

374 Clarke Avenue  
Westmount, Montreal, Que.  
Canada H3Z 2E6.

## Drażliwa sprawa

W październiku 1974 roku O. Michał Zembrzusi, Wikariusz Generalny Zakonu Ojców Paulinów w Stanach Zjednoczonych, złożył publiczne oświadczenie, że Sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej w Doylestown, zbudowane dla uczczenia Tysiąclecia Chrześcijaństwa Polski znalazło się w katastrofalnej sytuacji finansowej. Określił wtedy sumę zadłużenia na 5 milionów dolarów. Wkrótce, pod naciskiem władz kościelnych O. Zembrzusi ustąpił z zajmowanego stanowiska Dyrektora, a w Amerykańskiej Częstochowie została zainstalowana nowa administracja. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że dług Sanktuarium przekraczał znacznie cyfrę podaną przez O. Zembrzuskiego i oscylował między 7½ a 8 milionów dolarów. W październiku 1975 roku, Arcybiskup Filadelfii Jan Kardynał Król objął honorowe przewodnictwo Komitetu Ratowania Amerykańskiej Częstochowy i zwrócił się do wszystkich diecezji amerykańskich, zakonów męskich i żeńskich, parafii polskich, oraz Polonii z apelem o pomoc. Podobno ta zbiórka przyniosła dotychczas przeszło 6 milionów dolarów.

Chociaż dzięki temu znaczna część należności bankowych została spłacona i bezpośrednio niebezpieczeństwo bankructwa zagrożone, to te wszystkie perturbacje zahamowały dalszy rozwój Sanktuarium. Nasuwają się pytania, jak do tej katastrofy w ogóle doszło, i dlaczego, pomimo widocznego wyprowadzania Amerykańskiej Częstochowy z chaosu finansowego, ciągle jeszcze istnieje daleko idące pomieszanie pojęć na ten temat.

Przestudiowałem na nowo wszystkie dokumenty, które są w moim posiadaniu, jako architekta Amerykańskiej Częstochowy, i wyniosłem wrażenie, że za ten stan rzeczy winę ponosi głównie nieodpowiedzialna publicystyka Sanktuarium. Prawdopodobnie najwięcej szkody wyrządziło notoryczne publikowanie nieprawdziwej wersji, że początkowy trzymilionowy budżet budowy został

przekroczony o 100 %, czyli o dalsze trzy miliony dolarów. (*Vide Kultura* Nr 6/333, 1975, artykuł ks. W. Sojki „Amerykańska Częstochowa”). Miało to się stać dlatego, że jak O. Zembrzusi poinformował ks. Sojkę, a ten z kolei czytelników *Kultury*: „... materiały budowlane drożały w sposób zastraszający na skutek monopolizacji handlu drzewem, dyktą i gotowymi produktami, takimi jak drzwi i meble”, a poza tym „płace pracowników budowlanych szły też w górę na skutek strajków i całej polityki na tym odcinku” (*tamże*). To dramatyczne nagromadzenie wszystkich możliwych komplikacji gospodarczych, które miały się zdarzyć właśnie w okresie, kiedy budowaliśmy Amerykańską Częstochowę podkopywało jego wiarygodność.

Ustalenie tej wersji tłumaczyłoby wprawdzie zaskakującą wysokość długu i tym samym zdjęłoby z bark kierownictwa Sanktuarium odpowiedzialność za jego istnienie, ale przekroczenie budżetu budowy o więcej niż 100 % musiało wydać się nieprawdopodobne wtedy, kiedy inne ceny wzrosły tylko mniej więcej o 22 %, w tym dwu i pół letnim okresie budowy, kiedy inflacja wahała się między 10 % a 12 % rocznie. Zaczęto więc ogólnie podejrzewać rozrzutność, brak kontroli w czasie budowy, ekstrawaganckie wynagradzanie architekta itp. Piszę o tym, bo na ten temat otrzymałem listy wyrażające zdziwienie i oburzenie, że dopuściłem do takiego skandalu i nie tylko zawiodłem zaufanie, jakim mnie obdarzono, ale także utoczyłem się na groszu polonijnym.

Obserwowałem ten rozwój wypadków ze szczególnym niepokojem, ponieważ dokumenty, które są w moim posiadaniu mówią, że chociaż informacja O. Zembrzuskiego, potwierdzona nieco precyzyjniejszą notatką wydrukowaną w paulińskim miesięczniku *Jasna Góra* z maja 1965 roku („Our Progress Report”) określająca sumę początkowego kosztorysu na \$3.200.000. (Ścisła suma była \$3.250,00) jest bliską prawdą, to w kontraście do tego co O. Zembrzusi twierdzi w cytowanym już artykule, kosztorys był przekroczony tylko o 9½ % i został ostatecznie zamknięty w lutym 1968 roku sumą \$3.561.092. Obejmowało to \$3.148.692 wydane w ramach Generalnego Kontraktu, oraz sumę \$412.400 za roboty wykonane poza nim. Były to prace takie, jak niwelacja terenu, instalacja systemu wodnego i sanitarnego, budowa burzowców, dróg, parkingów itp. W tej ostatniej kategorii wydatków mogły być, i na pewno były, jakieś dodatkowe koszty, których tu nie wymieniłem, za prace wykonane poza jurysdykcją architekta, jak budowa budek bazarowych, przeróbka kuchni itp., ale mogły to być tylko sumy marginesowe, które nie zmieniają ogólnego obrazu.

W swoim wytłumaczeniu wysokości długu O. Zembrzusi posługiwał się argumentami, które miały tylko pozory ekonomicznej logiki. Na przykład wspominał, że ceny rynkowe materiałów budowlanych były w końcowym okresie budowy o wiele wyższe, niż na początku, co jest w ogólnych kategoriach słuszne, ale zaniedbał napomknąć — albo może nie zdawał sobie z tego sprawa

wy — że efekt tego wzrostu cen na ogólny koszt Sanktuarium był znacznie zmniejszony dzięki systemowi przetargów, które konsekwentnie stosowaliśmy. Ceny bowiem za takie zasadnicze materiały, jak cement, stal i jej instalacja, roboty elektryczne, hydrauliczno-mechaniczne i inne, stanowiące razem dwie-trzecie ogólnych kosztów budowy zostały ustalone na samym początku, w oparciu o ceny rynkowe z roku 1965 i obowiązywały aż do zakończenia budowy, a czynnik inflacji był już wtedy wzięty pod uwagę w formie dorzuconego procentu. W tych warunkach nie było mowy o niespodziankach. Za robociznę płaciliśmy drożej w końcowym okresie konstrukcji, niż na jej początku, ale ta podwyżka, z powodu kilkuletniego trwania umowy między Związkami Zawodowymi Pracowników Budowlanych a przedsiębiorcami zdarzyła się tylko raz i nowe ceny, które także przewidzieliśmy w początkowym kosztorysie, utrzymały się na tym samym poziomie aż do zakończenia budowy.

Wzrost cen dotykał nas najbardziej wtedy, kiedy były wprowadzane zmiany i dodatki, bo w tych wypadkach dostawcy nabywali u hurtowników i sprzedawali nam materiały po bieżących cenach rynkowych, ale te przedkładane przez nich ceny były za każdym razem skrupulatnie sprawdzane. Procedura była taka, że finansowa ocena przedsiębiorcy za dodatkowe roboty była przesyłana do analizy do naszego biura i jednocześnie do biur współpracującej z nami firmy inżynierskiej „Fridy, Gauker and Fridy” w Filadelfii. I dopiero wtedy, kiedy i my, którzy byliśmy odpowiedzialni za całość budżetu, i oni, którzy byli obznajmieni z miejscowym rynkiem, wspólnie uznaliśmy wydatek za uzasadniony, a podaną nam cenę za dostatecznie niską, dawaliśmy swoje przyzwolenie, które musiało być jeszcze zatwierdzone przez O.O. Paulinów zanim przedsiębiorca mógł wprowadzić ten wydatek do swojego programu. W ramach tej procedury setki propozycji Generalnego Przedsiębiorcy budowlanego zostało zmodyfikowanych, lub całkowicie odrzuconych. Poza tym, na placu budowy urzędował tzw. „Clerk of the Work”, czyli kontroler, który reprezentując O.O. Paulinów sprawdzał, czy materiały budowlane były tej samej ilości i jakości, jakie określiliśmy w dokumentacji i czy zostały faktycznie użyte na budowie. Ten ściśle stosowany i wyprobowany system musiał dać i dał dobre wyniki. Przekroczenie tylko o 9½% oryginalnego kosztorysu, zrobionego w czasie, kiedy nie istniała jeszcze pełna dokumentacja, kiedy mieliśmy ciągłą dwucyfrową inflację i kiedy O.O. Paulini, jak każdy klient, wiele rzeczy dodali, było na pewno rekordem w praktyce budowlanej. Zapisaliśmy przy tym wprawdzie masę papieru, ale dzięki temu żadnego dolara nie wydaliśmy lekko-myślnie, lub nieproduktywnie. Kilkanaście tomów dokumentów na ten temat czeka jeszcze na swoje szczegółowe opracowanie.

Wiedziałem, że kopie tych dokumentów znajdowały się także w rękach administratorów Sanktuarium i nie miałem powodu przypuszczać, że uparcie powtarzana wersja o 6-ciu milionach kosztów budowy była oparta na pomyłce. Ponieważ zaś takie

stawianie sprawy poważnie podminowywało moją reputację zawodową, czego skutki zacząłem wkrótce odczuwać, protestowałem przeciwko temu bezskutecznie w listach do O. Zembrzuskiego, a po jego ustąpieniu — kiedy przekonałem się, że ta „informacja” była w dalszym ciągu używana przez nową Administrację — dnia 25 lipca 1975 roku napisałem list protestujący przeciwko temu do ówczesnego administratora Sanktuarium O. Wiktora Krzywonośa, O.F.M. Zaczęto wtedy, po raz pierwszy, pisać o tym, że „Ojcowie (Paulini) również (sic!) doznali poważnej porażki w różnych inwestycjach przynoszących straty” (*Polonia*, 12 października 1975 roku, artykuł: „Kardynał Król na Czele Komitetu Ratowania Amerykańskiej Częstochowy”). Jak wielkie były te straty? Jeżeli weźmie się pod uwagę, że koszt budowy wyniósł tylko \$3.561.092 i że zgodnie z oceną O. Zembrzuskiego (*Vide* artykuł ks. Sojki w *Kulturze*) od Polonii zebrano na Fundusz Budowy około 2 miliony dolarów, to nawet biorąc pod uwagę koszt zakupu gruntów i pewien procent niewymienionych nigdzie wydatków, oczywiście jest, że wielomilionowe zadłużenie Amerykańskiej Częstochowy nie miało, w swojej masie, nic wspólnego z kosztami budowy.

Czy te katastrofalne inwestycje były uzasadnione i wskazane? Jeżeli się przyjmie interpretację O. Zembrzuskiego — tak. Jeżeli się jednak weźmie pod uwagę charakter tych inwestycji — nie. Ponieważ zdaniem O. Zembrzuskiego ofiarność Polonii zawiodła i ponieważ zgodnie z jego wyliczeniami dochody z normalnych pielgrzymek i datków nie były wystarczające na pokrycie zakumulowanych wydatków sięgających kilkuset tysięcy dolarów rocznie na opłacanie procentów od pożyczek, jednoczesną spłatę kapitałów, w dodatku do normalnych kosztów utrzymania personelu, konserwacji budynków, gruntów itp., to idea inwestycji dla uzyskania dodatkowych dochodów wydaje się uzasadniona. Ale ponieważ te inwestycje miały natychmiast wyprodukować duże sumy pieniędzy ich charakter musiał być wysoce spekulatywny. Spekulatywny, to znaczy, że można było się spodziewać, albo dużych zysków, albo dużych strat.

Miałem na ten temat szereg dyskusyj z O. Zembrzuskim i z wielu powodów odradzałem mu robienie tych inwestycji. Po pierwsze, nie byłem przekonany, że zostały już wyczerpane wszystkie drogi uzyskania dodatkowych funduszy od Polonii. Po drugie, zdawałem sobie sprawę, że O. Zembrzuski, który był natchnionym wizjonerem i improwizatorem, stanowczo przecenił swoje talenty ekonomiczne, oraz swoje możliwości chłodnego rozeznania się w ogromnie skomplikowanej i najeżonej niebezpieczeństwami strukturze rynku amerykańskiego. Wbrew tym i innym radom wybrano ryzykowne inwestycje, a potem dodano do nich poważny błąd psychologiczny, że zamiast otwarcie przyznać się do tego, co się naprawdę stało, zaczęto tłumaczyć wysokość zadłużenia przesadnymi i nielogicznymi komentarzami na temat rzekomego przekroczenia kosztów budowy w stopniu wręcz nieprawdopodobnym.

Drugą plotką, która miała wy tłumaczyć wysokość długu było oskarżanie nas o nadmierne obciążenie Sanktuarium za naszą pracę architektoniczną. Ta plotka nie była, jak poprzednia, publikowana w prasie, ale rozprzestrzeniana ustnie, czego mam dowody w listach, które na ten temat otrzymałem. Nasz kontrakt z zakonem O.O. Paulinów opiewał, że za usługi zawodowe mieliśmy być zapłaćeni 7½ % od kosztu wykonanych robót. Prócz tego Zakon był zobowiązany do zwrotu naszych wydatków za roboty nieobjęte umową. Ponieważ ogólny koszt, jak widzieliśmy powyżej wyniósł \$ 3.561.092, więc zgodnie z umową, suma pieniędzy, jaką mieliśmy otrzymać z tego tytułu miała wynieść \$ 258.179. Suma ta jest oczywiście ogromna, zwłaszcza, że \$ 41.200 zostało nam wypłacone dodatkowo za owe roboty nieobjęte umową — takie jak planowanie zagospodarowania całości posiadłości na przyszłość, szczegółowe studia związane z przyszłymi budynkami, studia poświęcone dekoracji wnętrz, zaprojektowanie ołtarzy, zyrandoli i długi szereg innych. Stanowiło to łącznie \$ 299.379.

Z tej sumy 23 %, czyli \$ 68.857 wpłacono inżynierom konstrukcyjnym, elektrycznym, hydraulicznym i mechanicznym, którzy za to wyprodukowali kompletne rysunki robocze i wszelkie obliczenia w swoich dziedzinach. 41 %, czyli \$ 122.745 pokryło koszty architektonicznego projektowania, kreślenia rysunków roboczych, opracowywania specyfikacji itp. 8½ %, czyli \$ 25.447 wpłacono filadelfijskiej firmie Fridy, Gauker and Fridy za ich usługi inżynierskie, nadzór budowlany, i prowadzenie retraktacji z władzami stanowymi, powiatowymi itp. 12 %, czyli \$ 35.925 stanowiło procentowy udział tego projektu w kosztach utrzymania biura, sekretarek, robienia światłodruków, drukowania raportów i szeregu innych wydatków tego typu. 4 %, czyli \$ 11.975 musiało być przeznaczane na podatki związane z pensjami pracowników, oraz ustawowe ubezpieczenia. Wreszcie, około 3½ %, czyli \$ 10.478 pokrywało koszty wydatków „różnych”, których różnorodność i ilość jest tak wielka, że nie da się ująć w jakąś kategorię. Dopiero pozostałe 8 %, czyli \$ 23.950 miało stanowić zarobek architekta za jego dwu i pół letnią pracę. Miało, ale nie stanowiło, bo wbrew powszechnie przyjętym normom i zaleceniom Amerykańskiego Instytutu Architektów adwokat O. Zambruskiego — Stanley Jakubowski z Filadelfii — włączył do naszej umowy klauzulę, że koszty wszystkich podróży związanych z projektem ma ponosić architekt a nie klient. Zaprotestowałem przeciwko temu, ale zaczęła się wtedy dosłowna nagonka, w której zostały użyte wszystkie możliwe argumenty patriotyczno-religijne, których głównym motywem było, że jako Polak i katolik powinienem zrobić pewne koncesje na rzecz sprawy polskiej, tak, że wreszcie (a dzisiaj muszę dodać — niestety) ustąpiłem. Utrzymanie tego nieszczyśnego i niesprawiedliwego paragrafu sprawiło, że jakkolwiek zarobek architekta przestał w ogóle istnieć, bowiem między końcem roku 1964, a rokiem 1969 musiałem odbyć ogółem 48 podróży między Los Angeles, a Doylestown, co kosztowało w sumie \$ 23.280 zmniejszając tym samym pozycję „zysku” architekta do \$ 670.

Ta śmiesznie mała suma stanowiłaby wszystko co w tej sytuacji mogliśmy zarobić na tym projekcie, gdyby wszystkie pieniądze, które należały się architektowi zostały mu rzeczywiście wypłacone.

Prawdziwa katastrofa w tej dziedzinie zaczęła się dopiero wtedy, kiedy Sanktuarium zaczęło być w coraz bardziej dotkliwych trudnościach finansowych, jak dzisiaj wiemy, spowodowanych owymi nieszczęsnymi „inwestycjami”. W pewnym momencie przestano nam w ogóle płacić. Już w kwietniu 1966 roku dług Sanktuarium w stosunku do nas wynosił \$ 71.800. W tym czasie 90 % naszych rysunków zostało już wykonanych, Sanktuarium było w stadium daleko zaawansowanej konstrukcji i musieliśmy wtedy wyłożyć około \$ 60.000 z własnych zasobów, żeby opłacić inżynierów, kreślarzy, i pokryć inne koszty związane z wykonaniem tego wielkiego projektu. Musieliśmy wtedy wielokrotnie błagać o trochę pieniędzy, żeby związać koniec z końcem. Z przykrością muszę dodać, że w większości wypadków listy nasze były po prostu ignorowane, a pieniądze przychodziły z rzadka i w małych ilościach.

W chwili przejścia Sanktuarium przez Wizytatorów Apostolskich, w końcu roku 1975, czyli po dziewięciu i pół latach, dług ten wynosił jeszcze \$ 37.940. Mówiono wtedy o formalnym bankructwie i w związku z tym, na wezwanie doradców prawnych Sanktuarium musieliśmy przedstawić nasze udokumentowane roszczenia, co też zrobiliśmy. Wreszcie, po listownym przedyskutowaniu tej sprawy z O. Wiktorem Krzywonošem, nie mając innego wyjścia zgodziliśmy się na jednorazową spłatę w sumie \$ 18.000, która została nam przesłana w pierwszych miesiącach roku 1976. W ten sposób zamknęliśmy nasze rachunki z Sanktuarium, ale to niedopłaćenie nam \$ 19.940 zamiast jakiegokolwiek zarobku zamknęło nasz bilans stratą \$ 19.270.

Nie piszę tego wszystkiego, żeby się skarżyć, bo jest to już całkowicie zamknięty epizod, ale żeby podkreślić, że te szeroko rozprzestrzeniane w pewnym okresie plotki, pozostające w rażącem kontraście z rzeczywistością, stwarzały niezdrową atmosferę dokoła Sanktuarium i miały odwrotny efekt od tego, jakiego się spodziewali ci, którzy je puszczali w obieg. Taka reakcja jest zrozumiała, bo opinia publiczna, z reguły niewychodząca w zawiłe szczegóły odnosiła wrażenie nieporządku i niewłaściwego gospodarowania groszem polonijnym, czego przy budowaniu Sanktuarium nie było. Dlatego po dojrzałym namyśle, żeby rozproszyć ciągle jeszcze krążące domysły, legendy i plotki zdecydowałem się na opublikowanie prawdziwych cyfr dowodzących, że Sanktuarium było budowane w sposób wzorowo oszczędny. Szczegółową analizę tej sprawy przedstawię w książce, którą na ten temat opracowuję.

Jerzy SZEPTYCKI

1. Zaskoczyło mnie pismo architekta, inżyniera Jerzego Szeptyckiego przede wszystkim dlatego, że nadeszło aż cztery lata po ukazaniu się mojego



skromnego artykułu. Gdyby takie sprostowanie nadeszło wcześniej, można by było zapobiec wyciąganiom z niego spekulacjom.

2. Jako człowiek mało obeznany z „biznesem”, byłem przekonany, że honorarium architekta jest po prostu obliczane jako odpowiedni odsetek KOSZTORYSU i nie zależy od aktualnych kosztów budowy zaprojektowanych przez niego obiektów. Dlatego nigdy mi do głowy nie przyszło obciążanie projektodawcy późniejszymi wzrostami kosztów. I nigdzie w moim artykule nic podobnego nie napisałem. Za mylne podejście do sprawy wzrostu kosztów — czyli za wygórowane, jak się okazuje, obliczenia inflacji, cen materiałów, transportu i robocizny, mogę tylko szczerze przeprosić. Wiem jednak, że czytało się właśnie wtedy głośne narzekania na drożyznę materiałów budowlanych i konstrukcji nowych domów.

3. Z O. Michałem Zembruskim spotkałem się ostatni raz w roku 1968 w czasie mojego dwutygodniowego pobytu w Amerykańskiej Częstochowie. Później słyszałem jego pogadanki radiowe, które się jednak skończyły w czasie głośniego kryzysu. Stał się wtedy nieosiągalny i żadnych szczegółowych danych o sytuacji finansowej ani od niego, ani od innych jego współbraci zakonnych, nie otrzymywałem. Treść mojego artykułu jest więc oparta na tym co widziałem i co słyszałem sześć lat przed napisaniem artykułu, oraz na licznych artykułach w prasie.

4. Z całej treści mojego artykułu wynika, że unikałem rzucania oskarżeń pod czyimkolwiek adresem: nie obwiniałem ani O. Michała ani OO. Paulinów (poza tym co było powszechnie wiadome), a już ani słowem nie zwałem za nic winy tak na projektodawcę jak i firmę, która się zajęła konstrukcją sanktuarium. Jest mi przykro, że z tego, co napisałem, wyciągnięto wymienione w piśmie inżyniera-architekta wnioski.

Z wyrazami czci,

Ks. Wojciech SOJKA

## Komunikaty

### NAGRODA

#### IM. JANINY ŁAWRUK ZE STARZYCKICH

Nagroda ta przeznaczona jest dla osób zasłużonych dla idei zblżenia polsko-ukraińskiego, która przyświecała śp. Janinie Ławruk w ciągu Jej życia.

Jury Nagrody składa się z następujących osób: dr Bohdan Budurowycz, profesor Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich na Uniwersytecie Toronto; Jerzy Giedroyc, redaktor *Kultury* w Paryżu; Benedykt Heydenkorn, były redaktor *Związkowca* w Toronto; Iwan Koszeliweć, redaktor *Suczasnosi* w Monachium; dr Bohdan Ławruk, profesor Wydziału Matematyki na Uniwersytecie McGill w Montrealu.

Nagroda wynosi \$ kan. 1.500 i może być przyznana kilku osobom. Wrę-

czenie Nagrody ma nastąpić w maju bież. roku przez Fundację Adama Mickiewicza w Toronto.

Przewiduje się, że nagroda ta będzie przyznawana co trzy lata. Ufundował ją, dla uczczenia pamięci swej matki, syn Bohdan Ławruk w 1976 roku w trzecie rocznicę śmierci, na którego adres: 3425 Stanley St., apt. 405, Montreal P.Q. H3A 1S2, Canada, można kierować ewentualną korespondencję.

W 1976 roku Nagrodę im. Janiny Ławruk ze Starzyckich otrzymali: Wadym Łesycz — za antologię poezji polskiej w języku ukraińskim, Józef Łobodowski — za twórczość publicystyczną, poetycką i pisarską poświęconą idei zblżenia polsko-ukraińskiego, oraz Juliusz Mieroszewski — za twórczość publicystyczną w sprawie zblżenia obu narodów.

### KSIEGA PAMIĄTKOWA Z OKAZJI WYBORU JANA PAWŁA II

Biblioteka Polska w Londynie jest obecnie w posiadaniu kilku ksiąg pamiątkowych, jak na przykład: Księga Pamiątkowa Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej (licząca 600 stron), lub Księga Pamiątkowa Roku Kopernikowskiego (500 stron). Księgi te stanowią bogaty zbiór artykułów, wycinków prasowych, fotografii i ilustracji, sprawozdań, korespondencji i dokumentów — i mają charakter światowy, bo zawierają materiały w różnych językach i są zebrane z całego świata. Jest to cenne źródło dla badaczy.

W związku z powołaniem Kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Apostolską jest w przygotowaniu nowa Księga Pamiątkowa (zawierająca prawdopodobnie ponad 1000 stron), w której mamy zamiar zgromadzić możliwie wszystkie materiały dotyczące tego historycznego wydarzenia.

Wiadomo, że wiele instytucji polskich i wielu Rodaków w różnych krajach spontanicznie gromadziło pisma, fotografie itd. z pierwszego okresu pontyfikatu Jana Pawła II. Wszystkie organizacje, instytucje i osoby prywatne, które życzą sobie, aby ich materiały w oryginale lub w kopiach, zostały włączone do Księgi Pamiątkowej i były wpisane w skorowidzu imiennym, proszone są o przesłanie ich pod adresem:

PRZEWODNICZĄCY POLSKIEJ RADY BIBLIOTECZNEJ  
POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO-KULTURALNY  
238/246 KING STREET, LONDON W6 0RF.

W materiałach, poza wycinkami prasowymi, fotografiami i ilustracjami, chcielibyśmy zamieścić korespondencję, telegramy, otrzymane odpowiedzi, teksty przemówień i sprawozdania z nabożeństw i uroczystości lokalnych, związanych z wyborem Papieża Jana Pawła II.

W razie potrzeby Biblioteka Polska zrobi kopie materiałów przesłanych do zwrotu.

Z. W. BIENKOWSKI  
Przewodniczący Polskiej Rady Bibliotecznej

## Straty kultury polskiej

### Przed 25 laty zmarł Władysław Studnicki

Mówi się: „czas leci”. I to jest prawda, o której każdy wie i może dlatego nikt prawie nie bierze jej poważnie. Czym kto młodszy, tym mniej poważnie. Stąd tzw. „młodzież” jest, w odpowiednim odstępnie, zawsze mniej poważna od starszych, gdyż brakuje jej fantazji niezbędnej dla wyobrażenia biegu czasu.

W roku 1946, w Rzymie, jechałem windą z Władysławem Studnickim na któreś tam piętro do biur prasowych 2-go Korpusu przy Via Umberto. Windziarz, chłopiec może piętnastoletni, wyższy wzrostem od Studnickiego, gdyż Studnicki był bardzo małego, przypatrywał się mu spod figlarnego oka. A gdy wychodziliśmy szepnął do mnie: *O, come vecchio!*... I poznać było, że go to bawi. „Jaki stary”!

Nie pamiętam już z jakiej kiedyś okazji zapytałem Studnickiego: „W którym roku urodził się ojciec pana profesora?”.

— W osiemnastym — odpowiedział lakonicznie.

Przywykły rachować cyframi XX wieku, dopiero w następnej sekundzie uprzytomniłem, że chodzi oczywiście o rok 1818. A sam Władysław Studnicki? Encyklopedia Lama wymienia rok 1867; zaś „Powszechna” warszawska: 1865. Według pierwszej miałyby więc dziś 112 lat; według drugiej 114, gdyby żył. Ale umarł w Londynie w roku 1953. Czyli w chwili gdy piszę, 25 lat temu. Z perspektywy historycznej niedawno. Stąd ta, jedna z najbardziej niezwykłych postaci należy jeszcze do historii „bieżącej”.

Władysława Studnickiego znałem właściwie zawsze. Zrazu z opowiadań, kiedyś, przed pierwszą wojną światową. Mieszkał

on nawet przez pewien czas u mego wuja, Ksawerego Pietraszkiewicza, na Salwatorze w Krakowie. Po powrocie z Sybiru. Wtedy, jeszcze dzieckiem, nie bardzo rozumiałem co tam opowiadała przy stole jadalnym (lampa naftowa; abażur) ciotka Maryla, gdy przyjeżdżała z Krakowa do Wilna. Musiało być i coś zabawnego, bo się śmiano. Ponoć z jego życiowego rozartagnienia, które było i wieczną przywarą i źródłem żartów, i wdziękiem tego człowieka zarazem.

Słońce wschodziło i zachodziło nad Dźwiną, Wilią, Wisłą. Nawet przy najpiękniejszym niebie odbicie promieni w wodzie nie interesowałoby Studnickiego. Był on całkowicie *homo-politicus*. Słyszałem od niego później: „Mnie w życiu interesuje wyłącznie polityka”. Ona też płynie jak woda, mija horyzonty, miasta, granice krajów, czyni skręty, i wiadomo że nadaje nieprzerwany bieg historii, która sztucznie jedynie da się podzielić na segmenty. Raz np. idę chodnikiem wileńskim w środku drugiej wojny światowej, i zatrzymuje mnie wcale nie stary człowiek.

— Przepraszam pana, czy nie służył pan czasem w 7-mym pułku huzarów?

— W siódmym huzarów...?

— Tak, w Prusach Wschodnich, w 1914, „imienia Imperatora Aleksandra I”.

— Nieee... — kiwam przecząco głową. Dlaczegoś nie podaje, że siedziałem wtedy dopiero w ławce pierwszej klasy wileńskiego gimnazjum Winogradowa; czy to ze wstydu, że byłem wówczas taki młody, czy ze wyglądam teraz tak stary?

— Ach, przepraszam bardzo. A taki pan podobny do jednego... — I rozeszliśmy się w różne strony tym samym chodnikiem. A przecież to „tylko” 26 lat temu. I gdzie tu koniec, gdzie dalszy ciąg?

Studnicki do śmierci, gdy wymawiał sakramentalne słowa: „Przed wojną”... zawsze miał na myśli pierwszą wojnę światową. Nie bez pewnej logicznej racji w jego wieku. Nazbyt przywykł do myślenia w kategoriach polskich. A Polska odrodziła się po pierwszej wojnie. Co zaś działo się podczas drugiej wojny i po niej, to już tylko „okupacja”. Nazbyt też wiele napatrzył się przemian, żeby nie wierzyć, iż tylko: „przejściowa”.

Ogromna ilość ludzi, może większość, chce dostrzec „realne” perspektywy dziś, zaraz. I znów: czym kto młodszy i głupszy, tzn. bardziej podatny na slogany „moderny”, temu się coraz zdaje że już włączył na szczyt, z którego gestykuluje, że dostrzeżę właściwą perspektywę rozwiązania rzeczy. Wieczny cel ludzkiej wspinaczki. Stąd bierze się może jedyne w swoim rodzaju przekleństwo w języku białoruskim: *A szto ty na harie stojau, da sonca nie baczyu!*... Istotnie, bo jeżeli nawet ze szczytu góry

słońca nie zobaczysz co, zdawałoby się, może ciebie gorszego spotkać? W rzeczywistości, jak wiemy, nie ma ani takiej góry, ani takiej perspektywy. Ani nigdy nie było.

Studnicki spojrzenie w dal widział we własnej politycznej doktrynie. Można by go nazwać, bez ujmy, doktrynerem. Wszyscy jesteśmy doktrynerami w życiu codziennym. W tej, czy innej mierze. To nie zarzut. Jeżeli Studnicki był „ciasnym” doktrynerem, to tylko chyba, że wszystko sprowadzał i widział pod kątem Polski. Interesów polskich. Całą pasję życia w nie wkładał. I traktował właśnie z pasją, której poświęcał wszystkie inne widoki. Borys Pasternak np. widział wszędzie poezję, i mawiał: „ona leży nawet w trawie pod nogami”. Tego Studnicki nie dostrzegał zupełnie, na równi z masą przedmiotów które mijał. Stąd zapewne słynne jego roztargnienia!

Przychodzi, bywało, do redakcji.

— Panie profesorze — mówi mu z uśmiechem pełnym szacunku sekretarz redakcji, Konstanty Syrewicz: — Pan jest bez krawata i kołnierzyka.

— Co?! — Sięgnął palcami. — A no tak, zapomniałem.

Jedzie kiedyś dorożką konną w Wilnie. Nagle przypomina sobie, że miał coś innego załatwić. Szturchnął w plecy dorożkarza, wysiadł i poszedł zamyślony chodnikiem. Dorożkarz posłusznie, stępa, jedzie obok. Trwa to dłuższy czas.

— Panoczku, pan nie zapłacił!

— Co?! Za co?! — odmachnął się jak od muchy, wszedł akurat w bramę i zniknął.

Dorożkarz go znał. Nie robił gwałtu. Zawrócił pod redakcję: tak i tak, powiada, było. — Otrzymał za kurs z „nadbawką”, i podziękował.

Albo... Ale to już anegdota: bratem Władysława był Waclaw Studnicki (on używał przydomka: Gizbert), archiwariusz wileński. Fizycznie niezmiernie podobny i równie małego wzrostu. Po posiedzeniu w Wileńskim Towarzystwie Naukowym, każdy z nich włożył przypadkowo palto drugiego. I obydwaj udali się do komisariatu policji z zameldowaniem, że im zamienili, względnie ukradli palta. — Tak opowiadano w Wilnie ze śmiechem. Bo ludzie czasem szczególnie lubią się pośmiać z wielkich ludzi, chociażby najniższego wzrostu.

A Studnicki był „wielki” swojego czasu. Masę napisał, masę wydał. Znał też masę „wielkich” ludzi. Walczył o swoją postawę polityczną, o swoją doktrynę na wielu frontach dziejowych wydarzeń. Przegrywał, odsiadywał więzienia, ale pisał nawet w więzieniu, na zsyłkach, w ciągłych niełaskach. Zaczął od rodzinnego Dyneburga; później w Wilnie, Warszawie, w Tobolsku na Syberii, w Heidelbergu nad Neckarem, w Wiedniu, Paryżu, Kra-

kwowie, w Londynie, Chicago. Zawsze był nieustępliwy. Jednym kopniakiem potrafił odrzucić jakąś ideę, gdy dostrzegł że nie odpowiada jego doktrynie, jak np. socjalizm. Opis tych dziejów wymagałby tomów.

Nie będę o tym pisał. Jest dużo ludzi, którzy mogą o tym napisać z większą znajomością rzeczy. Nie podejmuję się wertować strony politycznej. Studnicki, gdy go już poznałem poprzez ogromną różnicę wieku, należał do ludzi, z których poglądami zgadzałem się może najmniej. Jego rusofobia ponad wszystko doprowadziła go do identyfikacji dawnej „Rosji” z późniejszym bolszewizmem, co osobiście uważam za największy błąd w ocenie istoty rzeczy, i wynikających z niej konsekwencji politycznych. Wprawdzie w tym wypadku zgadzał się raczej z większością rodaków. Ale popadał znów w konflikt przenosząc niechęć na cały „Wschód”. Niechęć do Litwinów, Łotyszów, Białorusinów, Ukraińców. Wreszcie wybrzydzał się na Czechów, Słowaków, powiedzmy, z kolei całe słowiaństwo. W nacjonalizmie zbliżał się niekiedy do „endeków”, gdyby „germanofilizm” jego doktryny nie czynił zeń czerwoną płachtą dla endecji. Stąd jego izolacja. Piszę te uwagi na marginesie schematycznego skrótu, wciąż dla uzasadnienia dlaczego nie chcę i nie mogę pisać o nim jako o polityku. Niezgodność poglądów doprowadzić by musiała do nieuchronnej krytycznej oceny, przeplatanej wtrąceniami z teki moich osobistych zapamiętań. A co to kogo obchodzi. O wiele ciekawszy wydaje mi się fenomen Studnickiego jako człowieka, w przeniesieniu na dziś. Człowieka doprawdy niezwykłego. Stąd mój — pozornie paradoksalny — dla niego podziw, szacunek i, powiedziałbym, głęboki sentyment.

Władysław Studnicki, mimo zapiekłej pasji z jaką występował w życiu publicznym, był człowiekiem który w życiu osobistym nie umiał kłamać. Nie to, że nie chciał — każdy i dziś mówi, że nie chce kłamać — on jakoś nie potrafił. Wydawało się, że nie przychodzi mu nawet na myśl.



Sam mówił o sobie, że należał do generacji, którą nazywano „dziećmi 1863 roku”. Matka chodziła z nim po wałach nad Dźwiną w Dyneburgu na spacer. Pokazywała stamtąd okna więzienia, gdzie siedzieli kiedyś powstańcy. — Wiem, ładnie tam jest nad rzeką, byłem i ja, spacerowałem. Ale wtedy, sto lat temu, w atmosferze po-powstaniowej, tzw. „carat” był dla wielu symbolem wszelkiego zła na ziemi. Wtedy, w siedemdziesiątych latach ubiegłego wieku, „socjalizm” miał stać się owym młotem, który rozbije kajdany.

„To budziło w nas od dziecka rewolucyjne instynkty” — pisze Studnicki. — „Inteligencja mojej generacji skłaniała się ku socjalizmowi. Przez socjalizm przeszli Józef Piłsudski, Stanisław Wojciechowski, Ignacy Mościcki, Grabscy... etc. Prawie wszyscy wybitni ludzie tej generacji byli kiedyś socjalistami”. — Studnicki też staje się socjalistą, i to nawet zbliżonym do rewolucjonistów rosyjskich. W latach 1884-1888 należy do „Proletariatu”, i wraz z Ludwikiem Kulczyckim, współtwórcą tzw. II i III „Proletariatu”, organizuje jacejki agitacyjne w Polsce. Aresztowany, osadzony w Cytadeli Warszawskiej, skazany w roku 1890 na zesłanie na Sybir... etc. Pierwsze rozczarowanie: zerwanie z rosyjskim socjalizmem. Nienawiść do „caratu” przenosi na wszystko cokolwiek rosyjskie: „Mongolskie czaszki. Barbarzyńska mieszanka”. To za cara Aleksandra III.



Jest rok 1946. Nędzni wygnańcy z rodzinnego kraju, zdani na łaskę UNRRA i resztówki biur 2-go Korpusu Andersa — mieszkamy w tym samym prywatnym, niby pensjonacie signory Amati, przy Via Emilia 81 w Rzymie. Studnicki przychodzi często do naszego pokoiku na herbatę, którą moja żona podaje mu zawsze z cytryną, bo tak się nauczył pić w dawnej Rosji. Od tej cytryny rozmowa schodzi jakoś na tę dawną Rosję. Słucham największego rusofoba jakiego spotkałem w życiu. Opowiada o swoim aresztowaniu sprzed pięćdziesięciu z hakiem lat. Jak go wieźli na zesłanie. — Ale! był zabawny incydent, ożywia się:

Wieziono z Dyneburga „Rygo-Orłowską Drogą Żelazną”. W przedziale było kilku aresztantów, m.in. młoda dziewczyna, oraz z urzędu *syszczik*, agent tajnej policji. Nad wagonem sprawował nadzór wachmistrz żandarmerii. W pewnym momencie — było to gdzieś w bliskości Witebska — agent zaczął się przy-lewać do dziewczyny w sposób zgoła obscowy. Studnicki zerwał się z miejsca i zrobił piekielny raban na cały wagon. Przybiegł żandarm. — „Spisać protokół na stacji!”, krzyczał Studnicki. „Natychmiast protokół!!”. (A każda placówka żandarmerii kolejowej zobowiązana była do ścisłego zaprotokołowania każdej skargi i zeznania). — *Wasze błagorodie...*, zaczął prosić wachmistrz żandarmerii, *wasze błagorodie...* — Studnicki groźnie stuknął nóżką i nie ustawał. A Witebsk się zbliżał. Wreszcie żandarm wywabił Studnickiego na korytarz i szeptem: *Wasze błagorodie... pomiłujcie... Ja nasziwki potieraju...* Studnicki zlitował się wreszcie. I tylko *syszczika* przegnano won z przedziału.

— Ale jakże to tak, panie profesorze... — pytam — Pan

sam przecie wówczas aresztant, można powiedzieć „wywrotowiec”... A tu, żandarm...?

— No bo u nich był podział, na tzw. „czarną kość” i „białą kość”. A ja przecie *potomstwiennyj dworianin kurlandskoj guberni*. Poza tym przestępstwa polityczne były „honorowe” w zestawieniu z kryminalnymi. Mniejsza. Słowem dojechaliśmy do Butyrskiej turmy w Moskwie, która wtedy była *pieresylnoj*.

— A jak karmiono wtedy na Butyrkach?

— Nie wiem. Byłem krótko, miałem trochę pieniędzy, i kazałem sobie przynieść obiad z restauracji. Ale za to... — i przeszedł do opowiadania o zesłaniu pod Minusinskiem:

— Co za pyszne pierogi piekła ta baba, moja gospodyni! — Miał w tej chacie własny duży pokój. Skarb państwa płacił na utrzymanie 8 rubli miesięcznie. A kosztowało ono 6 rubli miesięcznie. Oczywiście otrzymywał też pieniądze z domu, które wydawał głównie na naftę do lampy, bo pisał całymi nocami. A też na konie do odległego o 10 wiorst Minusinska. Tam pewien bogaty kupiec, nomen-omen: Sibiriakow, ufundował znakomicie zaopatrzoną bibliotekę, uzupełnioną źródłami o Syberii. Studnicki zasiadł do pisania dzieła o Syberii. Mógł też czynić dalekie spacery, i polować w okolicznych lasach, ale to go nie pociągało. Poświęcił się całkowicie studiom, m.in. prawniczym.

— A nie pilnowano pana profesora?

— Owszem. Ale ja pracując nocami, spałem do późna rano. Czasem słyszałem przez ścianę jak taki *nadziratel* przychodził i pytał gospodynię: *Jewo błagorodie spiat jeszcze?*...

Zresztą nadzór wkrótce ustał, i dwa ostatnie lata zesłania, do 5 grudnia 1896, Studnicki przebył w Tobolsku, dokąd się przeniósł. Mógł się swobodnie poruszać, jedynie bez prawa wyjazdu do Polski i do większych miast europejskiej Rosji. W Tobolsku poświęcił się całkowicie nauce, publicystyce, a przy okazji został także „obrońcą sądowym”; miał powodzenie i zarabiał sporo pieniędzy. Do tego dochodziły honoraria z gazet. — „Właściwie, osobiście, to ja nie doznałem żadnej krzywdy. Ale od chwili gdy doszła mnie wiadomość, że w Warszawie odbyły się manifestacje patriotyczne, myślałem już tylko o powrocie do kraju...”.

Nasze okno wychodziło na ciasne podwórze. Na dole był szklany dach Café-Rosatti, z głównym wejściem od Via Veneto. Wieczorami hałas dochodził stamtąd do późna w nocy. Z górnych pięter ktoś czasem, komu spać nie dawano, ciskał pustą butelką w ten dach.

— Gdy tak słucham pana profesora — zaczęłem w zamyśle-

niu — doprawdy zamieniłbym los nasz, beznadziejnych uciekierów w pięknej Italii, na tamte pańskie zesłanie...

Studnicki przemilczał, mieszając w szklance i przyciskając cytrynę łyżeczką. W tej chwili, brutalni jak zwykle żandarmi brytyjscy, bez pukania pchnęli drzwi do naszego pokoju, aby zlustrować czy nie kryje się tu jakiś poszukiwany dezertter. Wyszli bez przeproszenia.

— Pojadę do Londynu — powiedział Studnicki — i dam Churchillowi w papę.

— Za co?

— Za to, że sprzedał Polskę Rosji.

Ale do tego nie doszło. Choć mogłoby dojść, gdyby tak nie postarzał się. Raz, na przystanku tramwajowym przy Porta Pinciana, stał w swym biednym paletku i nagle zapatrzył się w jakąś piękną Włoszkę. Ta czując wbity w nią wzrok, wyjęła po pewnym czasie z portmonetki 20 litrów, podeszła i podała mu je.

— *Perche?!...* — zdumiał się Studnicki. Przez głowę mu nie przeszło, że można go wziąć za żebraka. Ona się uśmiechnęła, kiwnęła głową, odeszła, wsiadła do tramwaju: *a sinistra*. Ładna była, istotnie, Signora, pamiętam. My pojechaliśmy *a destra*.

Pewnego razu Studnicki przyszedł do naszego pokoju z Adamem Doboszyńskim. W swojej wyprawie do kraju, chciał on tam organizować powstanie. Zahaczył w podróży o 2-gi Korpus. Studnickiego rozpytywał o jego ocenę nastrojów pod okupacją sowiecką. Interesował go dylemat: czy na miejscu zostanie bolszewizm, czy zabór „starej Rosji”? Zgodnie z własnym przekonaniem powiedziałem mu, że raczej odwrócenie starej Rosji. Zarówno w metodach jak, przede wszystkim, w celach. Widać było, że mój pogląd nie przypadł mu do gustu.

— Pan profesor Studnicki — powiedział — a i pański brat w Londynie, są akurat odmiennego zdania.

Studnicki w ciągu całej rozmowy, ani słowem nie przerywał moich wywodów.

— Nie, nie — zakończył Doboszyński — to muszą panowie jakoś uzgodnić między sobą.

Akurat: „uzgodnić”! W parę lat później Doboszyński skazany przez komunistów polskich na śmierć, został rozstrzelany. Stanisław Mackiewicz przystał do PAX-u w Warszawie. Studnicki umarł na wygnaniu w Londynie.



Ale wróćmy jeszcze o pół wieku od tamtych spraw wstecz. W 1896 Studnicki przedostaje się z Tobolska do Krakowa, wciąż

jako ortodoksyjny socjalista. Rusza stamtąd na zachód, studiuje w Heidelbergu, Zurychu i Wiedniu. Masę pisze. Jest czynnym działaczem PPS. Zbliży się do Piłsudskiego. Otrzymuje zadanie scentralizowania polskiego ruchu socjalistycznego za granicą. Jest redaktorem wychodzącego w Londynie organu PPS „Świt”, przeznaczanego następnie do kraju. Całymi dniami przesiaduje w bibliotece British Museum, wertując materiały w wielu językach.

Rezultat: „Dochodzi do przekonania, że tzw. międzynarodowa solidarność proletariatu jest konwencjonalnym łągarstwem”! — Robotnik niemiecki nie chce dopuścić polskich do Westfalii; francuski żadnych robotników włoskich do Francji. Wreszcie, gdy szwajcarscy socjaliści pobierają uchwałę, aby do Kantonów nie dopuszczać żadnych obcych robotników, jak długo choć jeden Szwajcar pozostaje bezrobotny, Studnicki ma tego dość. Po dwóch latach pobytu opuszcza Londyn, a zarazem ruch socjalistyczny.

Teraz staje się rzecznikiem koncepcji: polsko-niemiecko-węgierskiej koalicji skierowanej przeciwko Rosji. I tej koncepcji jest wierny do końca życia. Jest znowu w Warszawie, gdzie podczas rewolucji 1905 roku zakłada pismo *Naród i Państwo*, zaciekle zwalczając Stronnictwo Narodowe i politykę Dmowskiego. Następnie wydaje, z Tadeuszem Gruźewskim, pismo w Petersburgu, pt. *Votum Separatum*, zwalczające idee panslawistyczne. W jednym z numerów tego pisma znalazł się następujący passus: „... Stan pokoju może wpłynąć na rozkład narodu polskiego, degradując go do słowiańskiego elementu etnograficznego. Tylko wojna stanie się tą bezką prochu, która całą żywiolową nienawiść skieruje przeciwko Rosji!” — Pismo głoszące podobne hasła w stolicy dawnej Rosji, zostało — zabronione...

Studnicki wyjeżdża do Krakowa. Tam zbliży się ponownie do Piłsudskiego i Sosnkowskiego. W roku 1910 wydaje książkę pt. „Sprawa Polska”, w której głosi tezę, że Polska nigdy nie może uzyskać niepodległości na drodze „ewolucji”, lecz wyłącznie drogą „walki zbrojnej”.

Wybucho pierwsza wojna światowa, która wynosi Studnickiego na szczyt jego ówczesnej działalności politycznej w Polsce. Staje się symbolem tzw. „aktywizmu”. Zwłaszcza po deklaracji „dwóch cesarzy” z 5 listopada 1916 o utworzeniu niepodległej Polski. Studnicki nigdy nie zabiegał o popularność, jak to czynią normalni politycy. Wciąż miał mało zwolenników, a dużo wrogów. O tym okresie walk i zmagani opowiada w swej wydanej już w roku 1951 książce — znakomicie przetłumaczonej na niemiecki przez Urszulę von Bieler — pt. „Irrwege in Polen”. Zresztą w drugiej części poddaje w niej miazdzącej krytyce niemiecką politykę okupacyjną w drugiej wojnie światowej.

Stosunek do polityki polskiej między wojnami, charakteryzuje może najlepiej zdanie Studnickiego, że: mianowanie Sławoja-Składkowskiego premierem rządu, uważał za: „obelgę dla narodu polskiego...”.

Jest zaprzysiężonym przeciwnikiem konfliktu polsko-niemieckiego. Napisał w tej sprawie książki, liczne broszury i masę artykułów. Niezależnie od memoriałów, w których upierał się że w rezultacie takiego konfliktu jedynym zwycięzcą będzie tylko — Rosja. Mówił o tym nie tylko Polakom. Rozmawiał też (w roku 1936) z Goebbelsem, Ribbentropem i nawet samym Hitlerem. Malując wciąż czarny obraz „Rosji”.

Powiedzmy, nie zawsze dostatecznie przekonywująco. Tak np. już po katastrofie 1939 roku, w memoriale złożonym rządowi niemieckiemu, pisał: „Murawiew został po roku 1863 przezwany *wieszatelną*, oprawcą i katem. W tej chwili niemieckie władze okupacyjne w przeciągu kilku tygodni potrafiły wielokrotnie prześcignąć Murawiewa. W dawnej Rosji Murawiew otoczony był powszechną wzdrgą. Gdy poseł Rodiczew w roku 1907 porównał ministra Stołypina do Murawiewa, Stołypin wyzwał Rodiczewa na pojedynek. Czy naród niemiecki w ocenie tych, którzy idą śladami Murawiewa, ma się okazać o tyle mniej subtelny od narodu rosyjskiego?”.

Wkrótce potem został aresztowany. Następnie wezwany przed oblicze Goebbelsa, który mu oświadczył, że teraz jest szkodliwy dla interesów Niemiec. Osadzony w dość luksusowym sanatorium w Babelsbergu, wypuszczony został dopiero po upadku Francji w 1940, z prawem powrotu do Warszawy. Nie przestał pisać memoriałów, protestów i rozmawiać, jak się wówczas potocznie mówiło: „z Niemcami”.



Wielokrotnie słyszałem w tamtych czasach pytanie: dlaczego właściwie Studnicki nie został zastrzelony z wyroku polskich władz podziemnych? — Istotnie, w ówczesnych nastrojach terrozu i kontrterrozu, a zwłaszcza przy poziomie intelektualnym niektórych dyspozytorów takich wyroków, łatwo mogło do tego dojść. Studnicki się o to nie kłopotał, nie miał czasu, pochłonięty całkowicie swą działalnością.

Raz zawiadomiono go, że planowany jest na niego zamach ze strony organizacji Bolesława Piaseckiego. Ale akurat Piasecki został aresztowany, i ktoś z jego organizacji przyszedł prosić Studnickiego, by spróbował interweniować u władz niemieckich. Studnicki odpowiedział: „Jeżeli nie grozi mu kara śmierci, nie będę interweniował. Jeżeli zaś grozi, zrobię wszystko co w mojej

mocy”. Ponoć groziła. Studnicki istotnie rozpoczął zabiegi o wypuszczenie Piaseckiego. (Istnieją też inne relacje o interwencjach na rzecz Piaseckiego. Rzekomo z Włoch) — Piasecki został wypuszczony i natychmiast się ukrył. W każdym razie złożyło się, iż otwierał długą listę osób o które interweniował Studnicki. Niektórych udało się uratować, jak Adolfa Nowaczyńskiego, Chacińskiego z przywództwa Chadecji, adwokata Powidzkiego z Poznania i bardzo wielu innych. Ale też dużo starań nie odniosło skutku, jak np. w sprawie Barlickiego z PPS, który zginął w Oświęcimiu, etc. W tym czasie Studnicki był w stałym kontakcie z Rybarskim z endecji, ze Szpotańskim, b. wiceprezydentem Warszawy, któremu po aresztowaniu, udało się zbiec z Pawiaka. To było niejako sektorem prywatnym działalności Studnickiego.

Nie wchodzę w szczegóły działalności politycznej. Jeżeli jednak wolno mi wtrącić własną ocenę na marginesie, błąd „doktryny” Studnickiego wydaje mi się tkwić korzeniami w jej, niejako, archaicznosci... Tak jak stara Rosja nie jest podobna do bolszewickiej, tak też przesłanki z czasów Niemiec cesarskich, nie nadawały się do Niemiec hitlerowskich. Niemcy hitlerowskie były siłą destrukcyjną dla całej Europy, gdyż zarówno swoją polityką, jak całą mentalnością i metodami, „odbierały wiatr z żagli” wszelkiemu antybolshewizmowi, antykomunizmowi... Rezultat był odwrotny, w skutkach: rewaloryzowały i popularyzowały w całym świecie tego wroga, z którym Studnicki walczył całe życie pod mianem: „Rosja”.

Skończyło się źle. Nie pomogły rozmowy „z Niemcami” na różnych szczeblach: politycznym, wojskowym i władz okupacyjnych. Było nawet sporo rozsądnych Niemców, którzy gotowi byliby przyznać rację Studnickiemu, ale nic już zrobić nie mogli. Był nawet gestapowiec, Müller, który przychylił się do interwencji Studnickiego na rzecz aresztowanych. Ale nastąpił po nim: Böhm, w którym wszelkie przejawy „zgniłej” tolerancji wzbudzały odrazę. Ten powiedział Studnickiemu: „Dziwię się, że się z panem jeszcze cackają. Gdyby tak zachowywał się jakiś niemiecki profesor, dawno skończyłby w Dachau. Ostrzegam pana: jeszcze jeden memoriał, jeszcze jedna interwencja, i...”.

Studnicki naturalnie nie ustąpił. Wtrącono go do więzienia na Pawiaku. Tam dostał od razu pałą gumową po łbie, bo taki był zwyczaj pierwszego „przyjęcia”.

Najgorszy był dozorca o polskim nazwisku: Czechowski. Ten uderzył pewnego razu Studnickiego w twarz. Studnicki natychmiast odpowiedział uderzeniem. Został powalony na ziemię i bity przez dwóch dozorców. Bronił się leżąc na plecach, swymi krótkimi nóżkami. Miał wtedy przeszło 70 lat. Byłby oczywiście zatłuczony na miejscu. Ale ówczesny naczelnik więzienia kazał

go traktować z jakimś uprzywilejowaniem. Dostał własną celę, mógł wychodzić na korytarz, mógł pisać. Pod kołdrą przechowywał teraz kawał odłamanej od łóżka żelaznej sprężyny. Zdecydowany był się bronić. Do użycia tego żelaza nie doszło. Ale trzeba było znać Studnickiego: nie zawahałby się bronić fizycznie, jak bronił się przeciwko atakom słownym. Opisywanie Pawiaka jest dziś strasznie oklepane. A to co wyrabiano z Żydami na dziedzińcu więziennym — co było widoczne przez okno — było gorsze od tego co, zdawałoby się, być gorszym nie mogło.

Ale Studnicki opowiada też, że pewnej nocy zajrzał doń gestapowiec, którego znał. A widząc że nie śpi, wdał się w rozmowę: „Idę na front”, powiedział. „Tu nie mogę dłużej wytrzymać. Rozumiem, że można bić mężczyzn. Ale jak można bić kobiety! Jedną przyprowadziłem na śledztwo. Posłano mnie po drugą. Gdy wróciłem, zobaczyłem że pierwsza jest zbita nieludzko. Miałem ją teraz odprowadzić do celi. Nie mogła się utrzymać na nogach. Chciałem jej pomóc, podtrzymać. Wtedy ona ostatkiem sił odepchnęła mnie z odrazą...”

Studnicki opowiadał o tym po wyjściu z więzienia. Było to wtedy typowe opowiadanie, które narażało na otrzymanie w łeb z jednej strony za „oczernianie” gestapowca, z drugiej za „wybielanie gestapowca”.



Dawny poseł węgierski w Warszawie, Hory, interweniował w Berlinie przez osoby wpływowe w berlińskim MSZ na rzecz Studnickiego. Został on wypuszczony po 14 miesiącach pobytu na Pawiaku, w sierpniu 1942.

W każdej chwili mógł być ponownie wtrącony za jakiś nowy memoriał, lub interwencje na korzyść aresztowanych. W każdej chwili mógł być zastrzelony za „kontakty z Niemcami”, z drugiej strony. Późniejsze „dokumentarne” publikacje powojenne, ogłaszane przez kilku ludzi b. Podziemia, wzajemnie ustalających między sobą fakty przeszłości, mogą opisać i zarejestrować wiele rzeczy prawdziwych i nieprawdziwych, ale nie potrafią odtworzyć na żywo panującej atmosfery.

Nie będzie frazesem, gdy powiemy, że Studnicki był człowiekiem „nieustraszoną”. Niezadługo wynikała historia komendanta policji granatowej Reszczyńskiego, o której głucho w późniejszych relacjach. Przywoity człowiek, b. oficer WP i b. komisarz Policji Państwowej w Wilnie, był *de facto* tym, któremu udało się w Warszawie nie dopuścić, aby tzw. „policja granatowa” została użyta do likwidacji getta. Niespodziewanie zostaje zastrzelony z rozkazu władz podziemnych. Studnicki idzie na jego

pogrzeb, i wobec garstki ludzi którzy ośmielili się wziąć w nim udział, wygłasza otwarcie mowę, którą zakańcza słowami:  
„... Był to człowiek, który nie dopuścił do skalania uniformu polskiego przez haniebne czyny. Został zamordowany przez ciemne elementy naszego narodu, które w swej arogancji przywłaszczyły sobie prawo decydowania o życiu i śmierci naszych obywateli. Cześć jego pamięci”.

Rzecz stała się głośna. Teraz wrócono Studnickiemu niechybnie już zastrzelenie. Namawiano go, aby pod przybranym nazwiskiem ukrył się gdzieś na prowincji. Studnicki pozostał w Warszawie, i raczej sam przeszedł do ataku.

Wbrew legendzie, że w totalnym okłamaniu kraju pod okupacją winien jest wyłącznie rząd emigracyjny w Londynie, stan błogiej wiary w Anglię, osiągał w kraju apogeum. Były to czasy, gdzieś 1943 rok, gdy w dalekim Londynie Tadeusz Katelbach odważył się zanotować pod 15 marca: „... przeczytałem wiadomość, która podziałała jak kojący balsam na wzburzone nerwy. Niemcy odebrali Charków! Może wreszcie zmieknie rura sowieciarzom...”. — W kraju, pod okupacją, nawet po Katyniu, „Sojusznik naszych Sojuszników” uchodził za święty dogmat. Polskie radio „Świt” ze Szkocji, to: „chyba... robota niemiecka”... (Podziemna „Orka” w ten sposób reklamowała gen. Sikorskiego na krótko przed jego śmiercią: „Pochodzi z chłopów, a z twarzy podobny jest do Churchilla”).

Studnicki zwracał uwagę, że ilość zgładzonych gestapowców, których za ich zbrodnie zgładzić istotnie należało, jest w gruncie rzeczy znikoma w zestawieniu z wysiłkiem dywersji i sabotażu dokonywanych na korzyść armii czerwonej. Do końca nie ustał w piętnowaniu tej dysproporcji i coraz bardziej jawnego popierania Sowietów, które zamiast oswobodzenia: „przyniosą nam gorsze ujarzmienie i spaczenie duszy narodowej”. — Jego stosunek do Podziemia charakteryzuje lapidarnie opinia, już po wojnie, o wywiezieniu i procesie 16-tu przywódców w Moskwie: „Ani jeden z nich nie odważył się wystąpić przeciwko polskiej polityce wobec Sowietów. Przeciwnie, każdy zapewniał o swej lojalności wobec Związku Sowieckiego, podając się jednocześnie za bohatera narodowego”.



Wszystko stracone. Nie zburzenie Warszawy, którą zawsze można odbudować. Ale to, co już odbudować się nie daje. Studnicki wyjeżdża na Węgry. Stamtąd do Kitzbühel w Tyrolu. Stamtąd do Rzymu. Z Rzymu do Londynu.

Jeżeli można powiedzieć o załamaniu wszystkich dążeń i planów całego życia, to w pełni odnosi się do życia Studnickiego.

Nie tylko „Ziemie Wschodnie Rzeczypospolitej” o które walczył od zarania, cała Polska, a wraz z nią pół Europy, na której pomocy roił strategie sojusznicze — znalazły się w rękach nienawistnego wroga. W jego wieku mógł stać się człowiekiem złamanym. Nie stał się. Powołując się na swą wizję z przeszłości, której nikt nie podzielał, na swe rady, których nikt nie wysłuchał. Tak może czynić — i przeważnie czyni — każdy człowiek. Co jednak różniło Studnickiego od „każdego”, to bezwzględna uczciwość w relacjach osobistych peregrynacji. W wyjątkowym chyba zakłamaniu jakie zapanowało po drugiej wojnie światowej, w doklepaniu sobie i innym poczytnych etykietek, niezdarzonych zdarzeń i niewypowiedzianych słów — Studnickiego można było zawsze słuchać z największym zainteresowaniem, aby się dowiedzieć czegoś prawdziwego.



W Londynie czuł się fatalnie. Zaproponował Grydzewskiemu do *Wiadomości* cykl pt.: „Dlaczego nie zostałem polskim Quislingiem”. Ale Grydzewski odrzucił ten tytuł. Czuł się zagubiony, choć przecie znał to miasto jeszcze sprzed wojen.

Kiedyś, na stacji Underground Oxford Circus, przepychał się łokciami drobny staruszek wołając przed siebie: „Piccadilly! Piccadilly! Piccadilly!...”. Złożyło się w 9 milionowym mieście, w sam *rash-hour*, że w tłumie znalazł się Karol Zbyszewski. Wziął Studnickiego za rękę, zapytał:

— Pan profesor dokąd chce jechać?

— Na Covent Garden.

Zbyszewski poprowadził go na platformę Bakerloo Line, wytłumaczył jak ma się przesiadać, usadowił w wagonie. W zaafekowaniu Studnicki nie rozpoznał nawet Zbyszewskiego, i zapomniał mu podziękować; przyzwyczajony, że zawsze jakiś dobry człowiek mu pomoże. Jak bywało we wszystkie te dziesięciolecia tułaczek; pomiędzy Tobolskiem i Oxford Street.

Mieszkał w tym czasie gdzieś na Bayswater. Co go nękało najbardziej w Londynie, to kasarniana jednostajność budynków i ulic: identyczne sztachety, identyczne schody, drzwi, framugi okien... Wszedł na piętro, wszystko się zgadza. Klucz dlaczegoś nie pasował, więc zadzwonił, i sądząc że w domu jest ktoś obcy, nie zwracając uwagi na otwierającego, zaczął na własnych szarogach wieszać własne palto... Gospodarz, Aanglik, był zdumiony. To było cudze mieszkanie. Nazwy swojej ulicy i numeru Studnicki zapomniał. Ze spisu telefonów nakręcił do Stanisława Mackiewicza:

— Proszę pana, gdzie ja mieszkam? Tu Studnicki.

Otrzymał dokładny adres. — *Sorry*, powiedział Anglikowi. *Sorry*, odpowiedział tamten.

Zastałem u niego kiedyś plikę książek, drogie nowości.

— Skąd pan profesor ma te cenne książki?

— A to, Stanisław Stroński. On wie, że teraz brakuje mi pieniędzy, więc kupuje i przynosi.

Stanisław Stroński był młodszy od niego. Ale bądź co bądź już w roku 1910 był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w 1913 posłem na Sejm Krajowy we Lwowie. Niektórzy twierdzą, że właściwy wiek XIX trwał do roku 1914. A więc zaliczał się do jednego z najstarszych adwersarzy politycznych Studnickiego. Gdy Studnicki w roku 1914, w „aktywizmie” po stronie państw centralnych dostrzegał realizację swych rojeń politycznych, Stroński do roku 1917 internowany był przez władze austriackie. On też, Stroński, żegnał nad grobem w Londynie wzruszającą mową swego dawnego przeciwnika.

Ładne jednak bywały niektóre gesty odziedziczone z XIX wieku.

Józef MACKIEWICZ

## BBC — POLISH SECTION

The BBC requires a Programme Assistant for its Polish Section in London. Applicants with Polish as first or best language must have degree level education, a thorough knowledge of English, good microphone voice, journalistic experience an advantage.

For further details write in English within 14 days to:

**RECRUITMENT OFFICER, BBC, BUSH HOUSE,  
P.O. Box 76, STRAND, LONDON WC2B 4PH.**

Enclose a self-addressed envelope for reply and quote reference: 79.G.1117.



## Ci, co odeszli

### Witold Sworakowski (1903-1979)

15 stycznia br. zmarł w Stanford, Kalifornia profesor Witold Sworakowski — działacz społeczny, politolog, historyk i publicysta. Urodzony w Rumunii w 1903 roku i wykształcony w Polsce, był w latach 1930-tych współorganizatorem Światowego Związku Polaków Za Granicą i współpracownikiem Instytutu Badania Spraw Narodowościowych w Warszawie. Za prace o ochronie praw polskiej mniejszości narodowej w krajach ościennych był przez władze Rzeczypospolitej dwukrotnie odznaczony Krzyżem Zasługi, a także w czasie okupacji niemieckiej poszukiwany przez Gestapo.

Przeszedłszy do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w 1936 r., Witold Sworakowski przebywał na placówkach dyplomatycznych Rzeczypospolitej w Czechosłowacji, Łotwie i Litwie. Po wybuchu wojny, aż do wkroczenia wojsk sowieckich do Kowna, Witold Sworakowski organizuje przerzut żołnierzy polskich, internowanych na Litwie, do Anglii i Francji.

Jako wicekonsul Rzeczypospolitej w Chicago, w latach 1942-1945, Witold Sworakowski rozwija akcję pomocy na rzecz okupowanego przez Niemców kraju, wysyłając transporty żywności, odzieży i lekarstw. Jednocześnie poświęca wiele czasu i wysiłku sprawie politycznej mobilizacji Polonii Amerykańskiej. Po tragedii jałtańskiej Witold Sworakowski podejmuje pracę naukową w Instytucie Hoovera w Stanford. Jako kurator zbiorów europejskich, a następnie wicedyrektor Instytutu, przyczynia się do rozbudowy księgozbioru i archiwów, podnosząc wagę Instytutu do czołowego ośrodka badań historii współczesnej. Jednocześnie, mianowany profesorem historii na uniwersytecie Stanford, wykłada i publikuje. Witold Sworakowski jest autorem pięciu książek, szeregu monografii i kilkudziesięciu artykułów.

Szczególne starania czyni Sworakowski gromadząc polskie materiały archiwalne z okresu drugiej wojny światowej. Dzięki Niemu bezcenna dokumentacja dotycząca losu deportowanych

w głąb Rosji Polaków, jak również materiały ambasady Rzeczypospolitej w Moskwie i Kujbyszewie zostały udostępnione historykom.

Obciążony wieloma obowiązkami zawodowymi znajduje jednak czas na pracę wśród miejscowej społeczności polskiej. Zostaje Prezesem Północno-Kalifornijskiego Oddziału Kongresu Polonii; wraz z żoną, p. Heleną Sworakowską, prowadzi program radiowy dla Polaków i kieruje niezliczonymi imprezami oświatowo-kulturalnymi. W pracy wśród Polonii reprezentuje pryncypialne stanowisko niepodległościowe, zwalczając tendencje apolityczne i penetrację środowiska polonijnego przez reżym warszawski. Działalność polonijna Sworakowskiego nie ogranicza się do Kalifornii; występuje również na szczeblu ogólnokrajowym jako jeden z dyrektorów Polonii i jako członek Rady Północno-Amerykańskiego Studium do Spraw Polskich.

Rząd emigracyjny w Londynie nadał Witoldowi Sworakowskiemu Krzyż Kawalerski orderu Polonia Restituta za zasługi w pracy niepodległościowej i społecznej na polu narodowym i naukowym. Tuż przed śmiercią, Komitet Wykonawczy Ogólnokrajowego Kongresu Polonii nadał Mu także członkostwo honorowe.

Andrzej BRZESKI

### SPOTKANIA

Ukazał się w formie książkowej 3 i 4 numer nieocenzurowanego pisma *SPOTKANIA* (Niezależne Pismo Młodych Katolików). Książka zawiera m.in. następujące artykuły: *Dyskusja w KIK „Chrześcijaństwo wobec praw człowieka”*; Nowosław Ustroń — *Tak zwana utopia komunistyczna*; *Kościół katolicki i państwo radzieckie w okupowanej przez ZSSR Europie Wschodniej 1939-1940*; Ks. S. Małkowski — *Kościół a totalitaryzm*; Jan Sadok — *Strategia ewangelizacji w Polsce*; Ks. J. Tischner — *Horyzonty apostołstwa świeckich*; *Eurokomunizm i eurokatolicyzm* — rozmowa z O. B. Sorge SJ, oraz liczne dokumenty o pozycji demokratycznej w kraju.

Zamówienia oraz wpłaty na fundusz *SPOTKANIA* należy kierować na adresy:

**SPOTKANIA, 15 BROXHOLM RD.,  
LONDON SE 27. — ENGLAND.**

lub

**PIOTR JEGLIŃSKI, 95 RUE DE SÈVRES,  
75006 PARIS. — FRANCE.**

Cena egzemplarza: F. 30, lub £3, \$7,50, DM 15.

## Wołanie na puszczy

### Warszawskie naszczekiwanie różnostronne

Warszawa w grudniu 1978

I znowu, po wyborze Kardynała Wojtyły, następne wstrząsy spontaniczne, nabożeństwa, kazania i przemówienia, pochody, patriotyczne manifestacje — tym razem z okazji 11 listopada, prawdziwej 60-tej rocznicy odzyskania niepodległości. I znów rządzący mieli okazję się przekonać jak dalece dygnitarska pycha, sztywna i drętwa „mowa” bez treści, uporczywe powtarzanie tych samych obrzędowych frazesów wyobcowały ich ze społeczeństwa. W swej psychicznej izolacji nie przywiązywali do tych „nieplanowych” problemów wagi, a tu przyszedł jeden i drugi autentyczny, narodowy dreszcz i pokazał zaskoczonym oficjalnym oczom, jakie impulsy rządzą polską opinią i jak bardzo wyemancypowała się już warszawska na przykład ulica. Rzecz to przy tym specjalnie godna uwagi, zważywszy, że zmierzch obecnej ekipy wobec jej gospodarczych porażek (które na próżno zmniejszyć próbuje Zachód, pompując wciąż w gierkowski worek bez dna pieniądze) jest już dla wszystkich oczywisty: jakież pole dla prowokacji wobec coraz to śmielszych nastrojów ulicy! Ciekawe: *qui vivra, verra!*

Czy zresztą rządzący coś dostrzegają? Pewno tak (miny w telewizji prezentują dość żałosne), ale pewno nie są już w stanie wyprowadzić z tego jakichkolwiek wniosków politycznych. Ludzie zadają sobie pytanie, dlaczego np. władcy sami ściągnęli sobie na głowę uliczne i kościelne demonstracje 11 listopada, przenosząc лихо wie po co „swoją;” rocznicę na nikomu nieznaną dzień 6 listopada? Toć tego Ruscy na pewno nie żądali — to własny „genialny” pomysł. I dlaczego prowadzono długi czas politykę przeciwstawiania Prymasa Polski kardynałowi Wojtyłce, a teraz, zamiast rzecz zdezawuować i napędzić inicjatorów tego głupstwa, przemilcza się ciekawe działania nowego Papieża, draż-

niąc tym ludzi do białej gorączki? I dlaczego ukrywa się przed społeczeństwem poczynania pana Ceaucescu, o których wszyscy wiedzą z zagranicznego radia? Skąd w ogóle biorą się błędy psychologiczne i gospodarcze, które każde dziecko widzi jak gołego króla, a które do reszty podcinają opinię i tak już na krawędzi krachu manewrującej ekipy?

Hm. Władza absolutystyczna oślepia, a świat w ogóle rządzony jest minimalną ilością rozumu (patrz: „Dzieje głupoty w Polsce”). Ale nie moją jest rzeczą doradzać komunistom jak mają wykonywać swe rzemiosło. Kiedyś już próbowałem to robić — nie słuchali, skutek był wiadomy. Witaj skutku!

Prasa nadal bije rekordy psychologicznej bezmyślności, tudzież sklerozy. Pierwsza strona *Trybuny Ludu* to nieodmiennie dygnitarskie wizyty, ceremonie, depesze, partyjne rocznice, galówki. No i lokaut w zagłębiu Ruhry (jak tam jest żele!). Tytuł wstępniaka: „Wszelkierony i harmonijny rozwój gospodarki” zakrawa na świadome kpiny, a to przecież tylko rutyniarska sztampa. Zaś wizyta pana Jabłońskiego w Angoli, rozwleczona na wiele szpałt jako „spotkanie starych, dobrych przyjaciół” to, wobec pomijania najważniejszych polskich spraw dnia codziennego, istny kącik humoru. Zaiste — prasa komunizmu gorsza jest od samego komunizmu!

Ale jeszcze jest gorzej, gdy wolna prasa przez nieodpowiedzialność i mętniactwo mąci ludziom pod czaszką — i tu, jako „pies obrotowy”, przechodzi do szekania w drugą stronę, na swoich. W *Kulturze* nr 10, 1978 ukazał się artykuł Włodzimierza Marta „O esejach Juliusza Mieroszewskiego”, przedrukowany z warszawskiej *Krytyki*. Przeczytałem i szlag mnie trafił, gorzej niż gdybym czytał *Trybunę Ludu*. Chodzi o nieszczerony termin „socjalizm”. Pisałem o tym kiedyś w *Kulturze* jako „krajowiec” (1976), atakując w tej materii śp. Mieroszewskiego, wywiązała się spora dyskusja (niestety bez udziału zmarłego w tym czasie Autora „Materiałów do refleksji i zadumy”), coś niecoś wyjaśniono, lecz potem wszyscy zapomnieli pan Mart znów swoje. „I oto muszę wszystko zaczynać od początku” — jak powiedział orangutan, gdy ludzkość wyginęła w wojnie atomowej.

Nieodżałowany Juliusz Mieroszewski był na pewno znakomitym publicystą, błyskotliwym i dużo wiedzącym, obdarzonym darem zaskakująco nieraz trafnej syntezy. Wada jego, że nie znając dokładnie zasad naszego ustroju, przykładał doń nieraz zupełnie nieadekwatne miary zachodnie, zmieniając zresztą częstokroć punkt widzenia. Zwłaszcza kontrowersyjne było jego przyznawanie się do „socjalizmu”; korzystając z wieloznaczności tego terminu Mieroszewski, jak się zdaje, miał przezeń na myśli socjaldemokratyzm (termin w Polsce mało używany), czyli częściowe reformy dokonywane w ramach ustroju kapitalistyczno-parlamentarnego. Można by się z tym po trochu zgodzić, gdyby nie to, że uparcie nazywał tę postawę „socjalizmem”, nadmieniając jednocześnie, że w Polsce po ewentualnym wyzwoleniu zachować

należy „zdobycze socjalizmu”. Nigdy natomiast, zonglując słowem „socjalizm”, nie zajął stanowiska wobec zasadniczych właściwości dzisiejszego polskiego ustroju, jakimi są: zlikwidowanie prawa wartości i praw rynkowych, niewymienialność pieniądza, oparcie systemu cen i płac na centralnym interwencjonizmie, planowanie całościowe, budżetowanie uwzględniające jedynie produkt globalny po relatywnych cenach urzędowych etc. Mówienie o „socjalizmie” abstrakcyjnym w abstrakcyjnej demokracji jest w naszych warunkach czystą wiatrologią.

Rzecz mógłby wyjaśnić pan Mart, siedzący w samym środku Warszawy i mający chyba oczy w głowie — niestety, przeciwnie, jeszcze bardziej ją zaplątał. Z młodzieńczym entuzjazmem i sercem na dłoni cytuje on jako wspaniałe powiedzenie Mieroszewskiego, iż „Trzecia Rzeczpospolita ...zatrzyma zdobycze socjalizmu. Tak jak w polskich warunkach nie może być powrotu do wielkoobszarniczej prywatnej gospodarki rolnej, tak nie może być również kapitalistycznej reprivatyzacji wielkich zakładów przemysłowych”.

P. Mart zachwyca się tym sformułowaniem, jako „oczywistym dziś niemal dla każdego mieszkańca kraju”, ja uważam je za anachroniczne, pełne nieporozumień i wynikiłe z niedialektycznego braku wyobraźni wobec dzisiejszych spraw polskich. Pewno, że „nie odda się ziemi obszarnikom”, bo nie ma ani czego ani komu oddawać. Polska zmieniła terytorium i strukturę ludności, a wnukowie dawnych „obszarników” (jeżeli są) to siedzą w dużych miastach na państwowych posiadach i ani by im się śniło wracać do zdewastowanych, zamieszkałych dworów i podejmować syzyfową a nierentowną pracę scalania (!) podzielonych przed wielu dziesiątkami lat lub też upaństwowionych nielicznych obszarniczych majątków. Samo postawienie sprawy jest absurdalne, co nie dowodzi, iż nie istnieje problem, co zrobić z PGR-ami i większymi państwowymi majątkami oraz jaka w ogóle ma być struktura rolna Polski (zresztą oficjalna nasza propaganda za scalaniem ziemi przypomina do złudzenia przedwojenną argumentację ziemian przeciw reformie rolnej). Sprawa jest otwarta i nie da jej się zamknąć archaicznym sloganem.

Jeszcze bardziej mylące jest stwierdzenie, iż nie może być „kapitalistycznej reprivatyzacji wielkich zakładów przemysłowych”. Jeśli chodzi o huty, jak „Warszawa”, „Katowice”, „Huta im. Lenina”, „Huta Kościuszko”, o stocznie, o Żerań, o wiele zakładów maszynowych, o przemysł miedzi czy siarki etc., to istotnie żadna „reprivatyzacja” nie może wchodzić w grę, gdyż zakłady te nigdy nie miały właścicieli, powstały jako państwowe i wątpliwe, aby jakikolwiek „prywatny” człowiek chciał kiedykolwiek brać sobie na głowę ich ciężką gospodarkę i niepewne zyski (pomijając już fakt, że w nowoczesnym kapitalizmie indywidualne władanie wielkimi kombinatami to już muzyka przeszłości, większość takich zakładów w RFN na przykład należy do spółek akcyjnych, do „kapitału anonimowego”, Volkswagen

w Wolfsburgu jest w dużym stopniu własnością robotników etc.). Nawet nieliczne prywatne przed wojną zakłady jak „Cegielski”, „Solway” oraz niektóre kopalnie są tak rozbudowane i przekształcone, że żaden z przedwiekowych właścicieli, jeśli gdziekolwiek żyje, by się do nich nie przyznał. Nie ma więc żadnego problemu „reprivatyzacji”, byłby natomiast, gdy nastanie mocno hipotetyczna wolność, gigantyczny problem co zrobić z olbrzymimi zakładami, nadającymi jednostronny kierunek polskiej gospodarce, uzależniającymi nas coraz bardziej od celów produkcyjnych ZSSR, nierentownymi a zatrudniającymi miliony ludzi? Komu je wydzierżawić!?! A może część przeznaczyć na złom, jak się dziś robi ze stalowniami w Westfalii czy Zagłębiu Ruhry? I jeszcze jedno. Każdy przytomny człowiek w Polsce wie, że należy nie tyle „reprivatyzować” (bo nie ma czego) ile STWORZYĆ w Polsce prywatną drobną i średnią wytwórczość oraz handel — to jest droga do wyciągnięcia kraju z kolektywnego marazmu, z ekonomicznej niewoli, jaką wprowadził u nas socjalizm, do odrodzenia jawnego pluralizmu społecznego.

Taki jest skutek nieodpowiedzialnego używania słów wieloznacznych a nadużytych i skompromitowanych. Nie mogąc się tu rozwodzić zbyt szeroko, proponuję p. Martowi, aby zapoznał się z moją broszurą „Na czym polega socjalizm?”. Wyszła, lub lada moment wyjdzie w „Odnowie”, po niemiecku wydano ją w Zurychu (wyd. Interfrom) pod tytułem „Polen oder die Herrschaft der Dilettanten” (łaskawy tytuł pochodzi od wydawcy). Zgromadziłem tam wszelkie znane mi argumenty przeciw słowu „socjalizm” — a i jego treści też. Proponuję PP. Oponentom dokładne zapoznanie się z tym tekstem i stoczenie wreszcie dyskusji takiej, z której by coś zostało, poza mówieniem do słupa. Może *Anex* podjąłby rękawicę — toć oni są od tego!

KISIEL

*Post scriptum.*

a) W felietonie moim „Warszawskie rozrywki jesienne” (*Kultura*, 1978, nr 11) opuszczony został fragment o tym, jak humorystycznie reaguje Warszawa na antychińską kampanię naszej prasy. Opuszczony przypadkiem, boć redaktor Giedroyc chyba cenzury nie stosuje. b) W tymże felietonie zmieniono nazwiska dziennikarzy: Łoziński na Łodziński a Kołodziejcki (dwukrotnie) na Kołodziejczyk. To drugie jest bolesne, bo szło mi o dziennikarzy, co w Skandynawii pisują wciąż o bezrobociu, a właśnie Kołodziejcki jest w Kopenhadze, gdy Kołodziejczyk w Paryżu. „Cały pogrzeb na nic” — jak powiedział Franc Fischer, gdy mówca na cmentarzu pomylił nazwisko zmarłego. c) Książka Bartoszewskiego „1859 dni Warszawy” miała w Polsce nakład 10.000 — nie 30.000. Moja wina!

KISIEL

## Początek karnawału

Warszawa w styczniu

Okres przedświąteczny 1978 upłynął w stolicy na pogoni za śledziem i karpem, wiele godzin sterczące na ulicach ludzkie ogony oddawały honor tym szlachetnym widać rybom. Brak śledzia został już wytłumaczony przez znaną anegdotkę: instruktor partyjny tłumaczy słuchaczom, że posiadamy teraz 500 km. wybrzeża morskiego, a więc śledź ma gdzie uciekać, co na 100-kilometrowym odcinku przedwojennym było utrudnione. Ale gdzie puciekały karpie ze stawów w państwowych gospodarstwach? Jedni mówią, że zostały sprzedane „na lewo”, inni, że nie wyrosły, bo zapomniano je nakarmić, jeszcze inni, że udusiły się pod lodem, bo zimy nie zaplanowano. Śledzi zresztą rzeczywiście jest teraz na świecie mniej, ale innych ryb morskich też w Święta nie było (poza... importem z Kanady) choć flotę rybacką mamy największą w naszej historii. Tyle, że flota jest „uspołeczniiona”, przetwórstwo i transport też... „Musiecie się zdecydować: socjalizm czy ryby” — rzekł pewien mędrzec.

Wbrew zapowiadaniem przez defetystów sloganowi „Zdrowych, bezmięsnych Świąt życzy Partia i Rząd” przed samą Wigilią „zruciono” na rynek sporo drogich szynki i kielbas, za to dla odmiany zniknęła... chleb. No i po raz pierwszy w tej skali zanotowano typowo sowieckie zjawisko: chłopi przyjeżdżający do Warszawy z daleka kupować... chleb i jarzyny. Jak się zdaje obecnej ekipie udało się to, czego nie dokonali ani Bierut ani Gomułka: podciąć na całego rolnictwo. Starzy chłopi, ostatni zamiłowani pracownicy na roli, zniechęceni przez długoletnie braki w dostawach węgla, pasz i niekorzystne ceny skupu, teraz dodatkowo zdeorientowani zawiążyli ustawą o emeryturach, wreszcie skapitulowali. Ziemia często gęsto przechodzi do państwowego funduszu, który nie wie co z nią robić, bo chętnych do pracy brak, pieniądze mało dziś kosi, chyba że zagraniczny. No i tak prawidłowościom systemu stało się zadość: rolnictwo mamy „z głowy”. Musiecie się zdecydować, albo socjalizm albo...

Mimo wszystko wywalczonemu w dramatycznym trudzie obżarstwu i pijaństwu świątecznemu stało się zadość: realizowano je przy telewizorach, gdzie szły bez przerwy stare amerykańskie filmy oraz przedwojenne przeboje, bo tylko to bawi dziś Polaków, o czym wie dobrze dyrektor telewizji, tzw. pieszczotliwie „krwawy Maciej”. Za tę potrójną porcję rozrywki można przecierpieć absurdalnie samochwalczą propagandę: nic za darmo!

Przed długimi w tym roku świętami praca jęła kuleć zawczasu, bo od tygodni bardzo już źle poczęły kursować warszawskie

autobusy. Podobno nie ma części zamiennych (gdzie się podziały? — o przedziwna mistyko wyjaśnię!) i brak kierowców — nikt nie chce pracować w koszmarnym tłoku i przeciążeniu, choć pensje są wysokie. Ale pieniądze, powtarzam, przestał tu ludzi nęcić, bo „bez chodów” niewiele zań można kupić. Ludzie „kombinują”, a żadnego przymusu nikt się już nie boi, zresztą któż by się odważył go stosować... Mechanizm pieniężny nie działa, psychologiczny też nie. A więc...

Przed Nowym Rokiem — sensacja. Prasa warszawska pełna jest jeszcze ironiczno-triumfujących relacji o awarii elektryczności we Francji, gdy oto jedna doba śniegu i mrozu, czyli nie zaplanowanej zimy wtrąca stolicę w niebywały zamęt. Okazuje się, że wielkie warszawskie elektrociepłownie mają rezerwy paliwa najwyżej na jeden dzień, że składy węgla oraz taśmociągi nie są chronione od mrozu więc zamarzły, że pociągi z węglem ze Śląska nie dochodzą, a pług odśnieżające są archaiczne i nie pomagają. Wszystko staje, z mieszkań znika ciepło, nierzadko woda i światło, szkoły zamknięte, w szpitalach sądny dzień. Powiedziałem kiedyś, że Polska nie może toczyć wojny, bo po trzech dniach niczego nie będzie. — A po co wojna, wystarczy jedna wolna sobota! — odpowiedział mi znajomy. Teraz widzę, że i to niepotrzebne: wystarczy jeden dzień normalnej zimy, którą ktoś zapomniał uwzględnić w planie. Jedyny zysk: zmalała mocno podaż prasowej trucizny, widać drukarnie też zamarzły.

W Sylwestra, na ekranach telewizorów, między rewiją polską a rewiją amerykańską pojawia się przed maltretowaną, zmarznąętą publiką Edward Gierek. Nie stać go jednak na zniesienie się do plebsu i parę okolicznościowych ludzkich słów, odczytuje jak zawsze przygotowane wcześniej, pełne górnolotnych „państwowotwórczych” frazesów przemówienie. O ileż to lat język sanacyjny galówek przeżył Nieboszczkę Sanację, mój Boże!

Po Nowym Roku przepita „ludność” z biur i urzędów raźnie rusza na miasto skrobać śnieg łopatami — nareszcie jakaś samodzielna praca. Ludzie wściekli, ale pękają ze śmiechu, padają zakłady kto kogo weźmie: Generał Mróz Gierka, czy na odwrót? O rzeczywistej sytuacji gospodarczej kraju nikt tu nic nie wie, gdzieżby, to są głębokie tajemnice nie dla profanów: któż by śmiał pytać jak i komu opłaciła się budowa huty „Katowice” lub ile wynosi zadłużenie kraju? O odpowiedzialności żadnej też nie ma mowy, bo nie wiadomo kto na górze czym zarządza, błędy się kumulują, są bezosobowe. Mimo to w ulicznym i tramwajowym parlamencie (tramwaje z bólem wreszcie ruszają) przeważa opinia, że zmierzch obecnie rządzącej ekipy jest nieunikniony. Tylko jak się ma odbyć „zmiana warty” — oto stary problem komunizmu. Stalin gracko to umiał robić, zwalając błędy systemu na ludzi, ale teraz? Niektórzy sądzą, że rozgrywka odbędzie się na partyjnym konwentyklu: wskazują, że na ostatnim plenum KC sekretarz z Konina, Tadeusz Grabski, wygarnął kierownictwu co ludzie myślą i dostał oklaski, choć potem go objechano. „Ktoś musiał za nim stać” — wywodzą dyskutanci,

co przypomina dowcip znanego karykaturzysty, który pod „Rejtanem” Matejki zamieścił podpis: „Powiedźcie-no Rejtan, kto za Wami stoi?”. Inni sądzą, że „wybory” odbędą się na ulicy, jak w grudniu 1970. Na prawdziwe wybory nikt nie liczy, tych nie było w Polsce lat 40 i nie prędko będą. Na zmianę ustroju też nikt nie liczy, ale zawsze z początku każda nowa ekipa troszeczkę się do ludzi przymila, a nawet to i owo poprawi. Później, rzecz prosta, wszystko wraca do normy... socjalistycznej. Życie zaś trzeba po swojemu i „na lewo” — innej drogi nie ma.

A co w świecie? Warszawa wciąż jest pod wrażeniem paktu japońsko-chińskiego i nawiązania stosunków chińsko-amerykańskich. Wiele było śmiechu i oklasków, ludzie dawno już na to czekali: jak się to dzieje, że warszawski człowiek ulicy rozumie sprawy trzy razy szybciej od najwybitniejszych zachodnich dyplomatów? Kiedyś przypominałem pewnemu amerykańskiemu politykowi tezę Orwella, iż gdy istnieją trzy mocarstwa, to w końcu dwa muszą się ze sobą zmówić na trzeciego. Odparł mi wzburzony (był rok 1969), że to jest niemoralne i że Ameryka nigdy na taki „cynizm” nie pójdzie. Ale jakoś poszła, tylko na Tajwanie syn Ciang Kai-szeka oświadczył, że Ameryka po raz pierwszy w dziejach zdradziła swych przyjaciół. Ucz się chłopcze historii, nie po raz pierwszy, nie po raz pierwszy... Polityka wielkich mocarstw często jest niemoralna, a mniejszym — nic z tego.

Za to wszystko Breżniew znów dostał nową porcję orderów. Tego to już nie rozumiem. A w Warszawie śnieżny karnawał...

KISIEL

ZAPRENUMERUJ

## ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować **ZESZYTY HISTORYCZNE**.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi F.160 (\$ USA 37; \$ Can. 44) a dla prenumeratorów **KULTURY** F. 140 (\$ USA 33; \$ Can. 40), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

## Polemiki

### Glosa do proroctwa

W listopadowym numerze *Kultury* z ubiegłego roku Kisiel ogłosił proroctwo dla Europy Zachodniej na najbliższe 30-50 lat. Istotniejszą jednakże od czynników czasowych jest sama perspektywa, jaką szkicuje Kisiel. Mówiąc najkrócej, już niedługo w dziejach Europy (przez geografów zwanej Zachodnią, przeze mnie znanej po prostu Europą, jako że od zakończenia drugiej wojny światowej, Azja — w znaczeniu politycznym i kulturowym — sięga do Łaby) nastąpi moment, gdy wpływy sowieckie zastryumfują nad wpływami amerykańskimi.

Jestem święcie przekonany, że tak będzie; co więcej — symptomy tego zjawiska już teraz są bardzo wyraźne. Ponieważ postanowiłem zająć się w tym miejscu nieco szerzej prorokologią o charakterze politycznym, przywołam jeszcze jedno proroctwo dzieło, a mianowicie „Rok 1984” Orwella, ponieważ także sytuacje przedstawione w tej książce przechodzą z porządku potencji do realności.

Wedle Orwella świat będzie podzielony między trzy supermocarstwa — Oceanię, Eurazję i Wschodnio-Azję. W naszym realnym świecie odpowiadają im Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki i Chiny. Sojusze między tymi gigantami będą się stale zmieniać na zasadzie: dwóch przeciw temu trzeciemu. Nic bardziej prawdziwego! Od momentu powstania Chin Ludowych dokonał się właściwie pełny cykl takich przemian: początkowo Chiny i Związek Sowiecki łączył braterski internacjonalizm proletariacki, a Ameryka była imperialistycznym wrogiem; później nadeszła faza stopniowego ochładzania sowiecko-chińskiej miłości, któremu towarzyszyło pewne zbliżenie na linii ZSSR-USA, by w efekcie doprowadzić do niemal kordialnych stosunków amerykańsko-chińskich, przy równoczesnym obrzucaniu się Moskwą i Pekinu błotem, a także stopniowego wzrostu napięcia między Ameryką a Sowietami. Przypomnijmy jeszcze, że w Orwellowskiej wizji granicę między Eurazją a Oceanią stanowi kanał La Manche,

Wielka Brytania miałaby zatem pozostać w amerykańskiej sferze, i chyba rzeczywiście tak będzie, zatem zasięg proroctwa Kisiela trzeba by ograniczyć do państw kontynentalnych. Nie na darmo mówi się o „brytyjskim konserwatyzmie”, a dodajmy do tego związki językowe, kulturalne, historyczne i ludnościowe z Ameryką. Parę miesięcy temu brytyjski generał (czy nawet marszałek — nie pamiętam, wybaczenie!) Cameron bawiąc w Pekinie, wypowiedział się o Związku Sowieckim jak o wspólnym zagrożeniu dla Chin tudzież Zjednoczonego Królestwa. No i co? Wszystko gra! Choć gwoli ścisłości trzeba dodać, że ledwie wspomniany Cameron powrócił na Wyspy Brytyjskie, flegmatyczni na ogół Anglicy zaczęli z niespodziewaną energią bić się w piersi i odcinać od nieopatrznych wypowiedzi generała (czy też marszałka), byle tylko nie urazić Wodza Postępu — Breżniewa.

Z państw geograficznej Europy pozostaną też poza sowiecką strefą wpływów nic nie znaczące Irlandia i Islandia, bo i po jaką cholereę Sowietał wulkaniczno-lodowcowa Islandia?

Analizujemy jednak dalej — z Orwellem w rękę — polityczną geografę. Supermocarstwa będą ze sobą stale — odpowiednio do aktualnego układu sojuszków — prowadzić wojnę, jednak wojna ta nie będzie się toczyć na terenie imperiów, a na obszarze niczym, gdzie poszczególne kraje czy obszary będą przechodzić z rąk do rąk, może bardziej w sensie pozostawiania w sojuszu, niż w sensie formalnej okupacji; a więc już to Egipt będzie wypróbowanym sojusznikiem ZSSR, by z dnia na dzień sojusz miał runąć w gruzy, już to Etiopia będzie w jak najlepszych stosunkach z Ameryką, by nagle popaść w braterstwo z Moskwą, już to dokonująca postępowych przemian (tzn. przyjmująca sowieckie wpływy i pomoc) Somalia musi nagle korzystać z chińskiej i amerykańskiej pomocy wojskowej. Klasycznym przykładem wojny sowiecko-amerykańskiej jest Wietnam, obecnie już szybko sowietyzowany. Na tym samym obszarze trwa dzisiaj wojna między Chinami a Rosją, które używają do tego Kambodży i Wietnamu.

Proroctwo, czy raczej pewność Orwella ujmuje świat od pewnego punktu w przyszłości, pokazuje pewien stan i jego stabilność, Kisiel zaś prorokuje od dziś na 30-50 lat naprzód, natomiast niżej podpisany stawia sobie za cel ukazanie dynamizmów, które doprowadzą do takiego *status quo* w Europie, jaki przepowiada Kisiel (odpowiednikiem w skali globalnej jest ów orwellowski podział), czyli — krótko mówiąc — pokazania jakimi metodami Sowiety (i Zachód!) zabierają się do realizacji proroctwa.

Oczywiście o żadnym militarnym ataku na Europę nie ma mowy, Sowiety wykorzystują i już wykorzystują wyłącznie metody ideologiczne i gospodarcze. W Warszawie podпиты Breżniew może sobie pozwolić na salutowanie do kapelusza czy szarpanie kierownicy reprezentacyjnej „czajki”, jednak nawet spity do nieprzytomności nie wyda rozkazu ataku atomowego, wie bowiem zbyt dobrze, że to nie ta metoda.

Status, jaki osiągnie Zachód można nazwać „sfinlandyzowaniem”. Jeśli jednak zastanowić się głębiej nad istotą „finlandyzmu” (jest nią nieprowadzenie w polityce zagranicznej działań na szkodę ZSSR), można dojść do wniosku, że już obecnie różnica między Finlandią a krajami Europy Zachodniej ma charakter kwantytyatywny, Zachód jednak finlandyzuje się dość szybko. Już obecnie państwa bloku sowieckiego narzucają cenzurę polityczną środkom masowego przekazu w Europie. Co i raz któraś ze wschodnioeuropejskich ambasad grzmi oburzeniem z powodu „prowokacyjnych i oszczerczych” imprez, audycji czy programów. Ze zgrozą czytałem sprawozdanie A. Drawicza z weneckiego „Il dissenso culturale”, które nieomal zostało unicestwione przez ambasadę ZSSR. Policja francuska usuwa demonstrującego przed Pałacem Elizejskim Amalrika, itd., itp.

To jednak nie wszystko. Nie bardzo chce mi się wierzyć w kryzys ideologii marksistowskiej. Sowietci z rozmachem szerzą ideologię Marksa, praktyka systemu sowieckiego nie ma jednak z Marksem nic wspólnego, ale o tym nikt na Zachodzie nie wie, do Rosji bowiem nikt prawie nie jeździ, a i ci, którzy jeżdżą, widzą głównie to, co im usłużni gospodarze do oglądania podsuwają. Mają więc Rosjanie na Zachodzie licznych sojuszników i nie myślę tylko o małych — stalinowskich bez wyjątku — kompartiach. Oglupiała zachodnia lewica kupi wszystko, co się jej podsunie z etykietką postępowości czy antykapitalizmu. („Jestem kapitalistyczna świnią” — rzekł pewien student z Hamburga, kupując nowy samochód”; jego żona jest od paru miesięcy bezrobotna).

Oczywiście także sowieckie manewry gospodarcze odbywać się będą pod hasłem *détente*, postępu, pokoju (tak, tak, Wojna jest Pokojem). Zachodni wielki kapitał, który oczywiście — jak przewiduje Kisiel — pozostanie nietknięty nawet po całkowitej „finlandyzacji”, zatrze ręce z radości i obficie nabije kieszenie. Nieprzebrane sowieckie bogactwa naturalne! Gigantyczny rynek zbytu! Wspaniałe możliwości kooperacji, sprzedaży licencji i wykozystania taniej sowieckiej siły roboczej! Ropa! (wszak Arabowie ciągle figlują z cenami). Handel! („reszta jak zawsze — handel i kopulacja” — mawia poeta). Panowie! Czego jeszcze trzeba do szczęścia? Handel już zresztą kwitnie. W bieżącym roku Niemcy Zachodnie sprzedały PRL najnowocześniejsze urządzenia do rozbijania demonstracji ulicznych. Lenin też prorokował słusznie: zachodni kapitalista sprzeda Związkowi Sowieckiemu sznur, na którym ten ostatni go powiesi.

Oczywiście EWG pozostanie nienaruszone, a nawet wzmocnione szeregiem dalszych członków i będzie intensywnie kooperować (kolaborować? — ależ nie, to słowo wyjdzie już całkiem z użycia) z RWPG. Rozmowy o współpracy już w toku.

Pozostanie też NATO i Pakt Warszawski — jako zupełnie nieszkodliwe instytucje. Przecież nikt tu z nikim nie będzie wojsował, a za to jak wspaniale będzie mogła rozkwitać „współpraca państw o odmiennych ustrojach społeczno-politycznych” w dzie-

dzinie redukcji zbrojeń i liczebności wojsk, wzajemnych konsultacji, wizytacji, lustracji itp. Do tego jak najwięcej spotkań, konferencji, umów, podpisów.

Nie wróżę natomiast długiego żywota Wolnej Europie (tym razem mam na myśli rozgłośnie). Także programy innych zachodnioeuropejskich rozgłośni radiowych zostaną ostro ocenzone, tak, by nie zakłócały głębokiego (grobowego?) milczenia na Wschodzie.

Związek Sowiecki nie potrzebuje niczego zmieniać w swej taktyce czy polityce. Gospodarczy mariaż dla kapitalistów, ideologia dla lewicy, a Zachód to głównie kapitaliści i lewica, plus tzw. mężowie stanu, którzy wszak zabiegają o względy i jednych, i drugich. Wszystko jasne — będziemy mieli Euroazję. Na tkwiącym w swym statycznym dobrobycie Zachodzie nikt sobie z tego nie zdaje sprawy (prócz publicystów *Kultury* i innych emigracyjnych „żurnalczyków”). „*Aber junger Mann*; — rzekła pewna starsza dama znad Renu, gdy snułem przed nią Kisielowe wizje — *Amerika lässt die Russen nie!*” Ale Bogiem a prawdą *kleiner Mann* z Wiednia, Paryża czy Bonn nie tak znów bardzo kocha tych Amerykanów (na ogół nie lubi się silniejszych) i gdyby nie zagrożenie pozorne, tj. sowieckie rakiety atomowe wymierzone w europejskie stolice, już dawno zrezygnowano by z sojuszu z Ameryką.

Zachód ma ponadto dziwne predylekcje do postrzegania ważnych zjawisk à rebours. Choćby właśnie prorocy. Duży poklask zyskują ci, którzy prorokują fałszywie. Swego czasu Izaak Deutscher ze świetnym skutkiem wmawiał, że jego przepowiednie o rozwoju sytuacji w Związku Sowieckim sprawdzają się, choć było akurat na odwrót. Rozgłos zyskała książka Amalrika „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?”, wedle której ma nie przetrwać. No cóż, ciekawym, co Amalrik powie za pięć lat. Natomiast na Orwella nikt uwagi nie zwraca, a jeśli już ktoś to robi, to stwierdza, że „w Republice Federalnej sytuacja jest dokładnie taka, jak w orwellowskim Londynie w 1984 roku” (autentyczne!). Kisiel woła na puszczy, a nawet na pustyni. Dwa lata temu Brukselczyk wyprorokował w *Kulturze* proces demaoizacji Chin (oczywiście ograniczony, analogiczny do destalinizacji w ZSSR, taki, jaki się właśnie rozpoczął). No i co? Zaś Sołżenicyn, który sformułował całe zagadnienie krótko: „Weźmą was gołymi rękami” jest obecnie uważany przez znaczną część zachodniej lewicy za faszystę.

Nie jestem tylko glosatorem. Mogę się też poszczycić trafnymi proroctwami. Otóż przed Czerwcem 1976 w gronie znajomych wyprorokowałem: formę podwyżki cen, rozruchy i odwołanie podwyżki tudzież represje i imprezy na stadionach. Natomiast dokładnie w przeddzień „Czarnego Piątku” w gronie wybitnych socjologów warszawskich zebranych w mieszkaniu jednego z przyszłych członków-założycieli KOR-u, stwierdzono: „Nie ruszą się!” (chodziło o robotników, ma się rozumieć). Według oficjalnych — oczywiście nie opublikowanych danych, strajkowało 60 % ogółu

zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej. I kto miał rację, panowie specjaliści?

Prorokowanie to trudna sztuka. Prócz daru bożego wymagana jest jeszcze umiejętność obserwacji, analizy i interpretacji zjawisk, trzeba więc mieć jakieś dane (racjonalną przesłanką dla proroctwa Kisiela była wszak wypowiedź T. Cohena — specja od bomb „N”). Książka Orwella to raczej prorocza hipoteza, zaś Kisiel to hipotetyczne proroctwo. Nie wiem co będzie po „sfinlandyzowaniu” Europy; trzeba by taką właśnie Europę przez jakiś czas poobserwować. Może — Boże uchowaj — „jugoslawizacja”?

Umiem za to trafnie przepowiadać pogodę, nawet lepiej niż PIHM. Oto PROGNOZA DLA ŚWIATA na — zgódźmy się z Kisiel — 30-50 lat:

Od Kamczatki po Łabę — silny mróz. W Europie Zachodniej — stały wzrost zachmurzenia. W Ameryce — słońce i przelotne burze. W Chinach — susza. Na pozostałym obszarze — pogoda zmienna.

Artur BIERUTOWICZ

Listopad-grudzień 1978

## POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo *KULTURY* i INSTYTUTU LITERACKIEGO  
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,  
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów  
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,  
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.  
Tel.: 370-2210.

## Książki

### Jak zakończyła się trzecia wojna światowa

Trzecia wojna światowa zaczęła się 4 sierpnia 1985 roku a skończyła po trzech tygodniach. W każdym razie tak twierdzą autorzy książki „Trzecia wojna światowa”, wydanej w Londynie latem 1978 roku i prawie natychmiast mającej drugie wydanie. Grupie autorów, obejmującej generałów, admirałów, marszałka lotnictwa, dyplomatę i zastępcę wydawcy wybitnego pisma angielskiego *Economist*, przewodniczy generał John Hackett, znany teoretyk wojskowy, który ostatnio zajmował stanowisko dowódcy północnej grupy wojskowej NATO.

W drugiej połowie lat 30-tych, gdy Hitler opanował Niemcy, zaczęły się jedna za drugą ukazywać książki o przyszłej wojnie. Nie trzeba było na nią długo czekać. Ledwo zakończyła się druga wojna światowa a już zaczęły się ukazywać książki o trzeciej. W latach „zimnej wojny” świat z drżeniem oczekiwał wojny „gorącej”, która nie nastąpiła i na dość długo przestano pisać o przyszłej wojnie. Wydarzenia lat ostatnich znów zaktualizowały temat nowej katastrofy światowej. Na Zachodzie łamią sobie głowę co oznacza nieustający, z każdym rokiem większy, wzrost sowieckich zbrojeń na granicy Europy Zachodniej, co oznacza stworzenie w krótkim okresie czasu potężnej floty, pretendującej do władania światowymi oceanami; co wreszcie znaczy stworzenie prosowieckich reżymów w Angoli, Etiopii, Południowym Jemenie, w Afganistanie, w Wietnamie, Kambodży, w Laosie? Na te pytania dawane są liczne odpowiedzi w różnym stopniu przekonujące.

Autorzy „Trzeciej wojny światowej” dają również swoją odpowiedź. Według wszelkich reguł wojskowej i futurologicznej nauki tworzą scenariusz przyszłości. Przyszłość to fatalny rok 1984. Pierwszym, który wybrał ten rok dla swojej książki o przyszłości, był rosyjski ekonomista i pisarz Aleksander Czajanow.

Napisał on w 1920 roku proroctwo, które się nie sprawdziło, o kraju włościańskiej utopii. Po wielkiej powieści Orwella rok 1984 stał się datą obowiązującą wszystkich współczesnych proroków. Teraz niewiele już czasu dzieli nas od tego, by dowiedzieć się co stanie się w 1984 roku.

Główną cechą sytuacji światowej w 1984 roku — jak to widzą autorzy „Trzeciej wojny światowej” — są sytuacje kryzysowe powstałe na zachodnich, wschodnich i południowych granicach sowieckiego imperium. Udział komunistów w rządzie włoskim, poczynając od 1982 roku i rząd jedności narodowej we Francji miały silny wpływ na Polskę, gdzie narasta chęć wypróbowania nowych „dróg do socjalizmu”. Przymierza się do włosko-francuskiego modelu po-titowska Jugosławia, choć w Serbii dochodzi do władzy frakcja prosowiecka. Sowieckie republiki azjatyckie coraz zawistniej patrzą na wyjątkowo szybki wzrost gospodarczy w Chinach i Japonii, których sojusz gospodarczy przekształca się w polityczny. Trzecia wojna światowa zaczyna się tam gdzie i druga — w Polsce — a do tego 11 listopada. Wybrany ostatnio amerykański prezydent, który miał objąć funkcje 20 stycznia 1985, oskarżył na konferencji prasowej Sekretarza Stanu USA drugiej administracji Cartera — Zbigniewa Brzezińskiego, o to że „zbyt łatwo zdradza interesy kraju, w którym się urodził”. Słowa te zostały przyjęte w Polsce jako zachęta. Rozeszły się pogłoski, że 20 stycznia, dzień w którym Thompson ma zająć fotel prezydenta, w Polsce nastąpi strajk generalny. Chociaż plotki były nieprawdziwe, władze zdecydowały dokonać licznych aresztowań w dniu 11 listopada. Policja i wojsko spotkały się z oporem. Gdziekolwiek nastąpiła wymiana strzałów. W wielu polskich miastach żołnierze odmówili wykonania rozkazu aresztowania robotników. 12 listopada w szeregu polskich miast prowincjonalnych władza przeszła w ręce robotników. Grupa dysydentów opanowała rozgłośnie telewizyjną w Gdańsku i zarejestrowała sceny ludowego buntu. Policja szturmem zdobyła stację telewizyjną, ale Dania i Szwecja zdążyły dostać film. Szwecja natychmiast ustąpiła pod naciskiem Związku Sowieckiego i władz polskich i odmówiła retransmisji filmu. Duńczycy nie ulegli naciskowi i Eurowizja podała sceny robotniczego powstania. Specjalne wrazenie wywarły na widzach kadry pokazujące polskich żołnierzy przyglądających się spokojnie jak strajkujący robotnicy rozbijają sowiecki ośrodek kulturalny w Szczecinie.

Warszawa zaczęła pertraktacje ze strajkującymi i przywróciła władzę centralnego kierownictwa w kraju, dając obietnicę niekarania strajkujących. Obietnica ta była dotrzymywana do połowy stycznia.

Zaburzenia w Polsce można uważać za początek trzeciej wojny światowej, gdyż pokazały one rządowi sowieckiemu całą głębię kryzysu imperium i konieczność szybkiego podjęcia niezbędnych decyzji. Politbiuro zażądało od akademika Riabuchina,



eksperta od spraw Zachodu, dokonania analizy sytuacji. Raport swój Riabuchin rozpoczął od skonstatowania faktu: że ze 180 głów państwa na świecie około 100, kładąc się spać każdego wieczoru nie wie, co czeka ich o świcie. Bardzo często czeka ich przewrót i rozstrzelanie. Po śmierci Stalina kierownictwo sowieckie spało spokojnie. Wydarzenia w Polsce ten spokój zakłóciły. Pojawiła się możliwość przewrotów w krajach socjalistycznych, a nawet i w niektórych republikach sowieckich. Następnie Riabuchin jako skuteczne lekarstwo proponuje przeprowadzenie szeregu akcji politycznych, które zmusiłyby Amerykanów w pierwszych tygodniach rządów nowego prezydenta do haniebnego odwrotu. Wykazana w ten sposób słabość USA podziałałaby otrzeźwiająco na wszystkich, którzy marzą o amerykańskiej pomocy w walce z KPZS.

Ekspert sowiecki proponuje konkretne uderzenia podrywające prestiż USA. Na Bliskim Wschodzie przewroty w emiratach Zatoki Perskiej, i przerwanie dostaw ropy dla Zachodu; w Indiach organizowanie strajków, buntów, morderstw; w Środkowej Ameryce — zabójstwo prezydenta Meksyku; w Afryce Południowej — podtrzymanie zbrojnych wystąpień przeciwko Białym, włączając w to wysłanie tam sowieckich ochotników; w Jugosławii — podtrzymanie sowieckimi wojskami jednych republik przeciwko innym. Akademię Riabuchin dodaje na zakończenie, że w okresie prowadzenia wyżej opisanych operacji niezbędne jest zapewnienie neutralności Chin i Japonii, jak również Europy. W ostatnim wypadku, w razie konieczności, za pomocą gróźb.

Politbiuro zatwierdza plan Riabuchina i przystępuje do jego wykonania. Jak często bywa z planami, nie wszystko odbyło się według grafiku, nie wszystko rozwinęło się tak, jak zostało ustalone. I gdy latem 1985 w Gdańsku i Dreźnie zostały zamknięte piekarnie w związku z brakiem opału, niezbędnego dla zakładów wojskowych, i niezadowolone robotników poczęło narastać, a prosowiecki rząd w Belgradzie wysłał wojsko przeciwko Słowenii — w Politbiurze zwyciężyli zwolennicy natychmiastowego uderzenia na Jugosławię. 27 lipca sowiecka dywizja desantowa wylądowała na lotnisku w Belgradzie, a sowieckie wojska zmotoryzowane przekroczyły granicę węgierską i zaczęły się posuwać po linii Belgrad-Zagreb. Całkowitym zaskoczeniem dla sowieckich strategów była odpowiedź amerykańska: desant i morska piechota USA, wysadzone w rejonie Rijeki i Lublany, przystąpiły do walki z formacjami sowieckimi. Politbiuro podejmuje decyzję rozpoczęcia realizacji dawno już rozpracowanego planu opanowania Europy Zachodniej. Przywódcy sowieccy uważają, że zwycięstwo wojskowe nad Zachodem, okupacja RFN i likwidacja Paktu Atlantyckiego wzmocnią hegemonię sowiecką wewnątrz Paktu Warszawskiego i osłabią ruchy narodowościowe, zagrażające blokowi socjalistycznemu.

W niedzielę, 4 sierpnia 1985, radiostacje sowieckie podały:

Imperialiści wtargnęli do socjalistycznej Jugosławii aby zaraz potem opanować NRD, co będzie pierwszym krokiem do agresji krajów obozu socjalistycznego i ZSSR. W związku z tym obozowi socjalistycznemu, który miłuje pokój, nie pozostaje nic innego jak tylko okupacja i neutralizacja Niemiec Zachodnich. Żaden inny kraj Europy Zachodniej nie zostanie zagrożony, z wyjątkiem wypadków podyktowanych koniecznością wojenną. W oświadczeniu tym gwarantowano zachowanie niezależności Francji.

Jednocześnie rozpoczęły się działania wojenne. Początkowo w kosmosie, gdzie zaatakowano amerykańskie satelity obserwacyjne i łączności. Następnie sowieckie lotnictwo bombardowało lotniska NATO na terenie RFN i wreszcie weszły do akcji czołgi.

Autorzy „Trzeciej wojny światowej” drobiazgowo opisują przebieg operacji wojennych, szczegółowo analizując działania czołgów, piechoty, lotnictwa i sił morskich w ciągu trzech tygodni walk. W końcu trzeciego tygodnia staje się jasne, że sowieckie siły zbrojne nie osiągnęły swych celów. Opanowały znaczną część RFN, Niderlandy, Skandynawię, ale zostały zatrzymane. Strategia sowiecka przewidująca totalny atak z wykorzystaniem wszelkich środków dla najszybszego osiągnięcia ważnych obiektów, które następnie można by było wykorzystać w celach politycznych — poniosła klęskę.

W obliczu tego niepowodzenia Politbiuro decyduje się na skorzystanie z broni, która jest w rezerwie — tj. z broni atomowej. Nie chcąc jednak spowodować kontruuderzenia USA, sowieccy przywódcy rzucają tylko jedną bombę atomową na jedno z angielskich miast — na Birmingham. W ten sposób chcą pokazać gotowość pójścia do końca, a jednocześnie i do pertraktacji. Zachód odpowiada atomowym uderzeniem na Mińsk.

Zniszczenie Mińska jest początkiem końca imperium sowieckiego: Rada Najwyższa Kazachskiej Republiki Sowieckiej ogłasza wyjście z ZSSR, niezależność i neutralność; polskie dowództwo wydaje poufny rozkaz wszystkim oddziałom niewykonywania rozkazów atakowania — od kogo by one nie pochodziły; jednocześnie wojskowi nawiązują kontakt z polskim podziemiem i proponują poinformować Londyn o podjętej decyzji. Ostateczny cios pada z nieoczekiwanej strony. Po zniszczeniu w latach 60-tych ruchu narodowego na Ukrainie nacjonaliści decydują się na wykorzystanie jedynej możliwości, jaka im pozostała: indywidualnego przeniknięcia Ukraińców do centralnego aparatu Związku Sowieckiego — przede wszystkim do armii. Wasyl Duglenko — tajny nacjonalista — zrobił specjalnie błyskotliwą karierę i w 1985 roku zajmował stanowisko zastępcy przewodniczącego KGB. W przededniu posiedzenia Politbiura, wyznaczonego na 22 sierpnia, na którym miano zdecydować sprawę przedłużenia wojny, w katastrofie samochodowej ginie przewodniczący KGB. Zaproszony na jego miejsce na to posiedzenie Du-

glenko strzela do Generalnego Sekretarza i razem ze swymi zwolennikami dokonuje przewrotu. W rozmowie telefonicznej z prezydentem USA porozumiewa się w sprawie natychmiastowego zawieszenia broni. Na posiedzeniu z udziałem przedstawicieli wszystkich republik podjęta zostaje decyzja rozwiązania ZSSR i dania niepodległości jego republikom. Rozpoczynają się przygotowania do konferencji pokojowej w Helsinkach.

Autorzy „Trzeciej wojny światowej” tłumaczą niepowodzenia wojsk sowieckich przyczynami, które można by nazwać technicznymi; Francja, nieoczekiwanie dla strategów sowieckich, przystąpiła do wojny znacznie wzmacniając front przeciwko czołgom sowieckim, które wtargnęły do RFN; flota sowiecka, nastawiona w zasadzie na niszczenie i składająca się przede wszystkim z łodzi podwodnych, okazała się w decydującej chwili słabsza od floty zachodniej; zacofanie sowieckie w dziedzinie elektroniki było — być może — decydującym powodem klęski. Jednakże główną przyczyną niepowodzenia ataku na Zachód okazała się polityczna słabość Związku Sowieckiego.

I to jest myśl przewodnia książki. Autorzy „Trzeciej wojny światowej” uważają, że Związek Sowiecki stworzył potworną maszynę wojenną dlatego, by kompensować własną słabość polityczną. Dlatego też, aby opanować słabość polityczną, zahamować rozpad imperium, sowieccy przywódcy rozpoczynają trzecią wojnę światową. Kierownictwo sowieckie, mające w swych rękach tysiące czołgów, samolotów, rakiet, bomb atomowych, miliony żołnierzy, za zupełnie naturalne uważa wykorzystanie tej siły dla ochrony imperium, dla ochrony swej władzy.

Trudno nie zgodzić się z logiką autorów „Trzeciej wojny światowej”. Być może należałoby im zarzucić jedno — zbyt optymizm. Śmieszne jest dyskutowanie o tym, co stanie się w przyszłości. Jednak, chociaż nie upłynęło nawet pół roku od ukazania się książki, w sytuacji światowej miało miejsce wydarzenie, którego autorzy książki nie przewidzieli. Wychodzili z założenia, że na Bliskim Wschodzie solidnym oparciem dla Zachodu jest Iran. W chwili ukazania się drugiego wydania książki — październik 1978 r. — losy Iranu nie były już jasne.

W ostatecznym obrachunku — wystarczy wziąć pierwszy lepszy podręcznik światowej historii, aby o tym się przekonać — upadnie i sowieckie imperium. No ale — jak mówi przysłowie — nim słońce wszędzie rosa oczy wyje. Jak dotąd nie ma podstaw do optymizmu.

Michał HELLER

## Dojrzałe lata hunbejwina

*Przyszłedt mój przyjaciel  
z dziurą w czole  
.....  
wyciągnął ze mnie  
wiotki kregostup płaza  
i wszczepił nowy biały mlecz  
jak gwiazdę z żywego srebra.*

(T. Różewicz, *Gwiazda żywa*).

W 50-tą rocznicę urodzin Wiktor Woroszyński zafundował sobie prezent w postaci porcji wolności. Ten prezent to decyzja opublikowania książki<sup>1</sup> w Bibliotece *Kultury*. Woroszyński, który niegdyś należał do tzw. „pryszczatych” jest średniej miary poetą, ale znakomitym tłumaczem i biografem poetów; do jego najlepszych utworów literackich należą biografie Jesienina i Majakowskiego.

Woroszyński, którego książek i tłumaczeń cenzura od wielu lat nie dopuszcza do druku, tłumaczy się ze swej decyzji w Liście otwartym do Heinricha Bölla<sup>2</sup>: „... [...] w tych dniach kończę pięćdziesiąt lat, coraz trudniej więc naprawdę liczyć, że doczekam chwili, kiedy coś się wokół mnie radykalnie zmieni: straciłem ostatecznie iluzję, iż w tym systemie (mniejsza o to jak go nazwiemy), nie pozbawionym również niegdyś pierwiastków twórczych, coś z nich zostało, albo mogłoby się odrodzić; [...] z tym miażdżącym walcem niepodobna się układać co do warunków współistnienia, [...] ale skoro tak, cóż jeszcze — że powrócę do własnej sytuacji — miałoby mnie powstrzymać przed mówieniem na głos o tym, czego doświadczyłem...”

*Literatura* jest owym „mówieniem na głos” o własnym doświadczeniu politycznym, artystycznym i osobistym, zdobytym na przestrzeni niemal trzydziestu lat. To jeden plan tej książki: szarpające nerwy fastrygowanie siebie, z góry skazane na klęskę, ponieważ pisarz zakłada, że nie jest możliwe jakiegokolwiek spojenie w całość siebie, czy też swojego czasu. Tytuł książki Woroszyńskiego jest równie prowokujący jak *Nierzeczywistość* Brandesa, *Pornografia* Gombrowicza, czy *Wielka powieść amerykańska*, Rotha. Jest to prawdopodobnie tytuł ironiczny lub autoironiczny. Słowa „literatura” używa się w potocznym języku zamiennie ze słowem: gadanie. A gadanie to tyle, co zmyślenie, kłamstwo,

1. Bez cenzury: W. Woroszyński, *Literatura*, Instytut Literacki, Paryż, 1977, str. 179.

2. *Kultura* nr 7-8, 1977.

gołosłowność. Chyba że Woroszyński stawia znak równości między literaturą a życiem. „Trzy lata trwało” — pisze — „zanim ośmieliłem się zacząć tę książkę, a myślałem o niej już wcześniej, [...] nie napiszę jednak nic z tego, co sobie wyobrazili, napiszę o sobie, czyż nie nadają się na bohatera własnej powieści, lecz w tej samej chwili, gdy tak formułuję zamiar, rzecz się gmatwa, bo któż to odczyta dosłownie, pierwsza osoba o niczym nie świadczą, ani tożsamość imienia, każdy dopatry się w tym konstrukcji, 'ja' literackiego...”. Nie jestem pewna, czy Woroszyński przypadkiem nie zwodzi czytelnika, narzucając mu podejrzenie, że Woroszyński-narrator i Woroszyński-żywy, to dwie różne postaci. Ale jakkolwiek by nie było, nie ma się z czego tłumaczyć.

Tadeusz Borowski jest głównym motywem, otwartą raną tej książki Woroszyński nazywa go „przeszczepem”, który nosi w sobie. Ale gdzie Miłosz w *Zniewolonym umyśle*<sup>3</sup> kończy, tam Woroszyński zaczyna. Autora *Literatury* znacznie mniej obchodzi, dlaczego Borowski pisał, niż dlaczego się zabił. Sprawa, którą Miłosz odnotowuje zaledwie na końcu swojego eseju, jako logiczną konsekwencję sprzedania duszy diabłu.

Przeczytałam niedawno Milana Kundery, *Życie jest gdzie indziej*, książkę o chłopcu-poecie, równolatku „pryszczatych”. Jej forma tragifarsy, jej wielopłaszczyznowa struktura — książka Kundery jest na drugim planie poetycką przypowieścią o zaangażowanych w Historię poetach wszystkich czasów — wydaje się idealna, bo zarazem wyostrza i rozbraja temat. Książka Kundery kończy się śmiercią chłopca, ale została napisana do śmiechu i do płaczu. Książka Woroszyńskiego zaczyna się, na dobrą sprawę, śmiercią bohatera i nic w niej, nawet dowcip o Putramencie, nie są w stanie wzbudzić wesołości. To spowiedź dziecięcia wieku, czy raczej dziecięcia systemu, której wyrazistość została zamazana przez nużące, bo programowe, mieszanie form literackich z nieliterackimi. *Literatura* — której podtytuł brzmi: powieść — jest chora na pomieszanie gatunków, na klucze środowiskowe i pseudoanonimowość.

Przeszłość: dzieciństwo, wojna, pierwsze doświadczenia polityczne i literackie, rok 1956 i pamiętne miesiące odżywiania — są czasem akcji *Literatury*. Czas pisania, sam proces powstawania książki — są czasem jej narracji. Pomiędzy „było” a „jest” przelewa się płynna magma. Przeszłość i przyszłość wdzierają się w teraźniejszość nie tylko przez wyciąganie nowych kartek z „teczki Borowskiego”, ale także w postaci pijanego faceta w knajpie na prowincji, który zapalony niegdyś przez Woroszyńskiego zakładał na wsi spółdzielnię.

*Literatura* jest filmem z pomieszanymi kadrami. W tych kadrach przesuwa się wszystko to, czym pewne grupy w Polsce żyły przez lat trzydzieści: jest to obraz moralnego spustoszenia

3. Czesław Miłosz, *Beta czyli nieszczęśliwy kochanek* (w:) „Zniewolony umysł”, Instytut Literacki, Paryż, 1953.

i pomieszania pojęć, przyprawiony złowrogimi anegdotami. Ale *Literatura* jest także powieścią o powieści, prozą autoteliczną, wypełnioną refleksjami nad jej materią w trakcie procesu pisania. I ta refleksja tłumaczy po części jej tytuł, i może w większym stopniu niż obiekcie samego Woroszyńskiego, usprawiedliwia jej magmatyczny charakter. Po części; bo wszelkie ekskursy w przeszłość i w psychologię pisania, wszystkie, najbardziej skomplikowane i do dzisiaj bolące obrazy, można — choć nie jest to konieczne — ująć w związki czasowe i przyczynowo-skutkowe. Tym bardziej jeśli jak Woroszyński, wierzy się w przyczynę i skutek. Problem polega tylko na zasadności wyboru techniki narracji, bo nie istnieją narracje lepsze czy gorsze, bardziej czy mniej autentyczne. Lepsze i bardziej autentyczne są te, które żyją w ściślejszej symbiozie z tematem. Ale Woroszyński chciał nie rozjaśnić, lecz zaciemnić, i nie z powodów treściowo-cenzuralnych, lecz przez dość naiwną fascynację współczesnymi technikami narracji.

Dla czytelnika prozy dwudziestowiecznej nieporządek, amorfia są sprawą oczywistą, uzasadnioną psychologicznie i filozoficznie. Strapienia Woroszyńskiego są tak anachroniczne, że miejscami wątpi się w ich szczerść: „Kłopoty z kompozycją, to znaczy z czasem. Ten, który noszę w sobie, nie jest wstępowaniem ani zstępowaniem, nie jest żadnym rodzajem linii prostej bądź krętej, nie umiem go odtworzyć posuwając się od wydarzenia do wydarzenia, ode mnie takiego do mnie innego. [...] W zbiorze tym wszystkie miejsca mogą sąsiadować ze sobą, i każdy 'ja', dziecko, młodzieniec, mężczyzna, jestem sobie równy, tak w chwili, gdy to piszę, najbliższy powieści jest mały chłopiec, dziesięcioletni może... Kompozycja jest niemożliwa, bo nie umiem powściągnąć czasu, który tłucze się we mnie, jedyne, co mogę, to starać się nie uronić jego rozprysków”. Kompozycja nie jest konieczna. W każdym razie nie kompozycja oparta na ciągłości czasowej, wiedział to już Mickiewicz.

Kompozycja powieści to nie tylko jej czas, ale także powracające motywy. *Literatura* bardzo wyraźnie wokół nich jest skomponowana. To Borowski, to stara i nowa miłość, to obrazy z wojny z ojcem w centrum, to spotkania z Pasternakiem. Ale w tę ciągle boleśnie żywą warstwę, wprowadza na przykład Woroszyński synkopą pisane biografie artystów wszelkiej maści: Charlie Parkera, Jamesa Deana, Marilyn Monroe, postaci które tylko pośrednio, rzec by można fikcyjnie, związane były z życiem pisarza, z zasadniczą warstwą i motywacją książki. Ten plan, a także streszczenia z filmów i książek, które go z jakichś tam przyczyn urzekły, są tu ciałem obcym, choć zamysł autora jest jasny. Woroszyński czuje się członkiem tej nieszczęśliwej i dumnej wspólnoty wykorzenionych, odepchniętych, „obcych”. Nie dotyczy to fragmentów, w których opowiada o losach czy spotkaniach z takimi pisarzami — znacznie bardziej napiętnowanymi „obcością” — jak Pasternak, Broniewski, Majakowski, Bruno Jasiński, Cwietajewa czy Gombrowicz. Szczelna, właśnie przez

swoją amorfię, kompozycja tej książki, rozłazi się także przy historii „nowej miłości”, na odmianę referowanej wyłącznie w dialogach.

Pomimo wszystko... Pomimo wszystko, szczególnie przy drugiej lekturze, ta magma wspomnień i impresji nachodzących na siebie, te szczytki rozbitego lustra, które w końcu jednak, jakby wbrew pisarzowi, układają się w całość, robi spore, choć przykre wrażenie. Dość przerażająca w wymowie jest ta panorama wykrzywionych twarzy, potykanych słów i cofanych gestów. Ta nagminność głupoty, ślepoty i naturalność podłości. *Literatura*, pisana znacznie bardziej na zasadzie kolażu, niż strumienia świadomości, jest monstualną gazetką ścienną, freskiem współczesnej Polski, miejscami bardzo zatartym. Jest to obraz daleki od pełnego, czyli epickiego. Ale taki potrafiła dać tylko Nadieżda Mandelsztam, a na gruncie polskim — fragmentarycznie — Marek Nowakowski.

Są przecież w *Literaturze* fragmenty, które mogły stać się regułą dla całości. Pisane w dużych, wyraźnych obrazach, poetyckich, a zarazem wypełnionych konkretem. To na przykład wspomnienie z dzieciństwa o „jasnej” i „ciemnej” miłości, to także wspomnienia z wojny, to pierwsze spotkania z morzem.

Zaciemniona została najważniejsza sprawa tej książki — motywy twórczości i śmierć Borowskiego. Woroszyłski opowiada obszernie o jednym z aspektów jego samobójstwa: miłości, która przeżyła Oświęcim i rozstanie, ale poniosła klęskę w codzienności. Ale w końcu czy wszystkie tragedie w życiu tego pisarza nie sprowadzały się do gwałtu zadawanego sobie — do zabijania prawdy? I dlatego może zbędny, choć dla wielu zapewne pikantny, jest aneks niższego lotu: informacja otrzymana w warszawskiej kawiarni z pączkami, że Borowski podczas pobytu w Berlinie Wschodnim trudnił się donosicielstwem.

Motywacja literackiej śmierci Borowskiego inna jest nieco u Woroszyłskiego niż w *Zniewolonym umyśle*. Wiąże się to z odmienną interpretacją narratora jego opowiadań. Miłosz: „Beta w swoich opowiadaniach wyraźnie określa swą przynależność „klasową”: należał do sprytnych i zdrowych i chełpi się swoim sprytem i zaradnością. [...] Beta jest dumny z tego, że jemu się udaje, kiedy inni, mniej zaradni, obok giną. W stałym podkreślaniu, że on sam jest dobrze ubrany, zdrow, najedzony, jest sporo zwyczajnego sadyzmu”. Woroszyłski: „Konstrukcja narratora w opowiadaniach Tadeusza znaczy: taki jest człowiek i takiego przyjmuję, jestem jak każdy, nie przekraczam granicy możliwości człowieka w żadnym kierunku. [...] Raczej wyparcie się tego [...] co ludzkość narzuciła sobie jako wartość kulturową, etyczną, sentymentalną.

Tego, co istniało w biografii Tadeusza, ale czemu nie przyznał racji istnienia w sztuce”. Jak wiadomo Borowski w Oświęcimiu zachowywał się nienagannie.

Istnieje możliwość trzeciej interpretacji, tej która narzuca się przy lekturze naiwnej; pierwszej albo po wielu latach. Tej, iż narrator Borowskiego stoi po stronie ofiar, przeciwko sobie jako pomocnikowi katów. Wystarcza intonacja niektórych zdań i zawarty w nich skąpy, ale wyraźnie wartościujący komentarz. Behawioryzm Borowskiego jest pozorny, podobnie jak pozorny jest behawioryzm, czy moralny inderferentyzm Babla i Hemingwaya. To proza tragicznej ironii, daleka od nihilizmu.

Wreszcie owa sfera pośrednia, epicko-ludowa, najwięcej mówiąca o czasie i o ludziach. Sfera pomiędzy wierszem wydrukowanym w gazecie a spotkaniem autorskim, pomiędzy domem a zebraniem partyjnym: „Ojciec miał w szpitalu przykrości, lekarzom patrzono na palce, brak sukcesu w leczeniu był sabotażem i zajmował się nim prokurator [...] wszystko to docierało do mnie jak przez mgłę, wymiary ojcowskiego świata nie pokrywały się z wymiarami mojego”.

Statystycznym, typowym, rzec by się chciało ludowym bohaterem *Literatury* jest nie Borowski, nawet nie sam Woroszyłski, ale ów chłopak, przodownik pracy „w zakurzonych buciorach”, w którego na bankiecie władcy kraju i pieczeniarsze systemu wychają łososia i tort. I Józio Kapuć — grafoman, który ledwie zauważalnie, lecz uporczywie przewija się przez karty tej książki. Ciemny, cichy świadek jej upadków i wzlotów. Józio Kapuć, który występuje na wiecach, bankietach i pogrzebach. Który na przemian donosi i kaja się przed tymi, na których właśnie doniósł. Józio Kapuć, który nigdy nie popełni samobójstwa, którym wszyscy gardzą, ale który wszystkich przeżyje. Sól tej ziemi, sól partii i środowiska, bohater naszych czasów.

Książka Woroszyłskiego kończy się swoim własnym konspektem: na moment przesuwa się wszystkie klatki. Pośpiesznie, jak w malignie, jak w nagłym ucisku serca, który nie chce ustąpić.

Janina KATZ HEWETSON

## Rozrachunki

Kiedy pod koniec tego roku wyjątkowo trudnego, zabierałem się coraz to pisać do *Kultury*, narzucało mi się jedno zdanie, którym chciałem — zdawało mi się, że musiałem — moje pisanie zacząć:

„czas kończyć”.

Więc dlaczego teraz nie zaczynam pisać od tego zdania, które

mnie od pewnego czasu ściagało wewnątrz? Bo każdy skrót myślowy, gdy go zaczniemy opukiwać, uważnij się nad nim zastanawiać, porasta w drobne z początku poprawki, dopełnienia, nieznacznie traci swą lakoniczną siłę rozkazu. Poprawki prowadzą do wniosków, które nawet nieraz sens jego odwracają.

Czy naprawdę czas kończyć?



Żołnierz rosyjski w dawnych czasach, chyba u Tołstoja to czytałem, wkładał przed bitwą czystą koszulę, żeby w razie kiedy będzie zabity umierał godnie i w czystej koszuli stanął przed obliczem Boga. Ale ten żołnierz nie zawsze ginął od szabli czy kuli, jeżeli zaś chodzi o każdego człowieka, co już przekroczył osiemdziesiątkę, śmierć jak wspomnianemu żołnierzowi nie może nie zaglądać w oczy, przypomina mu ją własna narastająca niesprawność, gdyby tylko fizyczna, bardziej jeszcze mentalna.

Więc śmiertelna koszula?

Naturalnie, ale równolegle płyną przecie w nas, niezależnie od wieku, rodzące się plany na dzień jutrzejszy, na przyszłość, czy powinniśmy im z całą bezwzględnością łeb ukręcać dwoma słowami:

„czas kończyć“?



Franciszek Salezy, biskup genewski, urodzony w górach Saubaudii, jako stary już człowiek (miał 54 lata!) odwiedził przez siebie poświęcony kościół i pustelnię w wysokich górach. Wyznał przeorowi już dawniej, że tam właśnie pomysły „sypały mu się do głowy tak ziarnisto jak śnieg co pada tutaj w zimie“.

Rok przed śmiercią biskup zdecydował się tam osiąść i tam różańcem i piórem Bogu służyć. Gdy dziwiono się, że w tak późnym wieku jeszcze miał takie plany, odpowiedział:

„Trzeba podejmować dalekie zamierzenia, tak jakby się miało żyć wiele czasu i pracować nad nimi z sercem spokojnym i nie uwikłanym (*avec calme et détachement du cœur*), tak jakby się miało umrzeć jutro“.

(Święty umarł w rok zaledwie po wypowiedzeniu tych słów).

Przepisuję tę stronę z pięknej książki „Góry niewzruszone” Jacka Woźniakowskiego, bo słowa te przychodzą mi coraz to na pamięć, jak pomoc i wskazówka jak należy żyć. To wskazanie świętego — przeciwieństwo uproszczonej formuły „czas kończyć” nie tyczy tylko eremity, ale każdego starego człowieka.



Dlaczego ten długi wstęp dziś, kiedy sprawy, które w tym artykule chciałem poruszyć, zostały przesłonięte szczerze dwoma przeżyciami, które mi nie tylko przywróciły wolę życia, ale dały

taki ładunek entuzjazmu, że nawet o śmiertelnej koszuli zapomniałem?

W ostatnim „Dzienniku pisanym nocą” Grudzińskiego, trafiam na zdanie następujące: „Literatura w ogólności jest ustawicznym wysiłkiem przechwycenia na chwilę nieuchwytnego, skrywanego, umykającego. Kiedy jest literaturą na serio, ma pełną tego świadomość“.

Chodzi mi tutaj że wczytanie się w dwa dzieła literatury najbardziej różne, uświadomiło mi jakbym o tym zapomniał, czym jest „literatura na serio”, która poprzez właśnie ten dotyk do światów innych, nieskończonych, bez których człowiek się dusi, daje przeżycie, które ma siłę wskrzeszającą. Chcę tu pisać o dzienniku przedśmiertnym Korczaka i o czterech opowiadaniach młodego pisarza serbo-kroackiego Branimira Szczepanowicza.

Te teksty trafiły mi do ręki prawie wypadkowo, wśród nawału rozjazdów, strzępów gazet i tygodników czytanych urywkami i dały mi nagle przeżycie takiej siły i znaczenia, że nie umiałbym tego przemilczeć.



Dziennik Korczaka był pisany od maja do 4 sierpnia 1942 roku w getcie warszawskim (ostatnia strona z 4 sierpnia, kiedy już od 22 lipca rozpoczęta została akcja *Endlösung*, likwidacja i masowa zagłada getta). Jakże to się stało, że dziś dopiero wczytałem się naprawdę w całość tego dziennika. Kochaliśmy autora od wczesnej młodości, „Dziecko Salonu”, „Koszałki Opałki” należą do naszych najwcześniejszych odkryć — potem w 1918 nastąpiło nasze z nim spotkanie w mrocznym gabinecie z oknami na ciemne podwórze kamienicy. Korczaka dzisiaj znają wszyscy: jego dzieło „Dom Sierot”, jego śmierć jakby przesłoniły miarę jego pisarstwa. Nie wiem czy i jak próbowano go ustawić jako pisarza w świecie literatury polskiej czy ogólnoswiatowej. Zresztą, kto zna jego cały dorobek, kiedy 4 tomy jego pism to jeszcze wybór jedynie? Przecie trudno o tekst bardziej pasujący od tego co Grudziński nazwał literaturą na serio, tych stron kilkadziesiąt pisanych urywkami w nocy.



Wiele w życiu czytałem dzienników w najszerszym znaczeniu tego słowa, to było zawsze moją pasją, od Amiela aż po „Ujedinionnoje” Rozanowa, aż po S. Weil — bo „Pesantur et Grâce” to są przecie również zapiski z dnia na dzień, tyle że wybrane i „uporządkowane” po jej śmierci. Tu szukam skali porównań. Pamiętnik Brzozowskiego jest jedyną znaną mi polską książką, która w swych skrótach, zadyszaniu, w nawale myśli u progu śmierci dociera, jak Korczak, do tej temperatury i nieliczącej się z nikim i z niczym prawdy. Z dzienników niepolских Maine de Biran (1766-1824), ten Proust *avant la lettre*, zdaje mi się mieć taki sam słuch absolutny gdy chodzi o lustro wewnętrzne, o spoj-

zenie na siebie, swą słabość, powolną degradację i jęk do Boga. Świata zewnętrznego coraz to jakby nie widzi, opisując go nieraz prawie jak spis rzeczy.

Du Bos? Genialny gdy mówi o pisarzach i poetach, których czci: Baudelaire, Pascala, Benjamin Constant, Hoffmanstahlu i iluż innych, ale dziwnie błądy (*mièvre*), gdy opisuje sceny z życia powszedniego.

Simone Weil? Nie umiem znaleźć miary porównania z nią, dla mnie to wzór najwyższy w swoim okrutnym wyzwoleniu z małości życia.

Jeżeli chodzi o oddech zdań Korczaka, o zdolność przekazania kilku słowami takiego wachlarza przeżyć, myśli o sprawach najistotniejszych, o faktach całkiem przyziemnych, o spojrzeniu na ludzi otaczających, ten rzut myśli jednocześnie w kierunku wspomnień, te ucieczki w dalekie marzenia, mogę to tylko z Rozanowem porównać, genialnym pisarzem rosyjskim początku XX-go wieku.

Każdy, kto przeżył wypadki tamtych lat, getta i jego zagłady, wie na jakim tle te zapiski trzeba umieścić. Korczak ma 64 lata, Korczak co dzień wychodzi na żebry do gminy żydowskiej, do CENTOS'u, do *Jüdisches Hilfskomitee*, do doszczętnie skompromitowanych żydowskich kolaborantów... „Był ojcem 200 dzieci, dla nich musiał mieć”. W tak cennym, rzeczowym wstępie do dziennika, Igor Newerly pisze o nim „to był już inny Korczak, sterany, rozdrażniony, podejrzliwy, gotowy zrobić piekielną awanturę o beczkę kapusty”. Igor Newerly prawie że stara się tłumaczyć dziennik Korczaka, pisząc o „beładnej różnorodności twórczości”, ale ta beładna różnorodność jest ładem: jak mógł Korczak w pośpiechu nocnych krótkich przebudzeń pisać inaczej, jak stylem coraz to telegraficznym, skrótami przekazać to co przekazał, już nie tylko aurę getta i głosy dziecięce, ale naprawdę kondycję istnienia ludzkiego.

Nie mam możliwości w artykule nie tylko wszystko zacytować co by trzeba, ale nawet wyliczyć wszystkie wątki tego niezwykłego tekstu, które zrastają się razem w jedyny swego rodzaju obraz. Z tej zawieruchy myśli i obserwacji chcę tylko wyrwać parę fragmentów, czy tytuły fragmentów — powiedzą one więcej niż wszystko co bym od siebie był w stanie dodać.

Wspomnienia zaczynają się od planu pięcioletniego Janusza, przebudowy świata, żeby nie było dzieci głodnych, potem jest śmierć ukochanego kanarka i projekt dziecka ustawienia krzyżyka na jego grobie „nie wolno ci — mówi służąca — to zwierzę, nawet modlić się za niego nie trzeba”, „nie wolno ci — mówi syn stróża — bo ty jesteś Żyd, więc i twój ptaszek jest Żyd: ja pójdę po śmierci do nieba, a ty gdzieś indziej, gdzie będzie ciemno” i Korczak dodaje „a ja bardzo bałem się ciemności”. Padają na głowę dziecka wszystkie problemy, los zwierząt, śmierć, krzyż i żyd czarny. Równolegle, na tej samej stronie, Korczak coraz to wraca do starości nie abstrakcyjnej, ale swojej własnej, zaobserwowanej: „zmęczenie, potem już krok za krokiem uparcie w

obranym kierunku, już wygodniejszym gościńcem”... „już nie mogę, już nawet nie chcę próbować”, a tuż powracają marzenia najśmielsze, książki nie napisane, które napisać musi, w serii, w której już wydał życie Pasteura: Pastalozzi, da Vinci, Kropotkin, Piłsudski, Fabre i nawet Ruskin. Napisał już powieść o królu Maciusiu, teraz kolej na króla dziecko: Król Dawid II.

„... a jakże zmarnować materiał, pół tysiąca wykresów wagi i miary wychowawców, nie opisać pięknej, rzetelnej, radosnej pracy wzrostu człowieka”, a obok jeszcze marzenia, marzenia: wojna poetów w najpiękniejszej olimpiadzie o najpiękniejszą na rok modlitwę, na jeden dla świata hymn do Boga.

I autobiografia „o sobie, o swojej małej osobie” i o Warszawie — „Warszawa jest moja i ja jestem jej, więcej, jestem nią, razem z nią cieszyłem się i smuciłem, jej pogoda była moją pogodą, jej deszcz i błoto moim deszczem, z nią razem wzrastałem” i nagle hołd zwyczajnej brukowej gazety, jaka piękna ta pozornie bezmyślna literatura, artykuł wstępny, odcinek powieści, nekrolog, a ile wiadomości, ktoś wpadł pod tramwaj, innemu skradziono futro „rzekłbym majestatycznie płynąca Wisła” (dziś Kisiel jeden mógłby podobną napisać metaforę, wiążąc ją z gazetą brukową. Te wszystkie teksty, lakoniczne urywki, poznaczone zapisanymi słowami, odruchami, myślami jego dzieci.

I rzadkie wzmianki, aż dziwnie rzadkie, tego co widział na ulicy „leży obok wyrostek jeszcze żywy, czy już umarł? W tym samym miejscu trzem chłopcom, którzy bawili się w konie, poplątały się sznurki (lejce). Radzą, próbują, niecierpliwą się, potrącają nogami leżącego, wreszcie jeden z nich mówi „odsunmy się, on tu przeskadza”.

„Natchnienie... to pięć kieliszków spirytusu pół na pół z wodą — po czym idzie rozkoszne uczucie znużenia bez bólu”. Natchnienie. Daje mu świadomość, że będzie teraz w łóżku do rana, że tyle i tyle ma przed sobą godzin „normalnej pracy serca i myśli” i jeszcze wyrzuty sumienia, że „zdezercerował”, że nie został zwykłym lekarzem dzieci małego szpitala, że zamarzyło mu się więcej i jeszcze powraca do swego zmęczenia, że trzeba będzie „wstać, usiąść na łóżku, sięgnąć po kalesony, zapiąć, jeżeli nie na wszystkie to na jeden guzik... przy ubieraniu skarpetek trzeba się zgąć... i tu nawet cień humoru „rozumiem Kryłowa, który cały wiek męski spędził na kanapie, mając pod kanapą bibliotekę. Sięgał ręką, czytał co mu w rękę wpadło”. I ten ciągły rachunek sumienia. Zarzuca sobie, że wszystko w nim teoretyczne, jak przez mgłę, bezwymiarowe „są obok mnie, ale nie ma ich we mnie”.

Zarzuca sobie brak woli: „indolencja, nędma uczuć, to pełna rezygnacja „więc co jest? i co dalej?” i zdanie podsłuchane „więc co jest, że język mnie boli, że rozstrzelali?”, „już wie, że musi umrzeć i co dalej” „przecie nie umiera się więcej niż raz” i już w końcowych stronach, już 4 sierpnia spisuje serię porażek życiowych „a to wszystko nie, że jestem Żydem, ale że urodziłem się na wschodzie”.

„Smutna mogłaby być pociecha, że i pysznemu Zachodowi nie jest dobrze.

Mogłaby być, a nie jest. Nikomu nie życzę źle. Nie umiem. Nie wiem jak to się robi”.

I jeszcze na ostatniej kartce „Ojcie nasz, który jesteś w niebiesiach...

Modlitwę tę wyrzeźbiły głód i niedola.

Chleba naszego.

Chleba.

Przecie to co przeżywam było. Było”.

Tu się zatrzymuję i jeszcze kartkując wstecz te strony, widzę taką mnogość coraz to dosłownie paru słowami wyrażonych myśli, obserwacji, spojrzeń, że to co tu spisałem zdaje mi się skrawkiem nieogarniętej i nie do ogarnięcia dziedziny.

Tego dziennika nie wolno tylko kartkować, trzeba go przeczytać i z nim żyć.

#### *Szczepanowicz i śmierć*

Rok temu ukazała się w wydawnictwie „L'âge d'homme” mała książeczka w gwałtownie żółtej okładce z czarnym brutalnym rysunkiem Suttera, tego Van Gogha Szwajcarii:

„Usta pełne ziemi”

Autor, młody Branimir Szczepanowicz, serbo-kroata. Nazwisko nie mówiło mi nic. Trudno o bardziej daleki tekst od dziennika Korczaka, czysta proza poetycka z daleka, z daleka może Kafkę przypominająca:

Bohater opowiadania od miesięcy chory w szpitalu, włóczęc się pewnej nocy po opustoszałym pokoju pielęgniarek, trafia na papiery jego dotyczące, czyta diagnozę. Pacjent nie przeżyje nawet 3 miesięcy, ma raka i jest skazany.

Reakcję ma błyskawiczną, porzuca szpital, ucieka w nocy. On nie chce umrzeć w szpitalu. On chce umrzeć w górach, w swoich górach, w Czarnogórze.

Scena w pociągu w nocy, chory siedzi milcząc wśród rozgadanych współpodróżników, częstujących się twardymi jajami i winem. Chory milczy. Pociąg dociera do górskiej stacji. Chory stamtąd rusza pieszo coraz wyżej, już jest blisko swoich gór. Będzie miał śmierć na wolności, *swoją* śmierć.

Ale tu w górach wszystko się komplikuje, spotyka wycieczkowiczów ze swoimi śpiworami, butelkami i jadłem, chce bez słowa zaraz od nich uciec, a może od pokusy szukania u nich ratunku. Ucieka.

Cóż to znaczy? Myślą młodzi, szczęśliwi, że w te góry trafili wycieczkowicze, może ten człowiek jest w potrzebie, może mu pomóc, a może zbrodniarz, który uciekł z więzienia? Tu wszystko zaczyna się mieszać coraz bardziej, czy to maligna, zwidy przeszłości umierającego, czy prawda? Coraz większa ilość ludzi zaczy-

na go gonić i tropić, on biegnie coraz dalej poprzez las, poprzez gęste, miękkie, pachnące trawy. W ludziach, którzy go gonią, narasta nienawiść, nie mogą przyjąć jego obcości. Nareszcie pogoń traci go z oczu, ta już pod koniec dzika nagonka na człowieka rozprasza się, nie ma jej. Chory będzie miał *swoją* śmierć, ukryty za załomem skały.

Jest w tym tekście tematem głównym obsesja, strach człowieka przed tłumem i nienawiść tłumowi do samotnych.

Ten motyw powraca w książce drugiej, gdzie trzy opowiadania mają wątki pokrewne. Człowiek, który sam tego nie chce, staje się wrogiem, którego trzeba złapać i zniszczyć. Jakich sojuszników ma człowiek opuszczony, samotny? Tylko naturę, która go otacza, jedyną pocieszycielkę i nagle powracające wspomnienia dzieciństwa. W pierwszym opowiadaniu są rośliny, rośliny lecznicze, w których zbawczą się wierzy i których nazwy i barwy zna. Jest wielka trawa i drzewa wysokie, przez które daleko przegląda niebo. W ostatnim znowu opowiadaniu pt. „Wstyd” są trzy topole, jedna z nich przybliży się do skrwawionego, leżącego przy asfalcie szosy rannego, pociesza go drzeniem i szumem swych liści, rannego skrwawionego, który się do szosy dowłókł w nocy i którego mijają obojętnie błyszczące — z ostrymi światłami nań padającymi — auta.

Ranny jest pół przytomny: „co znaczy ten śwat, w którym się znajduję? czy ja naprawdę do niego należę?... Jakże mam na to odpowiedzieć kiedy ja sam nic nie wiem, nie znam mojej twarzy, nie znam nawet mojego imienia... Przecie musi być w tej nocy jakaś istota ludzka, która nie zgubiła duszy... Umrę ze wstydu, że jestem człowiekiem”.

Jest tu taka siła poetycka, takie czucie natury, że mimo woli przypominają mi się najpiękniejsze teksty, które znam.

„Gwiazd ostatnich spojrzenia blade zagasały, ale widoczne były jeszcze gdzie nie przykrył ich obłok długi, szary, bardzo na niebiosach obwisnięty, jako dzikiego gołębia bywają skrzydła...”

Służący jeden przeszedł wolno koło mnie, niosąc świecznik z zagaszonymi świecami, a niektóre złamane były”.

Dlaczego ten urywek z „Bransoletki” Norwida pozostaje mi w pamięci jak tekst magiczny.

Tuż obok powracają mi wspomnienia, fragmenty z listu lorda Chandosa do Franciszka Bacona Hoffmannstahla. Jest tam opis starej konewki zielonej, porzuconej przez młodego ogrodnika, starej brony pod cieniem orzecha, który uderza autora listu z siłą z niczym nieporównaną. Co znaczy to nagłe poczucie, czego? nieskończoności? które, jak pisze autor, przeszywa go od korzeni włosów aż do pięt. W tym samym opowiadaniu Hoffmannstahl opisuje zatrucie tysięcy szczurów w piwnicach pałacu lorda Chandosa i na jego rozkaz. Przeżywa tu sam wstrząs podobny i broni się w liście, że to wcale nie jest litość, jest czymś o wiele mniej i zarazem o wiele więcej.

Sztuka zmienia świat w dziwny kryształ, który w człowieku wskrzesza coś, co zdawałoby się w nim zamarło, nie ucieczkę w jałowy estetyzm, ale w dotknięcie innego wymiaru przeżyć. Do tego doprowadzić nas może dziennik Korczaka unurzany w krwi i pocie codzienności getta, a także przezroczyta jak kryształ sztuka poetycka Szczepanowicza nie mniej okrutna ale wysublimowana, która nam przynosi nagle stan szczęśliwości, nie odbierając nam nic z bólu życia.

Józef CZAPSKI

## «Buńczuczny karzełek»

CZYLI XX-LECIE NIEPODLEGŁOŚCI WE WSPOMNIENIACH  
WOJCIECHA ŻUKROWSKIEGO

W ramach aprobowanego ogólnie procesu rehabilitacji XX-lecia i ankiet na temat 60-lecia odzyskania niepodległości ukazały się w Kraju setki wypowiedzi na zamówienie oraz (często bardzo ciekawe) fragmenty wspomnień przedstawicieli starszych roczników.

Wcześniej pomyślano o właściwym ustawieniu uczestników rocznicowych wystąpień. 16 marca 1978 odbyła się np. w redakcji *Miesięcznika Literackiego* dyskusja na temat życia umysłowego w Polsce lat 1918-1978. Przewodniczył Włodzimierz Sokorski, który bez ceremonii oświadczył, że wytyczne sprzed dziesięciu lat (z okazji 50-lecia) są już nieaktualne. Oceniało się wtedy odzyskanie niepodległości inaczej. „W chwili obecnej — oświadczył — w polityce partii wyraźnie zarysowała się tendencja spojrzenia na dorobek Polski wyzwolonej w 1918 roku globalnie, tj. dostrzegając konflikty klasowe stojące za zjawiskami życia społecznego, nie negując jednak znaczenia osiągnięć w licznych dziedzinach, a w kulturze przede wszystkim”.

Jak wynika ze stenogramu dyskusji, ogłoszonego we wrześniowym zeszycie *Miesięcznika Literackiego*, co bystrzejsi uczestnicy szybko podchwycili odwilżowe elementy wypowiedzi Sokorskiego i upominali się o właściwą ocenę najbliższych ich sercom dziedzin. Tak np. dyr. Stanisław Lorentz przypominał osiągnięcia w zakresie ochrony zabytków i muzealnictwa (milion zwiedzających warszawskie Muzeum Narodowe w roku 1938!); — prof. Marek Marian Drozdowski zdobył się na odważne nakreślenie roli Polskiej Akademii Umiejętności i wygłosił płomienną pochwałę „polskiej myśli historycznej okresu międzywojennego”, skupiając uwagę na osiągnięciach uczonych krakowskich, warszawskich i

lwowskich (Stanisława Kutrzeby, Franciszka Bujaka, Szymona Askenazego — „któż z nas nie znał i nie zachwycał się jego dziełem „Napoleon a Polska”) — przypominał wreszcie Marcelego Handelsmana, Waclawa Tokarza, Mariana Kukiela, Florianą Znanieckiego i ich uczniów. Jeszcze bardziej rewelacyjnie zabrzmiał głos prof. Kazimierza Michałowskiego, przypominający znaczenie międzynarodowych sukcesów naukowych prof. Tadeusza Zielińskiego i — prof. Oskara Haleckiego. Na odcinku literatury Marian Piechał dostrzegł w Skamandrytach „grupę postępową, zwartą w działaniu”, „najbardziej rozsądną, najbardziej swoistą w sensie narodowym”. Pochwalił Żeromskiego i Irzykowskiego za poważną i pełną poczucia odpowiedzialności krytykę zarówno Skamandra jak i „futurystów” a w dwu nowych kierunkach XX-lecia reprezentowanych przez Kwadrygę i krakowską awangardę dopatrywał się inspiracji „niepodległościowej atmosfery XX-lecia, której centralną postacią był Józef Piłsudski”. Nie negując wartości programów literackich orzekł, iż „teoria teorią, bardzo może być piękna, ale chodzi o pewien mały figlik, który decyduje o wszystkim: talent”.

Jednym z uczestników sympozjonu Sokorskiego był Wojciech Żukrowski. Wystąpienie jego wypadło bardzo blado i ostrożnie na tle wypowiedzi wspomnianych wyżej uczestników, a nawet samego Sokorskiego. Ten bowiem stwierdził np. w zagajeniu dyskusji, że „Polska Ludowa w latach 1944-1949 nawiązała bezpośrednio do dziedzictwa przedwojennego, będąc nawet w dużym stopniu jego kontynuacją, oczywiście wyznaczając całkowicie nowe odniesienia w stosunku do sytuacji społecznej i politycznej”. Zapowiedział, że „będziemy zmuszeni dokonać szeregu sprostowań historycznych, może nawet nie tyle sprostowań, co wyjaśnień rozszerzających skalę dotychczasowych ocen. Dotyczą one zarówno roli Piłsudskiego, Dmowskiego, Paderewskiego jak i całej grupy 'Morges'”. A nawet [słuchajcie! słuchajcie!]: „Reforma rolna otworzyła nową fazę obywatelskiej dojrzałości chłopstwa, które szerokim frontem włączyło się w walkę o przebudowę ustroju społecznego”.

Euforii Sokorskiego przeciwstawił się w dyskusji *Miesięcznika Literackiego* Wojciech Żukrowski. Przyznając, że w XX-leciu dokonano „ujednoczenia prawa, wprowadzenia systemu urzędowania, ustalenia drogi awansu” sędzi, że na planie pierwszym tkwiły jednak zadry dzielnicowych fobii i „dopiero masowe przesiedlenia dokonane w latach okupacji przyspieszyły scalenie, reszty dokonał *exodus* ze Lwowa i Wilna, przemieszczenie części narodu nad Odrę i Nysę”. Dominującym wspomnieniem z międzywojnia jest dla Żukrowskiego (ur. 1916) wszechobecna bieda... Dzisiejsi młodzi — powiada Żukrowski — „po prostu nie chcą wierzyć w przedwojenny kraj głodujący na przednówku, w ludzi niewyrośniętych, gotowych jąć się każdej roboty, byle przeżyć... Kraj bosych... Nikt już nie wierzy w mieszkania po suterrenach, w pokojczyń na czwartym piętrze czynszówek, z kranem na koryta-



rzu i wychodkiem na podwórku... Trzeba ich (tj. młodych) posyłać do Włoch, nawet nie do Kalabrii. Rzym wystarczy". Ejże! Czyżby ominęły Żukrowskiego audycje Polskiego Radia biadolące nad udęczeniami ludności „kraju sosny”, gdy zamarzyły zapasy miały węgłowego a Kąkol wyrażał obawy, czy Kraków podoła wykarmieniu gości „papieskich” jako, że „w maju jest przed-  
nowek”?

Znacznie dalej posunął się Żukrowski w błyskotliwym artykule pt. „O przemijaniu” w pierwszym tegorocznym numerze *Polityki* w ankiecie pt. „Kultura 1918-1978”. Tu właśnie padło godne zapamiętania oświadczenie: gdyby nie szczęśliwy bieg wydarzeń, który położył kres XX-leciu i gdyby nie obecna „zachłanność na kulturę” Polska tkwiłaby w ciemnocie a poeci musieliby własnym sumptem wydawać ubożuchne tomiki u Hoësicka. Migracje wojenne i takie pomyślne wydarzenia jak „wypędzenie poznaniaków przez Hitlera do Generalnej Guberni” i „wyprowadzenie kresowiaków na Zachód” „dawało im awans cywilizacyjny”. Rezultaty nie kazały długo na siebie czekać, bo oto Żukrowski ma nareszcie dla kogo pisać, rośnie ilość „pisarzy-milionerów” (tj. autorów książek o łącznym nakładzie miliona czy więcej egzemplarzy), a „średnia książka kosztuje ćwiartkę, lepsza około pół litra czystej”. To się nazywa przemawiać do czytelnika z pełnym zrozumieniem jego mentalności! I właśnie nabywcy książek tej kategorii napełniają Żukrowskiego wiarą w przyszłość i optymizmem, który znajduje najpełniejszy wyraz w sentencji: „Gdyby nie było między nami (tj. wspomnianymi wyżej odbiorcami książek a autorami) wzajemnego zaufania, życzliwości, czasem i przyjaźni, nie byłoby to możliwe w tym rozmiarze. Wydaje mi się, że z międzywojennej Polski, buńczuczny karzełek, za ogromną cenę krwi, ofiar, wyrzeczonych wyrosliśmy na normalne państwo, utraciliśmy swój prowincjonalizm, otrząsnęliśmy się z parafianśczości, oddychamy pełną piersią, nie popadamy w kompleksy” — jak w znanej sowieckiej piosence (*tak swobodno żywot czeławiek!*)

Tę sielankę wydawniczo-czytelniczą przeciwstawia Żukrowski zmorze XX-lecia. Młodzi — twierdzi w początku artykułu „O przemijaniu” — niewiele wiedzą z okresu międzywojennego. Skarżą się obecnie na trudności debiutu, niskie nakłady i brak papieru i nie wierzą, że przed 1939 rokiem autorzy musieli finansować wydanie własnych książek. „Stąd zalew drukowanego śmiecia produkowanego przez zasobnych grafomanów, a wydawanego tak pięknie jakbyśmy mieli do czynienia z arcydziełami”. Jeśli nawet jest w tym ziarno prawdy — jest to los wydawnictw bibliofilskich na całym świecie i wolne są od tych grzechów tylko „kraje demokracji ludowej”, w których prywatne oficyny drukarskie praktycznie nie istnieją a np. w Polsce tylko bohaterskim wysiłkiem szcztąkowych towarzystw miłośników książki zawdzięczamy nie liczne specymeny druków bibliofilskich.

Trudno zrozumieć skąd czerpał Żukrowski informacje o wydawnictwach przedwojennych. Bo — aczkolwiek poucza dziś mło-

dych z pozycji 63-latk — nie wydaje się, by przed r. 1939 miał sposobność rzeczowego zapoznania się z problemami produkcji książki przedwojennej. Nie dostrzegł głównych wydawców i rosnącej z każdym rokiem wysokości nakładów ani sprawnie funkcjonujących księgarń — i to nie tylko w wielkich miastach ale np. we Włocławku czy Zamościu. „Brodaci antykwariusze ze Świętokrzyskiej”, poza handlem podręcznikami szkolnymi, zajmowali się raczej „starzyzną” książkową niż sprzedawaniem po zło-tówce książek Iwaszkiewicza. „Lansowaniem nazwisk” i nowości książkowych zajmowały się nie tylko stoliki kawiarniane (a co się dzieje przy nich dzisiaj?) ale, przede wszystkim, tygodniki literackie z *Wiadomościami*, *Pionem*, *Prosto z mostu* itd. na czele. Skład bibliotek domowych nie był też tak żalosny, jak się Żukrowskiemu wydaje. Poświadcza to fakt, że na ich zasobach opierało się czytelnictwo w latach okupacji. Do dziś w uratowanych resztkach bibliotek prywatnych kryją się egzemplarze nie wznawianych po wojnie książek owych dobrych autorów, nad którymi unosi się Żukrowski. Gdzie indziej np. szukać „Snobizmu i postępu” Żeromskiego? — toż wyłączono go ze zbiorowego wydania w owym wolnym i szczęśliwym kraju, jakim jest dla autora „O przenikaniu” dzisiejsza PRL. Nie ulega dla mnie wątpliwości, iż gdyby przedwojenne poczynania z dziedziny krzewienia czytelnictwa i rozbudowy sieci bibliotecznej nie uległy tragicznemu zahamowaniu w 1939 roku eksplozja książki dokonałaby się także, tak jak to się stało w Anglii czy Niemczech pod wpływem „Penguinów”, „Rororo” i niezliczonych tanich wydawnictw seryjnych a także telewizji i radia. „Przenikanie” książki do szerokich mas, tak cieszące Żukrowskiego, nie wygląda w codziennej praktyce tak różowo, jak mu się wydaje. Sprzedaż książek spod lady lub przy pomocy „jednania sobie panienek” obsługujących księgarń, przy równoczesnym zawalaniu rynku „ceglami”, każe patrzeć na krajowy rynek wydawniczy jak na ciężko chory organizm.

Osobiste sukcesy Żukrowskiego, wyrażające się wysokością nakładów jego książek i związanymi z tym honorariami, sprawiają, że dzisiejszej rzeczywistości krajowej przeciwstawia urojony obraz Sokorskiego? Czy załapał nowy powiew wiatru od Wschodu i daje mu się unosić? Raczej to pierwsze, bo lektura jesiennych numerów tygodników i miesięczników krajowych od „wiodących” krakowskich poczynają (*Tygodnik Powszechny*, *Życie Literackie*, *Student* z ankietą „Wobec literatury dwudziestolecia”), aż po imponujący numer listopadowy warszawskiej *Twórczości* daje amunicję do stwierdzenia, że opór cenzurze przynosi rezultaty i zachęca do dalszej walki o swobodę wypowiedzi. Głos Żukrowskiego jest w tym kontekście czymś zastanawiającym i wręcz żenującym i przesłania jego dawne rzeczywiste dokonania pisarskie z okresu poprzedzającego „Kamienne tablice” ze słynnymi węgierskimi epizodami.

mdz.

## Nadesłane nowości wydawnicze

- Zapis 5.** Poezja — proza — eseje — kronika. Styczeń 1978. Str. 206. (Wyd. Index on Censorship, Londyn, listopad 1978 r.; cena F. 40).
- Zapis 6.** Poezja — Proza — eseje — kronika. Kwiecień 1978. Str. 240. (Wyd. Index on Censorship, Londyn, styczeń, 1979; cena F. 40).
- Czarna księga cenzury PRL.** Cz. 2. Str. 472. (Wyd. „Aneks”, Londyn, 1978, cena F. 70).
- PALUSZKIEWICZ** (Felicjan, ks., TJ). *Wy im jeść dajcie*. Str. 122 i 2 nlb. (Wyd. Papieski Instytut Studiów Kościelnych, seria „Życie i wiara”, t. 3, Rzym, 1978).
- DODD** (C. H.). *Założyciel chrześcijaństwa*. Tłumaczył z oryginału angielskiego Zygmunt Kubiak; okładka Roman Cieślewicz. Str. 181 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Kolekcja „Znaki Czasu”, Paryż, 1978).
- MIREWICZ** (Jerzy, ks., TJ). *Człowiek — miasto obleżone*. Str. 124 i 2 nlb. (Wyd. Księży Jezuici, 182 Walm Lane, London NW2 3AX, Londyn, 1978; cena £ 3.00 + porto).
- Pamiętniki imigrantów polskich w Kanadzie*. Tom III. Wybór pamiętników nadesłanych na konkurs Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego w 1978 r. Do druku przygotował i wstępem zaopatrzył Benedykt Heydenkorn. Str. 259 i 1 nlb. (Wyd. Kongres Polonii Kanadyjskiej, Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, Toronto, Ont., 1978).
- LITWIN** (Aleksander). *Myśli nieujawnione*. Str. 60 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978; cena £ 2.00, \$US 4.00, F. 16.00).
- GONCZYŃSKI** (Franciszek). *Aspazja z Miletosu*. Str. 102 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).
- Album of Thanksgiving. Album Wdzięczności*. Sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej. Teksty w języku angielskim i polskim. Str. 80 i 3 nlb. (Wyd. Nakładem OO. Paulinów, Philadelphia, Pa., 1978).
- Echa konferencji „Polonia 78 — Polonia jutra”*. Opis i komentarze. Str. 15 i 1 nlb. (Wyd. w Toronto, we wrześniu 1978 r.).
- ZAGAJEWSKI** (Adam). *Drugi odech*. Zbiór artykułów i recenzji. Str. 145 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków, 1978; cena zł 40).
- KUDASIEWICZ** (Józef, Ks.). *Biblia — Historia — Nauka*. Rozważania i dyskusje biblijne. Str. 421 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków, 1978; cena zł 100).
- DRZEWIENIECKI** (Włodzimierz M.). *Wrześnie i wspomnienia podporucznika*. Str. 202 i 2 nlb. (Wyd. MON, Warszawa, 1978; cena zł 25).
- MOND** (Georges H.). *Les nouvelles constitutions de l'U.R.S.S. et de la Chine comparées aux récentes lois fondamentales de la Pologne et de l'Albanie*. (Nadbitka z *Revue d'Etudes Comparatives Est-Ouest*, Septembre 1978, volume 9, No 3, strony 1969-194).
- SUKIENNICI** (Wiktor). *Ober Ost Land: Ludendorff's „Another Kingdom” (1915-1918)*. A chapter from history of the territories between Germany and Russia during the First World War. (Nadbitka z *Antemurale XXII*, 1978, str. 179-221).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

3-12-78

*Życie Literackie* w Krakowie podaje, że historycy polscy i sowieccy przygotowują wspólnie wydanie „Metryki litewskiej”. „Metryka litewska” jest to zbiór akt, prowadzonych przez kancelarię Wielkiego Xięstwa Litewskiego od pierwszej połowy XV wieku do drugiej połowy XVIII wieku, zagrabionych w swoim czasie przez Rosję. Obecnie „Metryka” znajduje się w Centralnym Archiwum Akt Dawnych w Moskwie. Obejmuje ona około 500 ksiąg, a jej wydanie potrwa kilkadziesiąt lat. W Instytucie Historii PAN powołano już odpowiedni zespół roboczy.

20-12-78

W Warszawie zmarł, w wieku 77 lat, Stanisław Skrzyszewski. W PRL był on m.in. ministrem oświaty, spraw zagranicznych, sekretarzem Rady Państwa i szefem kancelarii Sejmu.

28-12-78

W szpitalu kijowskim zmarł ukraiński pisarz i działacz w obronie praw człowieka, Helij Sniehirow. Był on usunięty ze Związku Pisarzy za przyjaźń z Wiktoorem Niekrasowem, który emigrował na Zachód. Po aresztowaniu członków Grupy przestrzegania wypełnienia układów w Helsinkach, zrzekł się obywatelstwa sowieckiego. We wrześniu 1977 roku został aresztowany i oskarżony o „przestępstwo wobec państwa sowieckiego”.

30-12-78

Polski PEN Club przyznał nagrody za 1978 rok za wybitne osiągnięcia w twórczości edytorskiej: Juliuszowi Wiktorowi Gomulickiemu i Pawłowi Hertzowi. ■ Polonijna prasa amerykańska podaje, że Jerzy Hoffman reżyseruje w PRL film „Do krwi ostatniej”. Wątekiem tego filmu jest polityka wschodnia generała Sikorskiego.

1-1-79

Zmarł w Warszawie, w wieku 63 lat, Bolesław Piasecki, przewodniczący Stowarzyszenia PAX. Nowym przewodniczącym został wybrany Ryszard Reiff. ■ PRL będzie budowała 300-kilometrowy odcinek kolejnej rurociągowej inwestycji sowieckiej. Będzie to linia 2.000 km. magistrala naftowa, łącząca Surgut nad rzeką Ob z Połockiem. ■ W PRL w 1979 roku będzie 14 dodatkowych dni wolnych od pracy. Będą to soboty: 13 i 20 stycznia, 3 lutego, 3 marca, 7 kwietnia, środa — 9 maja, soboty — 2 czerwca, 17 lipca, 4 sierpnia, 8 września, 6 października, 17 i 24 listopada oraz 15 grudnia. ■ Czerwona burżuazja: w bież. roku Orbis organizuje wybieżki do Indii i Nepalu (zł 57.500), do Tajlandu (zł 53.350), na Kubę (zł 36.500), do Egiptu (zł 32.800). Rejs na Batorym będzie kosztować zł 42.000, wycieczka lecznicza do Karlovyh Varów — zł 14.980. ■ Z analizy kadr PRL wynika, że w gospodarce uspołecznionej pracuje jeszcze ponad 100 tysięcy osób bez wykształcenia podstawowego. Wśród rolników indywidualnych 44 % nie ma ukończonej szkoły podstawowej.

2-1-79

Zmarł w Warszawie, w wieku 78 lat, Jan Drohojowski, b. dyplomata PRL, autor licznych monografii popularno-naukowych i prac publicystycznych.

3-1-79

PRL zawarła umowę z ZSSR na dostawę do Polski w bież. roku 500.000 ton pszenicy konsumpcyjnej. ■ Ambasada USA w Warszawie ogłosiła, że Stany Zjednoczone przyznały PRL dodatkowy kredyt w wysokości 300 mln. dolarów na zakup produktów rolniczych. Kredyt ten jest dalszym ciągiem 200 mln. dolarów przyznanych poprzednio w październiku 1978 roku.

5-1-79

Staraniem PEN Clubu w Warszawie odbył się wieczór literacki poświęcony twórczości pisarskiej Karola Wojtyły, obecnego papieża Jana Pawła II.

6-1-79

Zmarł w Warszawie, w wieku 67 lat, Bogdan Ostromęcki, poeta i eseista. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku 81 lat, Zbigniew Turski, znany kompozytor i dyrygent.

11-1-79

Dziesięć krajów europejskich przystępuje do budowy autostrady Północ-Południe, która połączy Czechosłowację, Austrię, Węgry, Rumunię, Jugosławię, Bułgarię, Grecję, Turcję, Włochy z Gdańskiem. Długość tej autostrady wyniesie 10.000 km., a polski odcinek 700 km. (Gdańsk-Warszawa-Cieszyn). Koszt jednego kilometra wyniesie ok. 2 mln. dolarów. Biuro projektowe tej autostrady mieścić się będzie w Warszawie.

17-1-79

W ZSSR rozpoczął się powszechny spis ludności — szósty od 1917 roku. Będzie on trwał tydzień czasu. Pierwsze rezultaty zostaną ogłoszone w ciągu kwietnia bież. roku, a definitywne pod koniec bież. roku.

20-1-79

Niezależnie od 2,5 mld. metrów<sup>3</sup> gazu PRL po raz pierwszy otrzyma dodatkowo 1,6 mld. m<sup>3</sup> poprzez magistralę gazową „Sojuz”, która wiedzie z Orenburga na Uralu. W latach 1979-1980 PRL otrzyma dodatkowo 4,4 mld. m<sup>3</sup>, a następnie po 2,8 mld. m<sup>3</sup> rocznie przez lat dwadzieścia.

28-1-79

RWPG na posiedzeniu w Moskwie podjęła decyzję o wybudowaniu elektrowni atomowej na terenie ZSSR przy współpracy szeregu państw, a w tym również PRL. ■ Nastąpiło połączenie systemu energetycznego ZSSR ze wspólnym systemem energetycznym europejskich krajów socjalistycznych (Bułgaria, Czechosłowacja, NRD, Polska i Węgry).

3-2-79

W dn. 3-4 lutego br. odbyły się w Warszawie pierwsze zajęcia na kursie Uniwersytetu Ludowego. Obecnych było 30-tu słuchaczy. Prelekcje wygłosili: Hanka Gadzalanka-Bojarowa („Kultura ludowa a kultura narodowa”), Michał Jagła („Wybrane zagadnienia z historii ruchu ludowego”), Wiesław Piotr Kęćik („Z doświadczeń ruchu chłopskiej samoobrony”), Adam Michnik („Możliwości działań niezależnych w świetle sytuacji międzynarodowej”), Zbigniew Romaszewski („Realizacja paktu praw człowieka w praktyce Biura Interwencyjnego KOR”), Piotr Typiak („Historia prawa samorządowego”). Ponadto przedstawiciel Tymczasowego Komitetu Związku Zawodowego Rolników wygłosił prelekcję pt „Idea Związku Zawodowego Rolników w historii i dzisiaj”.

9-2-79

Na miejsce zmarłego Bolesława Piaseckiego członkiem Rady Państwa został mianowany Edmund Osmańczyk.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

18-10-78

W Rio de Janeiro zmarł, w wieku 71 lat, Zbigniew Marian Ziemiński, znany i wybitny aktor i reżyser w Polsce międzywojennej. Przybył on do Brazylii w 1941 roku, a od 1943 roku zaczął swoje występy w Brazylii. Brazylija nazwała go „polskim ojcem teatru brazylijskiego”.

21-11-78

W Monachium odbył się wieczór jubileuszowy, zorganizowany wspólnie przez Wolny Uniwersytet Ukraiński i Międzynarodowy Dom Spotkań w Monachium, z okazji 70-lecia prof. dr. Wołodymyra Janiwa i 10-lecia jego rektorstwa na W.U.U.

25-11-78

W Londynie obradował synod jubileuszowy polskiego Kościoła ewangelickiego.

17-12-78

W Londynie zmarł, w wieku 83 lat, Stefan Świdorski. W okresie międzywojennym był on wojewodą nawogrodzkim, a potem kuratorem szkolnym okręgu lwowskiego. Uwięziony przez NKWD po wybuchu wojny otrzymał trzykrotnie wyrok śmierci. Po uwolnieniu był dyrektorem szkół kadeckich na Środkowym Wschodzie. W Londynie pracował w Cracovia Book Comp. Ltd., był współzałożycielem księgarni Cracovia Distribution Services.

22-12-78

W Funhalu na Maderze zmarł, w wieku lat 80, Zdzisław Szczerbiński. W okresie międzywojennym pracował w MSZ, podczas wojny był konsulem RP w Sтамбуle. Po wojnie osiadł w Lizbonie, gdzie był kierownikiem stacji Free Europe.

25-12-78

Związek Dziennikarzy Polskich w Londynie przyznał nagrodę za rok 1978 Feliksowi Chrzanowskiemu, znanemu dziennikarzowi i radiowcowi. Nagroda wynosi £180 — laureat przeznaczył ją na Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny.

1-1-79

Po wydaniu austriackim (Zsolny-Verlag) powieści Włodzimierza Odojewskiego „Zasypie wszystko, zawieje...” w 1977 roku, ukazało się obecnie drugie jej wydanie w języku niemieckim, tym razem na terenie RFN w wydawnictwie Bertelsmanna.

5-1-79

Zmarł w Londynie, w wieku 83 lat, Zygmunt Muchniewski, b. Prezes Rady Ministrów RP, jeden z organizatorów obecnego Zjednoczenia Politycznego Emigracji, członek Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji.

6-1-79

Papież Jan Paweł II udzielił sakry biskupiej ks. Franciszkowi Macharskiemu, który został uprzednio mianowany arcybiskupem metropolitą krakowskim. Ks. Franciszek Macharski, urodzony w Krakowie w 1927 roku, był od 1970 roku rektorem krakowskiego Seminarium Duchownego.

12-1-79

Zmarł w Londynie gen. Witold Nowina-Sawicki w wieku 84 lat. W czasie wojny d-ca 6 LBP w 2-gim Korpusie przez cały czas kampanii włoskiej.

12-1-79

W Paryżu miało miejsce kolokwium zorganizowane przez Francuską Partię Socjalistyczną na temat „Stalinizm”. Polską Partię Socjalistyczną na emigracji reprezentował Feliks Mantel.

15-1-79

Nagroda teatralna *Dziennika Polskiego* w Londynie za 1978 rok została przyznana zespołowi taneczno-śpiewacemu przy Polskiej YMCA — „Londyn-Mazury”, który w tym roku obchodzi 30-lecie swego istnienia. Nagroda wynosi £ 200. ■ Zmarł w Paigton, Devon (Anglia), w wieku 81 lat, gen. bryg. Walenty Peszek, m.in. dowódca piechoty brygadowej SBSK w czasie kampanii libijskiej — potem d-ca I-szej Brygady Strzelców Karpaccich. ■ Zabiegi o stanowisko Prezydenta RP w Londynie: Wycofali swoje kandydatury: Mieczysław Chmielewski oraz gen. Duch. Pozostali najpoważniejsi kandydaci: Stefan Soboniewski i Stefan Korboński. Prez. Ostrowski forsuje kandydaturę b. premiera Urbańskiego (który w czasie swego urzędowania sprowadzał oficjalnie posta Czaję z RFN do Londynu i oskarżał bezpodstawnie Skarb Narodowy o nadużycia). Przeworsowanie tej kandydatury grozi rozbięciem „legalizmu”.

19-1-79

Zmarł w Rzymie, w wieku lat 90, ambasador Kazimierz Papée. Był on Komisarzem Generalnym RP w Gdańsku, później posłem Polskim w Pradze Czeskiej. Od 1939 roku był ambasadorem polskim przy Stolicy Apostolskiej. Przez szereg lat był dziekanem korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Watykanie.

22-1-79

Zmarł w Londynie, w wieku 79 lat, Alfons Jacewicz, pisarz i wykładowca.

22-1-79

Związek Warszawian w Izraelu ufundował dwie nagrody po £ izr. 6.000 każda za prace naukowe na temat dziejów Żydów Warszawy. Tej inicjatywie patronuje Uniwersytet w Tel-Awivie. Nagrodę za rok 1977 otrzymała dr Sabina Lewin za pracę na temat oświaty żydowskiej w XIX wieku. Nagrodę za rok 1978 przyznano dr Binie Garncarskiej-Kadari za pracę o historii żydowskiej Warszawy.

26-1-79

W Aarau (Szwajcaria) miała miejsce międzynarodowa konferencja mająca na celu powołanie do życia tzw. Grupy Helsinki. W konferencji tej wzięli udział przedstawiciele istniejących już krajowych Grup w Austrii, Belgii, Danii, RFN, Norwegii, USA, Szwajcarii oraz kilkanaście osób reprezentujących kraje Europy Wschodniej; m.in. konferencja uchwaliła stworzenie Międzynarodowego Trybunału Helsinki. Trybunał ten ma się składać wyłącznie z zawodowych sędziów i wybitnych prawników.

12-1-79

Zmarł w Johannesburgu (Afr. Poł.) w wieku 75 lat, Stanisław Stachelski, b. dyrektor Asbestos Pty, Ltd., inicjator budowy pomnika katyńskiego, długoletni czytelnik i przyjaciel *Kultury*.

31-1-79

Zmarł w Rzymie, w wieku 82 lat, Emeryk Hutten-Czapski. Był on w roku 1921 jednym z pierwszych i najmłodszych starostów w Polsce (Stołpce); w latach 1930-38 był posłem na Sejm RP. W okresie wojny był przedstawicielem Rządu RP we francuskiej Afryce Północnej. W 1955 roku przez pewien czas sprawował funkcje Wielkiego Kanclerza Zakonu Maltańskiego. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 87 lat, gen. Witold Radecki-Mikulicz, długoletni wykładowca Wyższej Szkoły Wojennej przed wojną.

3-2-79

W Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów w Paryżu odbył się odczyt Herakliusza Lubomirskiego pt. „Wspomnienia dwunastu lat przebytych w gułagach ZSSR”.

10-2-79

Emerytowany b. szef Polskiej Sekcji BBC, Zbigniew Błażyński (około 68 lat), został mianowany na okres roku konsultantem przy biurze amerykańskiego dyrektora Radia Wolna Europa. Faktycznie ma pełnić funkcje wice-dyrektora Polskiej Sekcji RWE z prawem aprobaty skryptów, ustalania programu itp. Przyjazd Błażyńskiego uważa się za próbę stopienia ideowego charakteru programów RWE. Zarówno redaktorzy Polskiej Sekcji, jak również polska Rada Zakładowa reprezentująca pracowników polskiego zespołu RWE zgłosiły kierownictwu amerykańskiej dyrekcji katygoryczne zastrzeżenia.

14-2-79

W Creteil pod Paryżem zmarł, w wieku lat 86, gen. Wacław Piekarski, we wrześniu 1939 roku dowódca 41-ej Dywizji Piechoty, po wojnie wieloletni prezes Federacji Polskich Obrońców Ojczyzny we Francji.

15-2-79

W Stowarzyszeniu Studentów Polskich w Paryżu Józef Czapski wygłosił odczyt pt. „Spojrzenie na malarstwo ostatnich 60-ciu lat”.

2-3-79

Stowarzyszenie Polsko-Ukraińskie w Paryżu zorganizowało śniadanie-dyskusję na temat „Ukraińcy i Polacy wobec wyborów europejskich”. Wprowadzenie do dyskusji Jerzego Jankowskiego i Jarosława Musianowicza.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

Władysław Zachariasiewicz, do niedawna wyższy urzędnik amerykańskiej służby pocztowej — kierownik wydziału kontaktów międzynarodowych — został powołany do Zarządu (Board) International Broadcasting, instytucji kierującej działalnością Radia Free Europe-Liberty. Przewodniczącym Zarządu International Broadcasting jest John Gronousky. ■ Nagrody Fundacji Alfreda Jurzykowskiego za rok 1978 otrzymali: w zakresie *medycyny* prof. dr Kornel Gibiński, dyrektor Instytutu Medycyny Wewnętrznej i kierownik Gastroenterologicznej Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach; prof.

dr Julian Alexandrowicz, który prowadzi Komisję Ochrony Zdrowia Społecznego PAN w Krakowie; z dziedziny *biologii* — prof. dr Zygmunt Grodzki, którego specjalnością jest anatomia porównawcza (jest on autorem ponad 70 prac); z dziedziny *matematyki* — prof. Andrzej Schinzel, wykładowca matematyki w Instytucie Matematycznym PAN i redaktor wydawnictwa *Acta Arithmetica*; z dziedziny *filologii klasycznej* — dr Aleksander Turyn, pionier w studiach nad tradycją rękopiśmienną greckiej poezji, jego prace nad paleografią greckich manuskryptów z XIII i XIV wieku są uznane jako dzieła podstawowe (prof. Turyn mieszka stale w USA); z dziedziny *historii* — prof. Stefan Kieniewicz, redaktor *Przeglądu Historycznego* i członek rzeczywisty Komitetu Nauk Historycznych PAN; był on profesorem Uniwersytetu Warszawskiego od 1946 do 1977 roku (obecnie na emeryturze); z zakresu *literatury* — Jan Józef Szczepański, pisze on biografie, powieści, opowiadania i scenariusze filmowe, jego powieść „Polska jesień” otrzymała nagrodę Hemingwaya, a eseje „Przed nieznanym trybunałem” nagrodę PEN-Clubu, jest sekretarzem krakowskiego oddziału PEN-Clubu; z dziedziny *malarstwa* — Wojciech Fangor, znany przedstawiciel kierunku OP Art (*Optical Art*), mieszka stale w New Yorku; z dziedziny *muzykologii* — prof. Mieczysław Tomaszewski, od roku 1952 kierownik i redaktor naczelny Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w Krakowie; za *zastugi kulturalne* — prof. Stanisław Lorenz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie i inicjator odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie; za *tłumaczenia* — Allan Kosko, który tłumaczył na język francuski m.in. dzieła Schulza, Gombrowicza, Brandysa; Julian Rogoziński, tłumacz na język polski i krytyk, za dorobek tłumaczeniowy otrzymał w 1956 roku nagrodę PEN-Clubu. W sumie jest dziesięć nagród po \$ 5.000 każda, tłumacze otrzymali po \$ 2.500. ■ 28. 10. 1978 r. odbyło się walne zebranie Instytutu Romana Dmowskiego w Ameryce. Wybrano nowe władze w składzie: prezes Wojciech Wasutyński, wiceprezesa — Szczepan Kotowicz, Adam Niebieszczyński, Mieczysław Trusz, sekretarz — Mieczysław Kijowski, skarbnik — Stanisław Burzyński. ■ 30. 11. 1978 r. odbył się w Nowym Jorku wieczór autorski Waława Jędrzejewicza z okazji ukazania się jego pracy „Kronika życia Józefa Piłsudskiego”.

## KRONIKA SZWEDZKA

W dotychczasowym, dość obojętnym stosunku szwedzkiej lewicy i niektórych kół liberalnych do polskiej demokratycznej opozycji i sytuacji w Polsce w ogóle zaczyna nadchodzić pewna poprawa. Nie bez znaczenia była wizyta w dniach 12-14. I. 1979 jednego z ideologów szwedzkiej socjaldemokracji, Sten Johanssona, profesora socjologii Uniwersytetu Sztokholmskiego, b. redaktora naczelnego teoretycznego organu partii socjaldemokratycznej *Tiden*.

Sten Johansson ogłosił już po pierwszej wizycie w Polsce swe wrażenia w miejscowej prasie, a czytelnikom *Kultury* jest on znany z artykułu jego „O przejściu do demokracji w warunkach komunizmu”. Obecnie Sten Johansson był w Polsce na zaproszenie T.K.N.'u. Wygłosił on na Uniwersytecie Łatającym w Warszawie wykład na temat „Historyczny rozwój i aktualne problemy socjaldemokracji szwedzkiej”. Wykład odbył się w mieszkaniu prywatnym i zgromadził około 50 osób, czyli tyle, ile mieszkanie mogło zmieścić. Po wykładzie odbyła się ożywiona dyskusja.

Sten Johansson udzielił także w Polsce wywiadu niezależnemu piśmie „Głos”. Profesor Johansson spotkał się w czasie pobytu w Polsce z członkami KOR-u i innymi działaczami ruchu demokratycznego.

Profesorowi Johanssonowi pomogli w organizacji odczytu i towarzyszyli mu w czasie pobytu w Polsce dwaj członkowie „Grupy Kontaktowej Polskiego Ruchu Demokratycznego w Sztokholmie” Maria Borowska i Jakub Święcicki. Każdy krok nie tylko Borowskiej i Święcickiego ale także i szwedzkiego profesora był śledzony przez agentów SB. Dochodziło czasami do absurdu śledzenia ich aż przez 3 samochody i 15 agentów. Szwedzki profesor i socjaldemokrata mógł więc naocznie przekonać się jak wygląda polski ludowy „socjalizm” i zrozumieć dlaczego Polacy walczą o wolność.

Docierające także i do Szwecji wieści o bezprawiu w Polsce poruszyły opinię socjaldemokratyczną. Międzynarodowe Centrum Szwedzkiego Ruchu Robotniczego, którego przewodniczącym jest Olof Palme, b. premier (a grupujące w swoich szeregach partię Socjaldemokratyczną, Krajową Radę Związków Zawodowych i inne szwedzkie socjaldemokratyczne organizacje) skierowało dnia 1 lutego protest do władz w Polsce następującej treści:

„Obywatel polski, Kazimierz Świtoń, znajduje się od kilku miesięcy w więzieniu w Katowicach. Świtoń oskarżony jest przez władze o pobicie milicjanta. Ostatnio areszt śledczy został przedłużony. 26 stycznia członkowie KSS KOR usiłowali rozdać ulotki, w których informowali o losie Świtonia, oraz wyrażali solidarność z nim. Ale nawet ta pokojowa demonstracja została zaatakowana przez policję.

„Kazimierz Świtoń działał od dłuższego czasu w ruchach demokratycznych i w ruchu KSS „KOR” na rzecz wolności słowa i demokratycznego ustroju w Polsce. Protestujemy przeciw prześladowaniu i więzieniu ludzi, którzy w duchu uchwał przyjętych w Helsinkach walczą o prawo do wolności słowa. Żądamy natychmiastowego uwolnienia Świtonia”.

Mocny ten protest jest, o ile mi wiadomo, pierwszym tego rodzaju wystąpieniem szwedzkiej socjaldemokracji.

Również naczelny redaktor radykalnego dziennika Centrali Związków Zawodowych, *Aftonbladet*, Gunnar Fredriksson, był w Polsce. Pisze on że „nie powinniśmy w Szwecji ograniczać naszego zainteresowania Polską wyłącznie do sprawy Żydów, nieotrzymujących wizy do Polski — oddaje to fałszywą perspektywę tego, co istotnie zachodzi w Polsce”.

„Wielki problem dotyczy właściwie całego narodu, a więc i klasy robotniczej która nie ma nic wspólnego z antysemityzmem — pisze dalej Fredriksson. Opozycja w Europie Wschodniej walczy o prawa ludzkie dla wszystkich. To niczemu nie służy jeżeli koła na Zachodzie robią ze wszystkiego jedynie kwestię antysemityzmu”.

Prawdziwą sensację i skandal wywołało aresztowanie w niedzielę 4 lutego, złapanego na gorącym uczynku 62-letniego p.o. szefa wydziału zagranicznego policji szwedzkiej, Hansa Melina. Zatrzymany został on w chwili, w której w zamian za 3.000 dolarów, doręczał tajne dokumenty, dotyczące uchodźców, arabskiemu dyplomacie, sekretarzowi Ministerstwa Spraw Zagranicznych Iraku. Wobec wysokiego stanowiska Melina szwedzka SB musiała działać bardzo ostrożnie w celu uzyskania niezbitych dowodów jego akcji. Podejrzewano go już od września ub. roku. Melin miał wgląd we wszystkie tajne dokumenty dotyczące uchodźców politycznych różnych narodowości. Szwecja do niedawna prowadziła właściwie politykę drzwi otwartych, będąc bardzo liberalna i tolerancyjna w udzielaniu azylu. W gmachu wydziału zagranicznego policji szwedzkiej przechowuje się 150.000 tajnych aktów personalnych.

Dopiero w ostatnich latach, wobec bezrobocia i zbyt wielkiego napływu cudzoziemców, udzielanie azylu i prawa pobytu ograniczono do minimum.

Biorąc pod uwagę dzisiejsze bliskie powiązania Iraku z Sowietami trudno uwierzyć aby tak zaufany, wysoki urzędnik policji, poświęcił swą karierę tylko dla szpiegowania kilkuset obywateli Bliskiego Wschodu i żeby za te informacje płacono aż takie sumy — uważa się bowiem że otrzymał on już ponad 100.000 kr.). W Szwecji przebywają liczni uchodźcy z Państw Bałtyckich, Polski i innych krajów Europy Wschodniej i Środkowej, znajdując się tu różne centra politycznych emigracji będącej w żywym kontakcie ze swoimi krajami. Uzyskiwanie informacji o tej działalności jest niezwykle ważne dla wywiadów krajów Paktu Warszawskiego.

W świetle aresztowania p.o. szefa wydziału zagranicznego policji zrozumiała zaczyna być rozpętana niedawno przez policję kampania prasowa przeciw tutejszym Polakom. Oczywiście zjeżdża się tu, zwłaszcza w okresie letnim, wiele osób nie przynoszących chluby Polakom ale dzieje się to samo i z innymi narodowościami, pisało się jednak tylko o Polakach.

Wobec ujawnienia działalności szpiegowskiej komisarza Melina, Urząd Emigracyjny postanowił na razie wstrzymać decyzję wydalenia ze Szwecji kilkudziesięciu osób, których podanie o azyl zostało właściwie już odrzucone. Udzielono także, po przerwie paromiesięcznej, azylu kilku Polakom naprawdę w Polsce zagrożonym.

Poza Melinem aresztowano jeszcze kilka osób, a 3 dyplomatów z Ambasady Iraku w Sztokholmie otrzymało nakaz natychmiastowego opuszczenia Szwecji, co wywołał ostrą reakcję Iraku. Bogdad grozi zerwaniem umowy handlowej. Ujawnienie szpiegostwa nastąpiło w bardzo niewygodnym czasie dla przemysłu szwedzkiego. Ósmego lutego miano w Bagdadzie położyć kamień węgielny pod wielki kompleks hoteli i pałacu kongresowego, którego budowa kosztowałaby pół miliarda koron. Przemysł szwedzki miał zarobić w Iraku ponad miliard koron. Toteż liberalno-lewicowa prasa zaczęła już bić na alarm. *Razzia* Służby Bezpieczeństwa zagraża olbrzymim szwedzkim interesom — wykrzykuje w wielkim nagłówku *Dagens Nyheter*, ujawniając jednak zarazem, że „służba bezpieczeństwa Iraku sprzedawała swe informacje wywiadom innych krajów”.

Norbert ŻABA

## KOMUNIKAT

POLISH AMERICAN IMMIGRATION & RELIEF COMMITTEE  
W SKANDYNAWII

Biuro Polsko-Amerykańskiego Komitetu Imigracyjnego w Skandynawii udziela informacji i dokonuje rejestracji w sprawie dalszej emigracji poza Europę.

Nasz adres:

ALGRYTEVÄGEN 135 (wejście na rogu),  
127 31 SKÄRHOLMEN, SWEDEN.

Telefon: 46 51 59.

Przedstawiciel PAIRC w Skandynawii: Marek Trokenheim. Dojazd liniami metra sztokholmskiego nr 13 i 15 do stacji Bredäng.

## Listy do Redakcji

Sztokholm, 25 stycznia 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Tymon Terlecki, w swym ciekawym szkicu o amerykańskim eksperymencie „wielokultury” (*Kultura* Nr 1-2, 1979) przytacza zdanie „niejakiego Gunnara Myrdala”, które klasyfikuje, jako „marksizm od siedmiu boleści, albo jeszcze jeden odruch anglosaskiej hipokryzji, albo wyznaczenie ignorancji”.

Nie zamierzam tu wchodzić w *meritum* sprawy — jest dobrym prawem autora artykułu posiadanie własnego poglądu i atakowanie odmiennych. Pytanie tylko — czy w każdy sposób.

Prof. Gunnar Myrdal — szwedzki ekonomista i socjolog o sławie międzynarodowej, laureat nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, autor fundamentalnych prac „Dylemat amerykański”, „Dramat azjatycki” i „Kryzys ludnościowy” (ta ostatnia książka, napisana w latach trzydziestych wespół z żoną Alwą, znaną bojowniczką o prawa kobiet i światowej sławy ekspertem od spraw rozbrojenia, dała początek nowoczesnej polityce społecznej w Szwecji, będącej wzorem dla wielu innych krajów) jest postacią zbyt znaną, zwłaszcza na terenie Stanów Zjednoczonych, gdzie przebywał wiele lat i nadal często wyklada, by określenie „niejaki” można było uznać za szczególnie trafne. Gunnar Myrdal *grand old man* szwedzkiej socjaldemokracji (w grudniu 1978 skończył 80 lat), b. minister w powojennym rządzie T. Erlandera — oraz jego żona Alwa, to para, która od pół wieku wywiera ogromny wpływ na życie społeczne i naukowe swego kraju, przypominając jednocześnie obywatelom Szwecji, że ich dobrobyt i demokracja wciąż jeszcze nie są zjawiskiem powszechnym w innych krajach świata.

Anglosasem prof. Myrdal nie jest; nie wiadomo by był marksistą — a już na pewno nie „od siedmiu boleści”, zaś na zarzut ignorancji wystawia się w ten sposób sam p. Terlecki. A doprawdy szkoda, ponieważ owe niepoważne zarzuty podważają zaufanie do rzetelności pozostałych wywodów autora, które zasługują na uwagę.

Czytelników *Kultury* zainteresuje pewnie, że prof. Myrdal był jednym z sygnatariuszy apelu „Popierajcie robotników polskich”, opublikowanego wiosną 1977 przez prasę szwedzką. Apel ów podejmował żądania „KOR-u” i domagał się od władz polskich wypełnienia ich. Ponadto G. Myrdal udzielił ostatnio wywiadu, wydawanemu przez ruch demokratyczny w kraju, niezależnemu piśmie *Głos*. Wywiad ten ukaże się w jednym z najbliższych numerów pisma.

CZYTELNIK ZE SZTOKHOLMU

Szanowny Panie Redaktorze!

Stuttgart, 2 stycznia 1979.

Dobrze się stało, że doskonały autor młodszego pokolenia, Bolesław Sulik, zrelacjonował znaczenie sportu, i że Pan, Panie Redaktorze, znaczenie artykułu podkreślił. („Z tarczą i na tarczy”, *Kultura*, nr 12/375, 1978).

Jakże słusznie widzi Sulik w dzisiejszym sporcie *politicum* czystej wody, przede wszystkim w podejściu krajów komunistycznych. Można sobie wyobrazić, jaki polityczny kapitał zbija organizatorzy moskiewskiej olimpiady.

Również trafnie zwraca Sulik uwagę na rolę przeżyć sportowych, jako czynnika jednoczącego cały naród. Tak samo przekonywująco brzmią jego uwagi o zachowaniu się polskiej publiczności — zapewne, nierozsądnym ale jakże ludzkim — gdy trybuna na placu sportowym jest jedynym miejscem, gdzie można sobie bezkarnie pozwolić na bycie sobą, na wzięcie odwetu za upokorzenia dnia powszedniego. Dla ilustracji dodam od siebie, że jeden z funkcjonariuszy zachodnio-niemieckiego Związku Bokserskiego, *of necessity anonymous*, opowiadał mi przed rokiem, że w czasie bokserkich mistrzostw Europy, jakie odbyły się w Polsce, publiczność podtrzymywała bokserów zachodnioniemieckich tak jak swoich, w każdym spotkaniu, jeżeli ich przeciwnikiem był zawodnik sowiecki.

Drobne, ale istotne sprostowanie: mecz Polska - Niemcy (str. 80) na poprzednich mistrzostwach świata był rozegrany nie w Monachium, lecz we Frankfurcie; w Monachium grała (i wygrała) Polska z Brazylią w spotkaniu o trzecie miejsce.

Łączę wyrazy poważania,

Wojciech KRZYŻANOWSKI

Drogi Redaktorze,

Atholl, S.A., 12 stycznia 1978.

Artykuł prof. L. Kołakowskiego pt. „Pomyślnie prorocтва i pobożne życzenia laika” (*Kultura* Nr 12/375), niezmiernie przejrzyście i odpowiadająco moim najgłębszym przekonaniom, doprowadza jednak do pewnych wniosków, z którymi trudno zgodzić się komuś, co z bliska i na przestrzeni długich lat obserwuje postawy chrześcijaństwa, a z nim i Kościoła Katolickiego w sytuacji rasistowskiej dyktatury.

Mam na myśli omawiane przez autora „słabości 'integryzmu' i 'progresizmu'... w militarnych dyktaturach i despotycznych (choć nie totalitarnych) państwach trzeciego świata...”.

Sądzę, że Afryka Południowa, kraj który od lat zamieszkuję, mieści się w powyższych definicjach.

Omawiany przez autora dylemat, stojący w tych krajach przed Kościołem, polega na tym, że opozycja komunistyczna przebiera się w owcze skóry po to, by protestować przeciw gwałtom zadawanym jednostce przez państwo i by domagać się dla gnębionych swobód demokratycznych i sprawiedliwości społecznej. W ten sposób NIESZCZERE hasła komunistów pokrywają się najściślej ze SZCZERYMI postulatami progresistów w Kościele. W tej sytuacji, cóż mają zrobić ci ostatni? Czyż powodowani obawą narażenia się „na zarzut, że zwalczają tyranie w jednej formie sprzyjając zarazem ustanowieniu innej formy tyranii” mają milczeć?

Wydaje mi się, że zalecenia Autora, by Kościół unikał „podejrzeń o złą identyfikację”, by nie „narażał się na zarzuty” i by w końcu zachowywał „wyróżnione miejsce własne w konfliktach społecznych”, są w praktyce nie-

możliwe do zastosowania. Na przykład, w kraju takim jak Afryka Południowa, gdzie każdy liberalny pogląd może i bywa podciągany przez państwo pod „Suppression of Communism Act”, którego interpretacja jest najzupełniej dowolna — Kościół Katolicki, w wykonaniu tych zaleceń musiałby skazać się na milczenie.

Zbieżność postulatów wynika z perfidii komunistycznej nie zwalnia Kościoła z obowiązku mówienia prawdy. Obowiązek ten wynika bezpośrednio z nauki Chrystusa, który określił Swą misję jako polegającą na „dawaniu świadectwa Prawdzie”.

Szkody, jakie Kościół wyrządza sam sobie gdy milczy, zamiast podnosić głos, szkody mierzone w Afryce Południowej rosnącym cynizmem Białych i odchodzeniem od chrześcijaństwa Czarnych (dla których w takim wypadku religia odgrywa rolę marksistowskiego opium), rozbijają chrześcijaństwo do tego stopnia, że komunistyczna tyrania — o ile w przyszłości tu zapanuje — nie będzie z nim miała wiele kłopotu. W obu gatunkach tyranii: totalitarnej komunizmu, czy militarnej despotyzmu — które łączy wspólna nić obrony przywłaszczonych przywilejów — obowiązują Kościół identyczna zasada mówienia całej prawdy. Zasada ta jest gwarantką ostatecznego zwycięstwa. Przykład Kościoła w Polsce jest tego najświeższym przykładem.

W konkluzji chciałbym podkreślić, że dylemat w formie przedstawionej przez Autora po prostu nie istnieje. Pozór jego jest stworzony przez małoduszność i krótkowzroczność ludzką.

Na zakończenie tych uwag chciałbym zaznaczyć, że krzyżując szpadę z Profesorem Kołakowskim zdaję sobie sprawę z własnej niewydolności. Ale moje zaangażowanie od lat w ten „dylemat” dodaje mi śmiałości.

Łączę serdeczny uścisk dłoni dla Redaktora,

W. LEDÓCHOWSKI

Sztokholm, 6 lutego 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Czesław Miłosz w swym dialogu o Wilnie (*Kultura*, nr 1/376-2/377) bardzo ciepło wspomina „Żydowskie Wilno” podkreślając m.in. „Wilno miało Instytut Historyczny żydowski przeniesiony następnie do New Yorku” oraz że „Wilno szczególnie przyczyniło się do odrodzenia się hebrajszczyzny w Izraelu”.

Do powyższych dwóch wzmianek p. Miłosza chciałem się ustosunkować sądząc, że zainteresuje to wielu czytelników *Kultury*.

Pisząc o Instytucie Historycznym żydowskim p. Miłosz zapewne miał na myśli słynny Żydowski Instytut Naukowy Yivo, założony w 1925 roku (właśnie w 1975 roku obchodzono uroczystości jego 50-lecie) i mieszczący się przy ulicy Wiwulskiego 18. Instytut ten, któremu w honorowym prezydium patronowali m.in. tacy naukowcy jak Albert Einstein, Zygmunt Freud i Szymon Dubnow (historyk z Rygi) prowadził bardzo szeroką, wielokierunkową działalność naukowo-badawczą, popularno-naukową i archiwalną dotyczącą historii Żydów, języka i literatury żydowskiej, problemów socjologicznych i ekonomicznych większych skupisk żydowskich na świecie a szczególnie we Wschodniej Europie. Do Zarządu Centralnego Yivo należało wielu wybitnych przedstawicieli nauki i kultury żydowskiej z Polski i innych krajów. Wilno było siedzibą Biura Wykonawczego Instytutu a poza tym mieściły się tam: sekcja filologiczna i badań literatury żydowskiej pod kierownictwem znanego językoznawcy dr. Maxa Weinreicha, sekcja psychologiczno-pedagogiczna pod kier. L. Dehlera, aspirantura przygotowująca młode kadry naukowe do badań problemów żydowskich. Mieściła się też przy ul. Wiwulskiego 18 biblioteka Yivo posiadająca ponad 100 tys. egzemplarzy oraz bogate archiwum posia-

dające, bezpośrednio przed wojną, kilkaset tysięcy skatalogowanych dokumentów dotyczących wszelkich przejawów życia Żydów na świecie. Sekcja historyczna (pod kier. E. Czerikowera) natomiast mieściła się w Paryżu. W Warszawie mieściła się sekcja ekonomiczno-statystyczna pod kier. znanego socjologa Jakuba Leszczyńskiego, redakcja czasopisma *Ekonomika Żydowska* oraz komisja historyczna dla Polski którą kierował dr Emanuel Ringelblum (późniejszy kronikarz getta warszawskiego). Towarzystwo Przyjaciół Yivo, wspomagające i współpracujące z centralą we Wilnie znajdowały się w wielu większych skupiskach żydowskich na świecie (z wyjątkiem oczywiście Rosji Sowieckiej).

W 1939 roku, po zakończeniu działań wojennych, gdy Wilno należało do Litwy udało się większą część zbiorów Yivo ewakuować do Paryża, a stamtąd następnie do Nowego Jorku. Ówczesny amerykański oddział Yivo przejął jeszcze w czasie trwania wojny całą działalność wileńskiej centrali i oddziałów z Warszawy i Paryża. Istnieje pod tą samą nazwą Yivo (Institute for Jewish Research) i jest poważnym ośrodkiem naukowym w języku Yidish.

Pan Miłosz przyznaje, że w Polsce przedwojennej ukamienowano by takiego, który by się odważył zaproponować ażeby hebrajski był wykładany w szkołach polskich jako jeden z języków „klasycznych” lub żeby uczono historii Żydów polskich (którzy przecież stanowili ponad 10 % ludności — podkreślenie moje). Warto w związku z tym przyznaniem podkreślić, że w Ameryce, dzięki działalności Yivo powstały przy wielu uniwersytetach studia języka żydowskiego (nie hebrajskiego a Yidish!) dla których kadry naukowo-wykładowcze przygotowuje właśnie Yivo. Największe i najpoważniejsze z tych studiów istnieje od 1967 roku przy Columbia University założone przez prof. Uriela Weinreicha, syna jednego z założycieli i kierowników Yivo w Wilnie dr. Maxa Weinreicha.

Nie zgodziłbym się z twierdzeniem p. Miłosza, że Wilno szczególnie przyczyniło się do odrodzenia hebrajszczyzny w Izraelu. Język hebrajski w żydowskim Wilnie nie był bardziej popularny niż w innych większych ośrodkach żydowskich np. w Warszawie czy w Łodzi tak, że imigrantom z Wilna w Izraelu nie można przypisywać szczególnej заслугi w rozwoju hebrajszczyzny w tym kraju. Sam p. Miłosz przecież podkreślił, że Wilno było mocnym ośrodkiem kulturalnym z tradycjami i to właśnie w Yidish, i to jest słuszne. Wileński Yidish był uznawany jako czysty literacki język żydowski. Jeśli w ostatnim czasie czyni się sporo w Izraelu by odrodzić (można powiedzieć zrehabilitować) i zachować, obok hebrajskiego również Yidish to nie mała w tym chyba zasługa żyjących w Izraelu byłych mieszkańców Wilna i okolic.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Michał RUDAWSKI

Erie, 17 stycznia 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Tymon Terlecki powtarza w swoim artykule, zamieszczonym w *Kulturze*, nr 1/2, 1979, że pojęcie „tygla hutniczego” — czyli *melting pot* wprowadził Żyd brytyjski *Izrael Zangwill*, w roku 1908.

Trudno nieraz dociec, kto i kiedy po raz pierwszy dane pojęcie, hasło lub slogan stworzył. Gdy mowa o „tyglu” to pojawiło się ono o wiele wcześniej, bo już w roku 1782 w książce pod tytułem „*Letters from an American Farmer*”. Jej autorem był Francuz nazwiskiem *Guillaume Jean de Crèvecoeur*, używający czasem pseudonimu *J. Hector St. John*. Książkę tę,

z dodatkiem innych jego pism wydano niedawno ponownie w zbiorze *Signet Classics, New York 1963*. Informuje o tym *Encyclopedia Americana* podając życiorys autora. Cytuje ją prof. *Sydney E. Ahlstrom* w swej obszernej pracy „*Religious History of The American People*”. Mam pod ręką drugie wydanie w serii *Image Books, Garden City N.Y., 1975, str. 34*.

Z wyrazami czci,

Ks. Wojciech SOJKA, C.M.

Hägersten, 27 stycznia 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Twórczość, postawa i osoba Czesława Miłosza nadto są cenione i szanowane, przez wszystkich, którzy po polsku myślą, by mógł w tej sprawie istnieć poważniejszy spór. Jednym z najszlachetniejszych rysów tej twórczości jest głębokie zrozumienie zawilego splotu spraw i antagonizmów narodowościowych, które stanowią istotną część „kompleksu polskiego”. Te humanistyczne treści przenikają również Miłosza wspomnienie o Wilnie, opublikowane w *Kulturze* (nr 1-2/1979) wraz z piękną odpowiedzią litewskiego poety, Tomasza Venelovy.

Tym bardziej musi dziwić i smucić stwierdzenie, które — w sposób dla mnie niepojęty — znalazło się w zakończeniu tego wspomnienia. Miłosz pisze: „...I jeżeli *nienawiść Żydów do Polaków*, (podkreślenie moje — N.T.) przy dziwnym z ich strony wybaczeniu Niemcom i Rosjanom, bardzo mnie razi i boli, to muszę przyznać, że antysemityzm małostkowy, po angielsku rzekłbym *petty*, po francusku *mesquin* — może załazić za skórę nie mniej niż zbrodnie, bo jest czymś na co dzień”.

Pragnę podkreślić — nie potrafię uwierzyć, by Pan Czesław Miłosz zarzucał w wszystkim Żydom nienawiść do Polaków. Jednakże przytoczone sformułowanie dopuszcza, więcej — sugeruje i taką interpretację. Wymaga więc komentarza.

Łatwo przyjąć, że autor nieraz stykał się, chociażby w USA, z kręgami żydowskimi, gdzie niechęć do Polski i Polaków była zjawiskiem rozpowszechnionym. Paradoksalnie — obiegowym hasłem wśród takich grup jest twierdzenie, że Polacy to antysemita, w domyśle — wszyscy Polacy. Oba te „symetryczne” niejako, poglądy są sobie warte i podejmowanie z nimi dyskusji mija się z celem. Pierwszy z nich dotyka mnie, jako Żyda; drugi — godzi we mnie, jako Polaka.

Jak już wspominałem, takiej intencji Czesławowi Miłoszowi nie przypisuję i w związku z tym cała sprawa nie byłaby warta listu, gdyby nie fakt, że — możliwa przecież — uogólniająca interpretacja cytowanego stwierdzenia jest w drastycznie zbieżna z półoficjalną najpierw, potem zaś całkiem oficjalną tezą aparatu propagandowego PRL o wrogości Żydów (w domyśle — wszystkich) do Polski, o syjonistycznym spisku wymierzonym w socjalistyczną Rzeczpospolitą i o knowaniach V kolumny przeciwko ludowej ojczyźnie. Podobne poglądy na emigracji reprezentuje, o ile mi wiadomo, p. Giertych i może paru jeszcze straceniów, którzy wciąż żyją w czasie zaprzestym.

Na pewno nie należy do nich autor „*Zniewolonego umysłu*”.

W tym przekonaniu kreślę się z szacunkiem,

Natan TENENBAUM



Szanowny Panie Redaktorze,

Berlin, 6 grudnia 1978.

Proszę wydrukować to moje serdeczne podziękowanie tym wszystkim co w Kraju pamiętali o moich sześćdziesiątych urodzinach i bardzo mnie tą pamięcią wzruszyli.

1 stycznia 1979.

Moi przyjaciele czescy zwrócili mi uwagę na nieścistość, jaka pojawiła się w moim artykule „Ruchem konika szachowego” (*Kultura* nr 12/375, 1978). Na stronie 61-ej w rozdziale 8-mym napisałem, że Czesi i Słowacy zostali ochrzczeni pod jurysdykcją kościelną Rzymu Zachodniego. W rzeczywistości chrystianizacja tych ludów została dokonana przez św. Cyryla i św. Metodego w wieku IX-tym, a więc jednak w zasięgu władzy kościelnej Konstantynopola. Wszelako rzecz nie jest tak jednoznaczna, jakby się to wydawało. Już sam fakt, że św. Cyryl nawiązał kontakt z Rzymem i w Rzymie zmarł (działo się to, zważywszy, szmat czasu przed schizmą) dowodzi, że istniały powiązania między ochrzczoneymi Słowianami zachodnimi a Kościołem Zachodnim. Późniejszy rozwój historyczny te związki jeszcze bardziej zacieśnił, tak że Czechi w momencie chrztu Polski podlegały już jurysdykcji Kościoła Zachodniego. Wynika stąd, że nieścistość, jaką popełniłem, w niczym nie podważa mego poglądu, że Czesi i Słowacy należą do Europy Środkowej, oraz nie podważa wniosków, jakie z tego wynikają.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku,

Witold WIRPSZA

(Dalszy ciąg Wpłat ze str. 2-giej)

Bezimiennie z Lund (Szwecja) .....	F. 100,00
Bezimiennie z Milwaukee, Wisc. (USA), po raz czternasty ..	F. 33,50
Bezimiennie z Mediolanu, po raz jedenasty .....	F. 180,00
Bezimiennie z Ottawy, po raz piąty .....	F. 679,00
Bezimiennie z Paryża — dla uczczenia pamięci dr. Leopolda Jokiela	F. 300,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada), po raz czwarty .....	F. 50,00

◆

Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA) — pamięci tragicznie zmarłego brata Ola — na opozycję w Polsce .....	F. 420,00
Witold Osieński, Lund (Szwecja), na opozycję w Polsce .....	F. 200,00

◆

Prof. Andrzej Kawczak, Montreal, Que. (Kanada) — zamiast kwiatów na grób śp. inż. Szpikowskiego — na pomoc dla więźniów politycznych w Polsce .....	F. 177,50
Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej sumę \$ can. 305 zebraną w Zarządzie zamiast kwiatów dla uczczenia pamięci śp. inż. Zbigniewa Szpikowskiego na pomoc dla więźniów politycznych w Polsce .....	F. 1.082,26
(Sumę tę wpłacili: pp. S. Mazgis z Toronto — \$ 15,00 L. Mokrzycki z Toronto — \$ 20,00, Field i sąsiedzi z Wil- lowdale — \$ 30,00, I. i A. Ruszkowscy z Ottawy — \$ 100,00, A. i L. Sas-Korczyńscy z Toronto — \$ 20,00, B. Malinowska z Rexdale — \$ 5,00, K.P.K. Okręg Ottawa — \$ 50,00, A. i W. Marcinkowscy z Montrealu — \$ 25,00, J. Gonerko z Montrealu — \$ 20,00 i T. Siemiątkowski z Montrealu — \$ 20,00).	

DZIĘKUJEMY!

## WPLATY NA KSS „KOR”

Gasparini, Thonon-les-Bains (Francja) .....	F. 150,00
Władysław Holeman, Kopenhaga .....	F. 50,00
Ryszard Bolesław Makowski, Edmonton, Alta (Kanada) ....	F. 70,00
Jerzy Mariat-Lechita, Edmonton, Alta (Kanada) .....	F. 70,00
St. Łoziński, Angered (Szwecja) .....	F. 75,00
Antoni Siemak, West Covina, Cal. (USA) .....	F. 21,00
Stanisław Wójcik, Plattsburgh, N.Y. (USA) .....	F. 42,00
Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce, przy Wydziale na Stan. Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej. Przewodn. Komitetu Bonawentura Migala, Sekr. Fin. Jan Jurewicz — \$ 1.000,00 .....	F. 4.200,00
Zebrane w New Jersey na apel „Konfederacji 76 w USA” od: Kazimierz Lasiej — \$ 10,00, Marian Orłowski — \$ 10,00 Henryk Szuster — \$ 10,00, W. Kawecki — \$ 5,00, Karol Kamiński — \$ 5,00, T. Gański — \$ 5,00, B. Morski — \$ 5,00, L. Szczawiński — \$ 5,00, B. Budzyń — \$ 5,00, W. Surdyko — \$ 2,00, Bezimiennie — \$ 8,00 — razem \$ 70,00 .....	F. 294,00
Zebrane na apel „Konfederacji 76 w USA” z inicjatywy Skarbu Narodowego w stanie New Jersey od pp. Jerzy Niemirow \$ 5,00, Ryszard Winowski — \$ 10,00, Bronisław Brodzicki — \$ 10,00, Józef Siatkowski — \$ 5,00, Władysław Sosulski	

\$ 10,00, Władysław Horezga — \$ 5,00, Filip Cisek — \$ 5,00, Stefan Waisberger — \$ 5,00, P. Latkowski — \$ 1,00, Henryk Szuster — \$ 10,00, Tadeusz Dziekanowski — \$ 50,00, Ches- ter Baldowski — \$ 10,00, Turysta z Polski — \$ 10,00, Bernard Pilecki — \$ 10,00 — razem \$ 171,00 ..... F. 718,20	F. 718,20
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja) ..... F. 100,00	F. 100,00

## WPLATY NA PPN

Federacja Polskich Organizacji w Wiktorii, Melbourne (Austra- lia) — sumę z publicznej zbiórki wśród społeczeństwa pol- skiego w Wiktorii ..... F. 1.793,20	F. 1.793,20
Dr Danuta Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) ..... F. 420,00	F. 420,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja) ..... F. 100,00	F. 100,00

## WPLATY NA ROPCio

Tadeusz Brzostek, Paryż ..... F. 100,00	F. 100,00
C. M. H. z Nowego Jorku ..... F. 42,00	F. 42,00
„Konfederacja 76” ..... F. 231,00	F. 231,00
T. R. Torpińscy (za pośrednictwem <i>Wiadomości Polskich w</i> <i>Sydney</i> ) ..... F. 100,00	F. 100,00
Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce, przy Wydziale na Stan. Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej. Przewodn. Komitetu B. Migala, Sekr. Fin. Jan Jurewicz — \$ 1.000,00 ..... F. 4.200,00	F. 4.200,00
Zebrane na apel „Konfederacji 76 w USA” od pp. Grzegorza Jezierskiego, N.J. — \$ 20,00, Tadeusza Dziekanowskiego, N.J. — \$ 25,00, Ks. Władysława Kłosa z Buffalo — \$ 35,00, Bronisława Brodzickiego, N.J. — \$ 20,00, Mariana Orłow- skiego, N.J. — \$ 20,00, Bezimiennie z Newark — \$ 10,00 — razem \$ 130,00 ..... F. 546,00	F. 546,00
Zebrane przez B. R. Winowskiego na zebraniu placówki SWAP 57 w Elizabeth, N.J. od pp. Piotra Lany — \$ 45,00, Sunday Ted, Brooklyn — \$ 30,00, Anny Dobosz — \$ 20,00, Mie- czysława Nierody — \$ 20,00, L. Jastrzębskiego — \$ 15,00, Czesława Maliszewskiego, New Britain — \$ 10,00, Ludwika Zimnego — \$ 5,00, L. Favata (Włoch) — \$ 3,00 — razem \$ 148,00 ..... F. 621,60	F. 621,60
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja) ..... F. 100,00	F. 100,00

Stanisław Wójcik, Plattsburgh, N.Y. (USA), na Fundusz Samo-  
obrony Chłopskiej i pisma *Gospodarz* ..... F. 42,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt Légal: 1<sup>er</sup> Trimestre 1979.



PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca ». Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla- terngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA: O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissing- en, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl h. 90,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Kra- uski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont.. Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00 F.S. 8,50 K.S. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00 F.S. 50,00 F.S. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00 F.S. 90,00 K.S. 180,00
NIEMCY: St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1. NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ....			
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..			
SZWECJA: Norbert Zaba, Källskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.			
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tel. 475-8886. L. Dudarew-Orse- tyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziewanowska, 2928 North Downer Ave., Milwaukee, wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254- 34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 886-2128; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orze- chowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103.	\$ US 4,00 £stg. 2,15 F. 17,00	\$ US 22,00 £stg. 12,00 F. 95,00	\$ US 42,00 £stg. 22,50 F. 180,00
POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 63618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av., apt. 27, Los Angeles, Cal. 90038, tél. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211			
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210			
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241			

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.180; półroczna — F.95.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »  
TOM 295 — SERIA „BEZ CENZURY”  
JACEK KUROŃ

### ZASADY IDEOWE

Str. 90.

Cena F. 20,00.



TOM 297 — JULIAN WOŁOSZYNOWSKI

### BYŁO TAK

Wznowienie wydanej w Kraju przed wojną *literackiej historii Polski* od zarania dziejów do śmierci Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Książka ta, w której nasza historia podana jest na kanwie najważniejszych wydarzeń światowych, wydaje nam się godna przypomnienia w chwili kiedy Polska święci 60-lecie odzyskania Niepodległości.

Str. 200.

Cena F. 45,00.



TOM 301 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT CZTERDZIESTY SIÓDMY

Zawiera m.in. prace: Polskie Porozumienie Niepodległościowe — 1918-1978; Poradnik Społeczny PPN — *Odzyskanie niepodległości w 1918 roku*; Natalii Naruszewicz — *Zarys historii PRL — Zeszyt 2: Narodziny PRL (Lipiec 1944 - Lipiec 1945); polemikę z Natalią Naruszewicz: Tadeusza Żenczykowskiego i Jana Ciechanowskiego; Bronisława Wanke — Władze legalne R.P. na uchodźstwie (1940-1970); Zdzisława Baua — 35 lat Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku; Witolda Babińskiego — Prezydent Raczkiewicz; Jerzego Lerskiego — *Lwowska młodzież społeczno-demokratyczna 1937-1939*; ks. inf. Teofila Skalskiego — *Garstka wspomnień z mego życia (3)*; oraz POLEMIKI, OKRUCHY HISTORII i RECENZJE.*

Str. 240.

Cena F. 40,00.